

TO BYŁ MAJ

Anna
Konstanty



NOVAE RES

Anna Konstanty

TO BYŁ MAJ



NOVAE RES

SPIS TREŚCI

CZWARTEK

PIĄTEK

SOBOTA

NIEDZIELA

PONIEDZIAŁEK

PIĄTEK

SOBOTA

PONIEDZIAŁEK

ŚRODA

CZWARTEK

PIĄTEK

SOBOTA

NIEDZIELA

WTOREK

ŚRODA

MINĄŁ MAJ...

ZNÓW BYŁ MAJ...

ZAKOŃCZENIE

CZWARTEK

– Rycząca czterdziestka. – Usłyszałam za plecami, zanim zobaczyłam w lustrze rozczochrane odbicie córki. Buchało z niej jeszcze, pachnące płynem do płukania, ciepło kołdry i poduszki. Była rozmazana, zaspana i ubrana w wygniecioną piżamę w uśmiechnięte księżyce. W dłoni trzymała pojedynczą czerwoną różę. Wsunęła kwiat pomiędzy mnie a lustro i cmoknęła mnie w policzek.

– Wszystkiego najlepszego – powiedziała.

– Umyj zęby – odparłam, wykrzywiając nos, ale było mi miło, że nie zapomniała o moich urodzinach.

– Dobrze, mamó.

– I uczesz się.

– Dobrze, mamó.

Spróbowała wepchnąć się bliżej lustra, ale nie pozwoliłam jej się odsunąć i, stojąc twardo na najlepiej oświetlonej pozycji, kończyłam tuszować rzęsy.

– Prosiłam dziewczyny, żeby nie robiły nic z okazji mojego posuniętego wieku, ale możliwe, że pójdziemy na jakiegoś drinka po pracy – uprzedziłam ją. – W razie czego odgrzej sobie makaron.

– Dobrze, mamó – wyjęczała i wypchnęła mnie z łazienki. – Idź, bo muszę na kibelek.

– Mięso też masz zjeść! – krzyknęłam przez zamknięte drzwi.

– Idź do pracy! – odkrzyknęła.

– I dziękuję za życzenia.

Zamknęłam oczy i z czułością pomyślałam o tym, że chociaż jej nie widzę, z pewnością stroi do mnie śmieszoną minę. Pogłaskałam drzwi, z trudem powstrzymując się od ich pocałowania. Córka była największą miłością mojego życia, jedyną, która mnie nie zawiodła, nie oszukała ani nie zostawiła. Ze zgrozą myślałam o jej pełnoletności i wkraczających pomału do naszego życia „kolegach”, którzy odprowadzali ją do domu, wpadali na herbatę albo odnosili jakieś pożyczone przedmioty i zwracali się do mnie „proszę pani”. Nie pamiętam, kiedy uzmysłowiłam sobie, że dla przystojnych młodych mężczyzn przestałam być potencjalną dziewczyną, a zamieniłam się w potencjalną teściową, ale nie była to specjalnie przyjemna chwila. Niby byłam młoda, ale do określenia „młoda” niepokojąco często zaczęto dodawać słowo „jeszcze”. „Młoda” to co innego niż „jeszcze młoda”, bo „jeszcze” ma nieprzyjemny wydźwięk krótkiego terminu przydatności. „Jeszcze młoda” to ostatni przystanek przed „niemłoda”. Lada chwila

czekało mnie więc „niemłoda, ale jeszcze się trzyma”, „niemłoda” i „babcia”. Na myśl o babci zaniepokojona spojrzałam w stronę łazienki, gdzie moja dorastająca córka rozpoczęła już zabiegi kosmetyczne, i postanowiłam kolejny raz „poważnie” z nią porozmawiać.

Z westchnieniem starej matki włożyłam buty oraz płaszcz i chwyciłam wypchaną torebkę, zerkając jednocześnie w lustro zawieszone przy wyjściu.

– Jesteś jeszcze młoda – wyszeptałam, sama sobie patrząc w oczy i próbując nadać temu spojrzeniu beztróskiego optymizmu, ale nie wyszło. Czterdziestka na karku przynębiła mnie bardziej, niż chciałabym przyznać, a pod oczami wyraźnie zaznaczyły się cienie nieprzespanej nocy. Jakoś to tak w życiu jest, że kobiety dzieli się na te „przed” czterdziestką i te „po”. Przez kilka lat mogłam jeszcze pociągnąć określenie „około”, ale te kilka minie pewnie tak samo szybko, jak minęło poprzednie czterdzieści.

Przyjrzałam się własnej twarzy, umalowanej z okazji urodzin znacznie staranniej niż zwykle. Koloryt poprawiony dobrym pudrem wypełniającym zmarszczki, oko podkreślone mocniejszym cieniem do powiek, włosy świeżo farbowane chemikaliami, które miały za zadanie zwalczać oznaki siwizny. Jeszcze młoda i jeszcze się trzymałam. Jeszcze co któryś mężczyzna obejrzał się za mną na ulicy, ale bez szaleństw.

– Mamo, muszę z tobą poważnie porozmawiać.

– Jezus Maria! – przeraziłam się nie na żarty. Moja osobista córka unikała poważnych rozmów jak ognia, więc na taki tekst z jej ust wyobraziłam sobie wszystko, co najgorsze. Zwłaszcza że zaatakowała mnie nim od razu po wejściu do mieszkania, nie czekając, aż zdejmę buty, płaszcz czy cokolwiek innego.

– Nie rozbieraj się, proszę cię – wyjęczała, łapiąc mnie za nadgarstki, ale uspokoiłam się, widząc, że podskakuje z entuzjazmem. Nie mogło się stać nic złego, skoro uśmiechała się od ucha do ucha, a jej buzia emanowała radością.

– Poznałam chłopaka przez Internet – powiedziała.

– I? – spytałam. Niespecjalnie podobało mi się to zawieranie znajomości na odległość, ale wciąż sama siebie upominałam, że przecież trzeba iść z duchem czasu. Spróbowałam zrzucić pantofle, ale ona natychmiast wcisnęła mi je z powrotem na nogi.

– I on chce się spotkać.

– I? – spytałam znowu, powstrzymując się chwilowo przed kategorycznym zabronieniem jej spotkania się z chłopakiem z Internetu. Po moim trupie.

– I chodź ze mną!

– Ja? Gdzie? W życiu. – Zaskoczyła mnie. Przede wszystkim ulżyło mi, że nie postanowiła zobaczyć się z nim w tajemnicy i dać się zamordować na jakiejś drugorzędnej stacji kolejowej, ale pomysł uważałam za beznadziejny, a pośpiech

w tym zakresie – za najzupełniej zbędny.

– Błagam cię, mammo! – jęczała. – Wiem, że są twoje urodziny i w ogóle tego nie planowałam, ale rozmawialiśmy na czacie i napisał, że dłużej nie wytrzyma i musi mnie spotkać osobiście. I choćby nie wie co, to będzie koło Palmiarni o osiemnastej, a ja mam zdecydować, czy przyjdę.

Zerknęłam na zegarek. Osiemnasta miała wybić za kwadrans. Postawiła mnie przed faktem dokonanym, nie dając nawet możliwości negocjacji.

– Nie mogłaś zadzwonić?

– Dzwoniłam sto razy! Gdzie masz telefon?

Odruchowo sięgnęłam do torebki, ale od razu przypomniałam sobie komórkę podłączoną do ładowarki pod biurkiem w pracy. Pamięć mi nawalała. Może to już kolejny objaw przemijającej młodości?

– Trudno – powiedziałam. – Spotkacie się następnym razem.

Trzeba być matką, żeby wiedzieć, ile można pozwolić, a ile zabronić własnemu dziecku. Wyraz twarzy mojej córki powiedział mi niezbicie, że niepozwolenie jej na tę nieplanowaną randkę, na którą już włożyła najlepsze ciuchy, cieniutkie rajstopy i moje (moje!?) buty na obcasie, groziło całkowitym rozpadem rodziny. Mina jej zrzedła, w oczach błysnęło rozczarowanie, natychmiast rozmazane łzami. Ramiona najpierw skłęły w rezygnacji, a zaraz potem wyprostowały się buntowniczo.

– Dobrze – uległam. – Pozwolisz mi jeszcze zrobić siusiu?

– Nie pozwolę, musimy jechać!

– Niby czym? – spytałam. Samochód został na parkingu w centrum, bo po pracy faktycznie poszłam z koleżankami do knajpki i pozwoliłam sobie najpierw na piwo, a później na kilka lampek wina. Wracając do domu komunikacją miejską, zastanawiałam się, czy warto było dla paru kieliszków kołatać się w śmierdzącym autobusie, ale przecież nie codziennie kończy się czterdzieści lat!

– O matko! – zbulwersowała się moja córka. – Piłaś!

– O matko i córko! – odparowałam. – Zabronisz mi?

– To lecimy na autobus! – zarządziła i chwyciła mnie za rękę. W ostatniej chwili z trudem zdążyłam zamknąć na klucz drzwi do mieszkania.

Jakimś cudem autobus podjechał równocześnie z naszym dotarciem na najbliższy przystanek, o ile cudem można nazwać fakt, że pięćset metrów biegłyśmy chodnikiem jak oszalone, obie wystrojone, wymalowane i na szpilkach. Ponieważ kondycja moja odbiega znacznie od kondycji mojego nastoletniego dziecka, przez cały czas byłam dobre kilka metrów za nią. Żeby ją dogonić, w połowie drogi do przystanku po prostu zdjęłam buty i wymachując nimi na wysokości twarzy przechodniów, przebiegając przejście dla pieszych na czerwonym i wymyślając Bogu ducha winnym kierowcom, dotarłam do autobusu

bosa i zdyszana jak parowóz.

– Mam nadzieję, że docenisz mój udział w twoim szaleństwie – wysapałam.

Marta w tym czasie wyszperała w torebce (mojej?!) puder oraz pomadkę i poprawiała swój wizerunek dla internetowego chłopaka. Postanowiłam, że rozmowę wychowawczą na temat pożyczania moich rzeczy przeprowadzę z nią później, bo potrzebowałam chwili na złapanie oddechu i włożenie butów. Wypiłam resztkę wody z małej butelki i spróbowałam zasłonić oczka w rajstopach, które porobiły się w trakcie sprintu po chodniku. Przy okazji urwał mi się też pasek od torebki i rozerwał szew w spódnicy, ale ponieważ to nie ja jechałam na randkę, mój rozchełstany wygląd specjalnie mnie nie stresował. Marta z kolei histeryzowała z powodu rozmazanego tuszu.

– A jeśli mu się nie spodobam?

– Niemożliwe. – Przyjrzałam się jej młodziutkiej, jasnej buzi. Im była starsza, tym bardziej upodabniała się do ojca. Miała kasztanowe włosy, śliczne brązowe oczy i brzoskwiniową cerę. Jej kobiecość rozkwitała powoli, ale już było widać, że jest w przededniu swojej pełni. W porównaniu z nią jak mogłabym określić siebie? Babie lato? Wczesna jesień? Ostatnio nawet zafarbowałam włosy na kolor opadających liści.

Chłopak stał przy fontannie prezentującej skarłowaciały glob zalany wodą z miejskiego wodociągu. Zielonogórska Palmiarnia stanowiła eleganckie tło dla jego wyprostowanej, spiętej sylwetki. Był nawet schludnie ubrany i uczesany. Trzymał w ręku bukietik malutkich, kolorowych kwiatków. Zobaczyłyśmy go, zanim on zobaczył nas, a jak tylko ukazał się naszym oczom, Marta szarpnęła mnie w dół do pozycji kucznej, przyciskając plecami do pobliskiej latarni.

– Co jest? – oburzyłam się.

– Nie chcę, żeby zobaczył, że przyszedłam na randkę z mamą – powiedziała teatralnym szeptem.

– To po jakiego grzyba mnie tu ciągnęłaś?

– Żebyś mi nie wymawiała, że jestem nieodpowiedzialna. Teraz przynajmniej widzisz sama, że jest niegroźny i nie ma ze sobą żadnych morderczych akcesoriów. I zobacz, jaki jest słodki, no zobacz!

Dyskretnie wychyliłyśmy głowy z za słupa i przyjrzałyśmy się chłopakowi w milczeniu. Wysoki, raczej chudy niż szczupły, ciemnowłosy. Raz po raz spoglądał na zegarek albo wyciągał z kieszeni telefon. Wyraźnie się niecierpliwił.

– Spóźniłam się – jęknęła Marta.

– Kocha, to poczeka – wygłosiłam. – Ale co ja mam teraz robić?

– Idź do domu albo posiedź tutaj. – Usłyszałam.

– Oszalałaś? Mam siedzieć pod latarnią w podartych rajstopach jak jakaś kurtyzana dla ubogich? – bulwersowałam się. Wracanie do domu bez niej zupełnie

nie wchodziło w rachubę. Poza tym chciało mi się pić i sikać – nie wiedziałam, co bardziej.

– To idź do Palmiarni – doradziło mi dziecko. – My pospacerujemy dookoła, będziesz nas widziała przez okna. Zamówisz sobie kawę i ciasteczko i poczekasz, dobrze?

Chociaż byłam doskonale świadoma tego, że manipuluje mną za pomocą słodkiego głosu i trzepotania rzesami, to zgodziłam się bez wahania. Nie miałam najmniejszej ochoty na dyskusję pod latarnią i instynktownie czułam, że Marta i tak pozostałaby głucha na wszelkie rozsądne argumenty. W momentach zakochania rozsądek nie ma dużej siły przebicia.

– Idź pierwsza i udawaj, że mnie nie znasz. – Usłyszałam, jeszcze zanim zostałam wypchnięta na chodnik prowadzący do kawiarni.

– I nie gap się, bo mi go wystraszysz!

Przy wejściu poprawiłam rozwiane włosy i od razu zapytałam dziewczynę za ladą o toaletę.

– Toaleta tylko dla klientów – poinformowała mnie oschle, jakbym była naciągaczką próbującą wyłudzić darmowe sikanie w jej ekskluzywnym kibelku.

– Oczywiście, zamówię za chwilę – powiedziałam jeszcze bardziej oschle niż ona. Zdenerwował mnie jej protekcyjny ton i sztuczne paznokcie, które przesadnie eksponowała na blacie.

Przeszło mi przez myśl, że takie jak ona wyrzucam ze stażu po pierwszych dwóch tygodniach, bo przez długie pazury nie potrafią przepisać prostego tekstu do edytora.

– Proszę zamówić od razu – burknęła beczelnie, czym wprawiła mnie niemal w osłupienie, ale zważywszy, że parcie na pęcherz stawało się dokuczliwe, postanowiłam darować sobie dyskusje.

– Poproszę gazowaną wodę z kostką lodu, kawę z mlekiem i jakieś ciastko – powiedziałam wyniośle i zabębniłam o blat swoimi naturalnymi paznokciami, które wyglądały znacznie lepiej niż jej tipsy.

– Dwadzieścia dwa pięćdziesiąt bez napiwku – wygłosiła znad kasy.

A jużci dostaniesz napiwek, beczelna smarkulo. Sięgnęłam do torebki, która wisiała smętnie na naderwanym z jednej strony pasku, i wyszperałam portfel, pusty co prawda, ale przywykłam do tego, że wszędzie mogę zapłacić kartą.

– Niestety, mamy uszkodzony terminal – powiedziało słodko dziewczę za kasą. – Dzisiaj przyjmujemy tylko gotówkę.

– Proszę pani – wymusiłam z siebie to „pani”, bo nasuwała mi się raczej „gówniara”, „laleczka” albo „larwa”. – Nie mam przy sobie gotówki, a chciałabym się czegoś napić i skorzystać z toalety.

– Nic pani nie poradzę.

Rozejrzałam się po wnętrzu. Chciałam podnieść głos i powiedzieć, że to skandal i że dziś prawie nikt nie nosi przy sobie pieniędzy, ale przy stolikach siedziało kilkoro szczęśliwców, którzy widocznie jednak dysponowali gotówką. Zła i odrobinę zażenowana tym, że niektórzy zwrócili uwagę na moją przydługą rozmowę z ekspedientką, oczka w rajstopach i podartą spódnicę, zaczęłam przetrząsać torebkę w poszukiwaniu drobnych. Na szklankę niegazowanej wody powinnam uzbierać, ale czy to wystarczające zamówienie, by ta sztuczna hetera za ladą uznała mnie za klientkę?

– Zapłacę za tę panią. – Usłyszałam nad głową. Dziewczę zatrzepotało rzęsami i uśmiechnęło się uroczo, zgarniając z blatu należność wraz z napiwkiem.

– Jestem wdzięczna, ale... – Odwróciłam się, żeby powiedzieć, że niepotrzebna mi niczyja pomoc, bo przywykłam do tego, żeby w życiu radzić sobie w pojedynkę, ale za mną stał chłopak, jakiego nie co dzień spotyka się na ulicy. W Palmiarni – owszem, doskonale się komponował z egzotyczną roślinnością, dusznym zapachem południowych kwiatów i soczyście orientalnym kolorytem. Mógł akurat kręcić reklamówkę dla firmy odzieżowej albo pozować do jakiejś rozkładówki, w pobliżu pewnie czekała już zaborcza asystentka i limuzyna z przyciemnionymi szybami, bo tak atrakcyjni mężczyźni nie chodzą tak po prostu po ulicach. Ja przynajmniej nigdy takiego nie spotkałam.

Był przede wszystkim młody. Albo energiczny. Albo młody, albo energiczny, bo jakoś nie potrafiłam określić, w każdym razie buchało z niego coś takiego, że niemal z rozpaczą wspomniałam swoje czterdzieści lat. On miał młodość w oczach i uśmiechu, modne ubranie osłaniało ciało, które również było pełne życia, energii, zapachu i takiej jakiejś...

– Nie ma sprawy – uśmiechnął się i wrócił do stolika przy oknie.

Chwilowo zabrakło mi języka w gębie, więc poszłam do wytęsknionego ustronnego miejsca, odrobinę się ogarnęłam i wróciwszy do wnętrza kawiarni, podziękowałam mu za pomoc.

– Proszę mi zapisać numer telefonu, zadzwonię, poda mi pan numer konta i zwrócę należność – powiedziałam.

– Nie ma potrzeby – odrzekł uprzejmie. – Wystarczy, że napije się pani ze mną kawy.

Dopiero wtedy zauważyłam, że na jego stoliku, obok na wpół opróżnionej szklanki z colą stoi moje zamówienie. Jeszcze raz rozejrzałam się po wnętrzu, po pierwsze – nikt nie zwracał na mnie uwagi, a zapewne zwróciłby, gdybym zaczęła przenosić szklanki i talerzyki od stolika do stolika, po drugie – miejsce przy samym oknie zapewniało świetny widok na Martę spacerującą bardzo wolnym krokiem z chłopakiem, który już zdążył podarować jej bukiet, po trzecie – ekspedientka dałaby się pokroić, żeby być na moim miejscu, więc postanowiłam zrobić jej na złość. Ona, ze swoim wyglądem lalki Barbie prosto z pudełeczka, pasowałaby do

chłopaka znacznie lepiej niż ja, ale proszę – zaproszono mnie, nie ją.

– Dziękuję – powiedziałam, siadając. – Zwykle mam przy sobie dość pieniędzy, żeby kupić sobie szklankę wody, ale dzisiaj... dzisiaj jest zupełnie zwariowany dzień.

Postanowiłam nie opowiadać mu, że skończyłam właśnie czterdziestkę, wypiliśmy odrobinę za dużo wina, dałam się wyciągnąć na randkę córki jako obstawa i obudziłam w sobie demoniczny strach przed dniem, gdy Marta się zakocha i odstawi mnie na boczny tor, bo zupełnie nie wyglądał na człowieka, którego interesują takie zgredowskie problemy.

– Proszę sobie wyobrazić, że mój też – odparł. – Widzi pani tę parkę tam?

Spojrzałam we wskazanym kierunku i z przerażeniem stwierdziłam, że pokazuje na Martę. Z trwogą pomyślałam o tym, że ze swoją orientalną urodą może być naganiaczem z jakiegoś burdelu na Wschodzie...

– To mój brat – wyjaśnił, a mnie kamień spadł z serca. – Zakochał się przez Internet. Powiedział, że jak nie zawiozę go do Zielonej Góry na osiemnastą, to umrze z rozpacz, bo ani jednej godziny dłużej nie przeżyje bez tej dziewczyny.

Zrobiło mi się ciepło koło serca i chłopak za szybko od razu wydał mi się sympatyczniejszy. Moja córka przy nim nie wyglądała jak dziewczynka, za jaką ją wciąż uważałam. Była wysoka, smukła, uśmiechała się zalotnie i śmiało patrzyła mu w oczy. Pozwalała się adorować z pełnokrwistą, kobiecą kokieterią. On nieporadnie próbował ją objąć albo złapać za rękę, ale wciąż go zwodziła.

Jakże pozazdrościłam im emocji towarzyszących takim pierwszym zalotom, nieśmiałym, ale już świadomym tego, do czego zmierzają. Stojącym wciąż przed wszystkimi rozkoszami miłości, oczarowania, pierwszej fizycznej fascynacji i tymi zdziwieniami, które towarzyszą pierwszym razem. Maj, który od niedawna opanował miasto z całym dobrodziejstwem inwentarza, asystował im w tych zalotach ze śpiewem ptaków i powiewami pachnącego ziemią powietrza.

– I nie mogłeś odmówić? – Bezwiednie przeszłam na „ty”, ponieważ jakoś skojarzyłam go z rówieśnikami Marty, a oni wszyscy życzyli sobie, by mówić do nich po imieniu.

– Nie chciałem go mieć na sumieniu.

Postanowiłam nie przyznawać się, że znam obiekt uczuć jego brata, i wyciągnąć o nim trochę informacji.

– Ile lat ma twój brat? – spytałam.

– Dziewiętnaście – odparł. – Właśnie zdaje maturę, ale nie wydaje się tym specjalnie przejęty. Łazi, snuje się, udaje, że czyta.

– Zakochany. – Nie potrafiłam ukryć rozrzewnienia w głosie. – A co planuje po maturze?

– Chce być studentem.

– Jakiego kierunku?

– Jeszcze nie wie. Mnie się widzi, że chodzi raczej o sam fakt zostania studentem i wyprowadzenia się od rodziców, teraz pewnie będzie szukał czegoś w Zielonej Górze, żeby być bliżej dziewczyny. – Wypił resztę coli i spojrzał wymownie na lalkę przy ladzie. Natychmiast zjawiała się przy nim z notesikiem w rękę i lukrowanym uśmiezkiem na ustach.

– Czym mogę służyć? – zaćwierkała.

Zamówił jeszcze raz to samo i zupełnie zignorował jej podrasowane wdzięki, czym natychmiast zaskarbił sobie moją sympatię.

– A brat skąd jest? – Wróciłam do interesującego mnie tematu. Miałam rzadką okazję zasięgnięcia języka o ewentualnym przyszłym zięciu.

– Jesteśmy z Gubina – odparł.

– To tam, gdzie przejście graniczne?

– Tak, jakieś sześćdziesiąt kilometrów stąd. Godzina drogi, w porywach można przejechać do czterdziestu minut. Nie tak daleko, ale mam nadzieję, że nie będzie mnie tu ganiał codziennie.

Nie wiedziałam, co na to powiedzieć. Kto mógł przewidzieć, jak się rozwinie ta internetowa miłość?

– Ładna dziewczyna, prawda? – Pierwszy przerwał milczenie.

– Śliczna – odpowiedziałam, nie musząc się nawet przyglądać.

– Wydaje się trochę zarozumiała, ale mam nadzieję, że to ten szczególnie rodzaj eleganckiej wyniosłości, trzymającej kobietę na dystans od facetów, którzy nie są jej warci.

Roześmiałam się.

– Istnieje taki rodzaj wyniosłości?

– Oczywiście, ale nie da się go wyuczyć. Z tym trzeba się urodzić – powiedział i spojrzał mi prosto w oczy, zupełnie jakby próbował ze mną flirtować albo oczekiwał, że rozpocznę polemikę. Bynajmniej nie zamierzałam dyskutować na ten temat, dziwnie się poczułam pod wpływem jego spojrzenia, więc przeszłam do omawiania korków na drodze, pogody i stanu okolicznej sieci wodno-kanalizacyjnej – bezpiecznych, jałowych tematów wałkowanych przez wszystkich dla zabicia czasu.

Marta z adoratorem w tym czasie cztery razy zeszli i weszli po schodach umiejscowionych malowniczo między rzędami winorośli, a po piątym zniknęli na dłuższą chwilę. Domniemywałam, że siedzą na ławeczce zakochanych i nawzajem łowią swoje spłoszone spojrzenia, ale usłyszałam jej głos za plecami:

– Mamo, poznaj Mateusza.

Wstałam odrobinę skonsternowana.

– Mamo? – Dobiegło mnie rozbawione pytanie człowieka, który zapłacił za moją kawę.

– Marto, poznaj Adriana – zagłuszył je odrobinę jeszcze chłopięcy głos

Mateusza.

Adrian nie skomentował faktu, że od dłuższego czasu wyciągam od niego informacje, ale kiedy młodzi poszli coś sobie zamówić, cmoknął na mnie z umiarkowanym uznaniem.

- Sprytnie.
- Dziękuję – odparłam uprzejmie.
- Ale mogłaś powiedzieć, zaoszczędziłbym sobie domysłów – powiedział, też przechodząc na „ty”, czego w tamtej chwili nawet nie zauważyłam.
- A jakież to domysły może budzić moja skromna osoba? – spytałam przekornie, być może nawet zaczynając flirtować.

Upił łyk napoju i zaczął mówić:

– Wyobraź sobie, że jedziesz samochodem po ruchliwej drodze miejskiej, założmy zielonogórskiej, odwozisz kogoś gdzieś na wskazaną godzinę, więc dość się spieszysz, ale zatrzymujesz się przed każdym czerwonym światłem, ufając naiwnie, że inni zrobią to samo. Nagle, mimo twojego zielonego, wpada ci na samochód rozczochrana kobieta z pantoflami w rękę, wymyśla ci od ślepych kretów i wali obcasem w maskę. Myślisz sobie, że coś musiało się stać, coś niezwykle ważnego, skoro tak jej się spieszy, że ryzykuje życie, ale po kwadransie spotykasz ją w kawiarni spokojnie zamawiającą kawę i ciastko...

Z trwogą popatrzyłam, czy Marta jest wystarczająco daleko, by tego nie słyszeć. Z jego perspektywy historyjka nie świadczyła o mnie najlepiej.

– Marta wzięła mnie z zaskoczenia – zaczęłam się tłumaczyć. – Ciągnęła mnie rozhisteryzowana i krzyczała: „szybciej, szybciej”... Hej, nie walnęłam obcasem w maskę!

– Faktycznie – roześmiał się – to dodałem od siebie.

W Palmiarni spędziliśmy jeszcze godzinę. Młodym kompletnie nie spieszyło się do rozstania, więc przeciągali rozmowę, zamawiali jeszcze coś do picia, jeszcze coś do pochrupania, jeszcze wyciągali jakieś wspólne historie internetowe, których nie potrafiłam pojąć. W końcu zaczęłam dawać Marcie znaki, że czas wracać do domu, zanim mój żołądek zacznie głośno oznajmiać wszem wobec, że jest pusty i domaga się jedzenia.

– Może pojedziemy na pizzę – wymyśliła latorośl radośnie, ale postanowiłam sprzeciwić się kategorycznie.

– Zanim dobijemy do domu podmiejskim, będzie dziewiąta – zaprotestowałam – a rano trzeba wstać.

Mateusz mrugnął na Adriana i odeszli na kilka kroków porozmawiać na osobności. Schowali się za grubym pnem jakiejś palmy, ale ponieważ na zewnątrz zmierzchało, doskonale widziałam ich sylwetki i gesty odbite w szybie. Uścisnęli sobie dłonie w jakiś dziwaczny, młodzieżowy sposób, używając do tego samych

palców, i trącili się ramieniem. Mateusz żywo gestykulował i rozpląwał się w uśmiechach, z czego nietrudno było wywnioskować, że opowiada, jak jest zachwycony Martą. Marta, korzystając z tego, że zostałyśmy same, z równie żywą gestykulacją opowiadała mi, jak jest zachwycona Mateuszem.

– Widziałaś, jaki przystojny? – Przewracała oczami.

Nad jej głową znów zerknęłam na odbite sylwetki chłopaków. Obaj byli atrakcyjni, ale Mateusz był jeszcze chłopcem, ładnym co prawda, ale odrobinę za szczupłym i za wiotkim, żeby nazwać go mężczyzną. Poza tym z całą swoją schludnością, uprzejmością i galanterią przypominał mi ucznia jakiegoś przyklasztornego gimnazjum dla młodzieńców z dobrych domów. Adrian za to wszystkie męskie atrybuty miał już doskonale rozwinięte, co stwierdziłam mimochodem na zasadzie porównania. Z twarzy był nawet podobny do młodszego brata, obaj mieli bardzo ciemne, właściwie czarne oczy w ciemnej oprawie gęstych brwi i rzęs, proste nosy i precudnej urody usta, w których górna warga wydawała się jakby odrobinę większa od dolnej i przydawała twarzy uroczu-całusnego wyrazu. Ale on przy tym wszystkim był taki bardziej... pornograficzny. Taki jakiś, że od razu kojarzył się ze scenami dla dorosłych. Tak szczerze wypełniał wszystkie elementy ubrania, że nie sposób było nie myśleć o jego mięśniach, skórze, tudzież innych elementach cielesnej architektury. Proporcjonalnie zbudowany, ubrany w wąskie spodnie i skórzaną motocyklową kurtkę, z przydługimi włosami opadającymi na czoło, był zupełnie jak z filmu o niepokornych nastolatkach z Hollywood.

– Odwieziemy was – zaproponował Mateusz, kiedy wrócili.

Próbowałam oponować, głównie z powodu wrodzonej niechęci do tego, aby podawać obcym miejsce zamieszkania, ale Marta od razu wyśpiewała cały adres łącznie z numerem mieszkania.

Wychodząc, pozwoliłam Adrianowi otworzyć przed sobą drzwi i objąć się w pasie. Nawet z daleka słyszałam, jak barmanka zgrzyta zębami z zazdrości.

Centralny zamek samochodu zadziałał z daleka i Marta z Mateuszem zajęli miejsca z tyłu, zanim ja zdążyłam pokonać całą odległość parkingu. Siłą rzeczy usiadłam z przodu i, odwracając się od czasu do czasu, zaglądałam, co robią na szerokiej kanapie. Szeptali do siebie, zachowując stosowną odległość, ale oboje położyli dłonie tak, że ich małe palce stykały się ze sobą. Wzruszył mnie ten objaw powściągliwego szukania kontaktu, choć nie byłam pewna, czy gdyby zostali sami, poprzestaliby tylko na tym. Odkąd Marta zaczęła dorastać, uważałam, że młodzież jest zdecydowanie zbyt postępową w realizacji fizycznych zbliżeń.

Wolno przejechaliśmy przez centrum miasta i ustawiliśmy się w kolejce do skrzyżowania w prawo. W samochodzie cichutko pobrzękiwało radio i miarowo pstrykał włączony kierunkowskaz, ale generalnie cisza była dość gęsta i krępująca,

zwłaszcza że młodzież z tyłu wyraźnie starała się ukryć, co do siebie mówi. Niecierpliwie poszukałam tematu do rozmowy:

– Czym się zajmujesz, Adrianie?

Oderwał wzrok od jezdni i skierował go na mnie.

– Właśnie skończyłem wymarzone studia i zamierzam poszukać pracy w zawodzie – powiedział.

Miałam spytać jakie, ale Marta zaczęła chichotać.

– Patrzcie. Na jedenastej – wykrzyknęła.

Prawie na wprost przedniej szyby zataczał się na chodniku jakiś pijaczek prowadzony przez odrobinę mniej nietrzeźwego kolegę. Obaj byli średnio czysti i średnio atrakcyjni, a ten bardziej pijany najwyraźniej zgubił gdzieś pasek, bo trzymał w garści wymykające mu się spodnie. Bielizną, niestety, nie dysponował, wobec czego raz po raz częstowani byliśmy widokiem jego wymiętych, porośniętych siwymi włosami genitaliów. Nienaturalnie duże jądra zwisały mu prawie do kolan.

– Uuuu – skrzywili się jednocześnie obaj chłopcy. Marta nadal chichotała. Wystraszyłam się, że wypali z jakimś niestosownym komentarzem, więc zmieniłam temat:

– Zapomniałam kupić ziemniaków – powiedziałam szybko – i pietruszki.

Na moje słowa wszyscy wybuchnęli śmiechem.

– Gratuluję szybkości kojarzenia – powiedział do mnie Adrian, po raz pierwszy demonstrując mi cudowny, szeroki uśmiech. – Oby tylko nie działało to także w drugą stronę.

Położyłam się spać dużo później niż zwykle, a i tak nie mogłam zasnąć. Wino wywietrzało mi z głowy, pozostawiając nieprzyjemny, ćmiący ból. Marta też kręciła się po mieszkaniu i skrzypiała drzwiami, raz po raz wrywając mnie z płytkiego, niespokojnego snu.

Kotłowały się we mnie wydarzenia całego dnia, a mieszanka emocji, będąca ich efektem, powodowała niepokój i nudności. Próbowalam sama siebie pocieszać, że rano wstanie nowy dzień i wszystko będzie się toczyło swoim zwykłym, uporządkowanym rytmem, tak samo jak działo się przez ostatnie tygodnie, miesiące i lata, ale, nie wiedzieć czemu, takie pocieszenie wcale nie dawało mi ukojenia. Wręcz przeciwnie. Skończyłam czterdzieści lat, moja córka kwitła pięknym, wiosennym uczuciem do chłopca, który prawdopodobnie wypełni jej czas poświęcany dotychczas mnie, a w moim życiu nic się nie zmieniało. Ta sama praca, te same przyzwyczajenia, ci sami ludzie spotykani codziennie w drodze do pracy. Zaczęłam myśleć o tym, jak będzie wyglądało moje życie bez niej. Smutne życie w pojedynkę w za dużym mieszkaniu z dwiema sypialniami. Niemal zobaczyłam, jak się starzeję na własnej kanapie, z kieliszkiem wina w ręku,

przykryta ulubionym szarym kocem, do którego stopniowo upodobni się moja twarz.

Może trzeba było szukać szczęścia, kiedy był jeszcze na to czas? Chodzić na te wszystkie aranżowane randki z kuzynem koleżanki, sąsiadem ciotki Matyldy albo bratem szwagra kasjerki ze spożywczego? Każdy z tych protegowanych kandydatów na męża miał być takim dobrym człowiekiem i mieć takie wspaniałe podejście do dzieci.

– Jeśli nie dla siebie, to dla dobra dziecka, Ewuniu. – Słyszałam dziesiątki razy, a ja uparcie, dla dobra dziecka, wolałam jednak spędzać czas z nim, zamiast szukać mu nowego tatusia.

Gdyby jeszcze któryś z owych absztyfikantów był choć w połowie tak przystojny jak... no, dajmy na to, jak Adrian. Kiedyś chyba w ogóle nie było takich facetów jak on, takich zbudowanych, zadbanych, z takim niezwykłym uśmiechem. Gdyby faktycznie pozował do rozkładówek, z przyjemnością powiesiłabym sobie jego zdjęcie przy łóżku.

Westchnęłam głośno i odpędziłam od siebie obraz jego ciała odzianego w skąpą bieliznę, ale on wracał uparcie mimo kolejnych westchnień.

PIĄTEK

Następnego ranka, w drodze do pracy, postanowiłam zrezygnować z windy i pomaszerowałam na swoje piętro schodami. Noga za nogą, w takt echa własnych kroków, pogrążałam się znów w sennych fantazjach. Moje życie erotyczne wciąż niewzruszenie tkwiło w sąsiedztwie paleozoicznych skamielin, ale nagle, po raz pierwszy od lat, zaczęło mnie to dziwnie uwierać. Miałam przecież sprawne ciało o nienajgorszym kształcie, dłonie, usta... Miałam wszystko, co w życiu erotycznym odgrywa znaczące role. Miałam nawet seksowną bieliznę, kupowaną od czasu do czasu pod wpływem jakiegoś filmu lub książki, i pierwszy raz od wieków zapragnęłam, żeby ktoś ją na mnie zobaczył! I to nie ktoś, byle kto, ale

ktoś podniecający, ktoś wartu uwagi, ktoś, kto potrafiłby sprawić, że ciało sztywnieje, serce przyspiesza, a krew buzuje jak chłodny szampan w eleganckim kieliszku na wysokiej nóżce.

Z chichotem i stukaniem obcasami minęła mnie dwójka młodych ludzi z mojego piętra. Zdaje się, że ona próbowała uciec przed jego dążeniami do podszczyptywania albo pocałowania jej na półpiętrze, ale z tego, co słyszałam, nie broniła się szczególnie zaciekle. Szef nie pochwalał romansów w pracy, więc od jakiegoś czasu usiłowali się kryć z uczuciami, ale trzeba być ślepym i głuchym, żeby nie rozpoznać pary zakochanych. Wodzili za sobą oczami jak szczeniaczki za piszczącą zabawką, ona podsuwała mu smakołyki w przerwie na śniadanie, a on dziesięć razy dziennie miał jakiś interes przy jej biurku.

– Dzień dobry, pani Ewo.

– Dzień dobry, pani Ewo – przywitali się po kolei.

– Dzień dobry – odpowiedziałam z uprzejmym rozbawieniem i przystanąłam, żeby mogli przejść.

Traktowałam ich trochę jak dzieci, bo przyszli do firmy zaraz po szkole i uczyli się odpowiedzialności niemal na moich oczach. Do tej pory bawiły mnie ich podchody i powłóczyście spojrzenia rzucone sobie ponad słuchawką telefonu, czasem nawet dawałam im coś, co mieli zrobić razem, bo świetnie się dogadywali również w sprawach służbowych.

Wtedy na schodach pierwszy raz pomyślałam, że zakochanie nie jest zarezerwowane dla młodych. Że ja też tak chcę!

W małej kuchence na zapleczu przygotowałam kawę dla siebie i dla Piotrka. Piotrek był Piotrkiem tylko dla mnie, dla pozostałych był panem Piotrem, założycielem firmy, która od kilku lat zbierała obfite żniwo jego zaangażowania i umiejętności.

Byłam z nim od początku istnienia firmy, a raczej nawet chwilę przed. Po śmierci mojego męża Piotrek był jedynym mężczyzną, który wydał mi się wart czasu zabieranego Marcie. Urzekł mnie tym, że któregoś razu na spacerze przystanął nagle i z rozbijającą szczerością wyznał mi, że się we mnie zakochał. Dwa miesiące później z równie rozbijającą szczerością powiedział, że już się odkochał, a jego sercem zawładnęła inna kobieta, o ironio, o tym samym imieniu, ale do tej pory skończyłam kurs samodzielnej księgowej i byłam zatrudniona w jego firmie za nieduże pieniądze. Zbyt nieduże, by się mnie pozbywać z tak błahego powodu jak odkochanie.

Potem firma się rozrosła, zatrudnialiśmy coraz więcej ludzi, zmieniliśmy siedzibę, ja stałam się prawą ręką szefa, a szef trzymał z dala od firmy wszystkie kolejne Ewy, Magdy, Roksany i inne warte kochania dziewczęta, które, jak mi się wydawało, z biegiem lat stawały się coraz młodsze. Nikt nie wiedział, że kiedyś

byliśmy razem, nawet ja zapomniałam o tym z upływem kolejnych lat bilansowych, chociaż od czasu do czasu puszczał do mnie oko i mówił, że niepotrzebnie się rozstaliśmy.

Podaliśmy mu kawę jak zwykle i jak zwykle spytałam, jak mu się spało. Jeśli był we frywolnym nastroju, wspominał również o tym, z kim spało się tym razem, a ja nieodmiennie przypominałam mu o rozsądku i antykoncepcji.

Kilka godzin po kawie poprosił mnie do siebie i wręczył wielki bukiet róż w stonowanym, herbacianym kolorze.

– Przepraszam, że nie pamiętałem wczoraj – pokajał się.

– O czym? – spytałam zaskoczona, bo mimo wieloletniej znajomości nigdy nie kupował mi kwiatów.

– O twojej czterdziestce – powiedział głośno i zamknął drzwi gabinetu.

– Daj spokój. To niby taka szczególna okazja?

– Czterdziestka to dość ważne wydarzenie. Można powiedzieć, że kamień milowy w życiu kobiety.

– A ty postanowiłeś mnie tym kamieniem docisnąć do gleby – warknęłam z wyrzutem. – Do wczoraj czułam się jeszcze zupełnie normalnie. Od wczoraj mam wrażenie, że postarzałam się o dziesięć lat i zaczęłam się nad sobą użalać jak stara baba.

– Ty nigdy nie będziesz stara – roześmiał się. – Starość to stan umysłu.

– W takim razie dzisiaj wysyłam swój umysł na urlop i wychodzę godzinę wcześniej, o ile oczywiście nie masz nic przeciwko temu.

– Nie ma sprawy, potraktuj to jak prezent z okazji przekroczenia magicznej granicy.

– Wolę taki niż kwiaty. Pozwól, że zostawię je na twoim biurku, żeby nie wzbudzać sensacji wśród innych. Gotowi pomyśleć, że próbujesz mnie uwieść.

– Pozwalam. A przed wyjściem nie zapomnij przelać mi dyszki.

– Nie zapomnę. – Wymownie machnęłam ręką.

Zanim jeszcze firma zaczęła przynosić pokaźne zyski, Piotrek powierzył mi wszystkie loginy i hasła do kont, także prywatnych. Można powiedzieć, że zarządzałam pieniędzmi, ludźmi i dokumentacją. Moje stanowisko na pewno dumnie by brzmiało z angielska. Kapitał żelazny, który nie był przeznaczony na rozwój firmy, inwestowałam długoterminowo, na rachunkach bieżących zakładałam krótkoterminowe lokaty, choćby jednodniowe, jeśli pieniądze miały czekać na jakiś większy wydatek. Lubiłam przyjść do pracy w poniedziałek rano i policzyć, ile zysku przyniosły moje operacje w ciągu weekendu. Zarządzałam również prywatnymi pieniędzmi Piotrka, ale polegało to głównie na pilnowaniu, żeby nie wydawał za dużo. W piątki moim stałym obowiązkiem było uzupełnić jego rachunek bieżący do pełnych dziesięciu tysięcy złotych. To był jego tygodniowy limit, bo miał zasadę, że żadna podrywka nie jest warta więcej niż

dyszkę na tydzień. Zgadzałam się z tym, chociaż niektóre potrafiły wyczerpać limit do ostatniej złotówki.

Przed wyjściem z pracy zadzwoniłam do Marty. Z okazji urodzin postanowiłam zrobić coś dla siebie, żeby poczuć się lepiej i stworzyć okazję do szczerzej rozmowy matki z córką. Zamierzałam zaproponować jej wspólne wyjście na basen i do sauny. Może nawet udałoby mi się zapisać nas obie na masaż...

– Mamunia, umówiłam się z Mateuszem – wykręcała się przez telefon.

– Kiedy?

– Teraz właśnie się umawiam, na czacie.

– Na czacie?

– Na czacie na fejsie.

– Boże, dziecko, mów do mnie po polsku, nie jesteś w szkole? – zdenerwowałam się.

– Jestem w szkole, ale mam Internet w komórce – wyjaśniła. – Mati chce mnie zaprosić na pizzę i na spacer.

– Koniecznie dzisiaj? – spytałam, ale nie wspomniałam o swoich planach, nie chciałam stawiać jej w sytuacji wyboru. A może nie chciałam poznać rezultatu takiego postawienia.

– Koniecznie dzisiaj. I prosto po szkole polecę po niego na PKS, więc nie wiem, o której będziemy.

– Będziemy?

– W domu, na obiedzie. Chyba zaprosimy go na obiad?

Pozostało mi wykorzystać wolną godzinę na zakupy w spożywczym.

Dzwonek zadzwonił w mało odpowiednim momencie. Główna bohaterka podejmowała właśnie decyzję, czy otworzyć drzwi ukochanemu, czy udać nieobecność, nie informując go o własnych uczuciach. W dresie, przy kieliszku wina kończyłam tydzień pracy w towarzystwie aktorów francuskiego filmu. Zastygłam w oczekiwaniu, co będzie dalej – otworzy? Pocałują się i ich miłość znajdzie swój erotyczny finał? Spróbowałam na chwilę zignorować rzeczywistość i pograć się w dylematach Moniki Bellucci, ale ponownie wyrwał mnie z nich podwójny, dworcowy gong dzwonka.

Niechętnie poczłapałam do drzwi, przez ramię cały czas oglądając się na telewizor. Marta i Mati poświęcili mi dwie godziny swojego cennego czasu, ale zaraz po obiedzie wyszli „na miasto” i mieli wrócić dopiero za dwie godziny, nie spodziewałam się gości, więc gotowa byłam jak najszybciej pozbyć się intruza.

Za drzwiami stał Adrian. Odwrócony plecami oglądał reprodukcje Moneta znajdujące się na klatce schodowej. W dżinsach i skórzanej kurtce zawieszony niedbale na ramieniu, w białej koszulce podkreślającej szerokie plecy i umięśnione ramiona prezentował się nawet lepiej niż ukochany Moniki Bellucci. Był też

znacznie od niego młodszy i jakiś taki... twardszy, bardziej jakby sprężysty. Ponieważ moje drzwi otwierają się cichutko, dłuższą chwilę mogłam obserwować jego zgrabną sylwetkę, wahając się nawet, czy nie pobiec zmienić własnego stroju na bardziej... filmowy. Miałam na sobie szare spodnie dresowe i zwykłą, na szczęście czystą, koszulkę z motylkiem, i w odniesieniu do francuskiej elegancji poczułam się nagle bardzo wymięta.

– Dobry wieczór – odwrócił się w końcu.

– Dobry wieczór.

– Przyjechałem – powiedział z uśmiechem.

– Widzę – odparłam, nie do końca wiedząc, o co mu chodzi.

– Przyjechałem po Mateusza.

– Teraz?

– Miał być gotowy o dwudziestej drugiej.

– Pozwoliłam Marcie zostać do dwudziestej czwartej – wyjaśniłam odrobinę skonsternowana. Nie wiedziałam, że powinnam z kimś konsultować, do której godziny pozwolić córce przebywać poza domem. Dwudziesta druga wydawała mi się żenująco wczesną godziną dla pary prawie dorosłych nastolatków. W ogóle cud, że zgadzali się na takie ograniczenia. Z tego, co pamiętam, w wieku Marty zdarzało mi się już zostawać gdzieś na noc i jak lew walczyłam z rodzicami o niezależność.

Adrian rozłożył ręce, sięgnął po telefon i po chwili uśmiechnął się pod nosem.

– Przyjeżdż o dwunastej – przeczytał na głos treść wiadomości z komórki.

Staliśmy po dwóch stronach progu, oboje nie wiedząc, jak się zachować. Nie powinnam czuć się wobec niego zobowiązana do czegokolwiek tylko dlatego, że moja córka romansuje z jego bratem, w salonie czekało na mnie wino i, sądząc po odgłosach z odbiornika, gorąca scena erotyczna, ale jednak niezręcznie mi było zamknąć mu drzwi przed nosem. Miałyby czekać dwie godziny na klatce schodowej? W samochodzie?

– Wejdz, proszę – zaprosiłam go w przyпіływie miłosierdzia. – Możesz u mnie posiedzieć, jeśli chcesz.

Wyraźnie się zawahał, a ja zgańiłam się w duchu. Taki chłopak jak on mógł mieć dziewczynę w naszym mieście, w sąsiednim mieście, w każdym mieście właściwie. Mógł pojechać do kawiarni, do dyskoteki, potańczyć, poszaleć, robić to, co teraz robi młodzież, czyli to, co dla mnie było obce, zamiast siedzieć w domu ze starą babą. Mogłam zaproponować mu co najwyżej dwie nudne godziny na kanapie i filiżankę herbaty z melisy. Poza tym – o czym miałabym z nim rozmawiać?

– Chętnie – powiedział, przerywając moje ponure wywody.

Minął mnie i wszedł do mieszkania. Zdjął buty, kurtkę zawiesił na wieszaku i stanął w przedpokoju. Jego szerokie ramiona zajmowały niemal całą przestrzeń wąskiego pomieszczenia. Wskazałam mu dłonią kierunek, ale cofnął się

i z galanterią puścił mnie przodem. Chcąc nie chcąc, musiałam się o niego otrzeć, co, nie wiedzieć czemu, sprawiło mnie w ogromne zażenowanie.

– Nie proponuję ci wina, bo jedziesz – powiedziałam, usadziwszy go na kanapie. Zajął moje miejsce na wprost telewizora, ale trudno, goście mają pierwszeństwo.

– Może być cokolwiek – odrzekł. – Co oglądasz?

– Właściwie nic – wymamrotałam, zerkając na ekran. Scena na szczęście już się skończyła i bohaterka zajęła się gotowaniem. Mnie nie chciało się stać w kuchni, więc tylko wzięłam z półki czystą szklankę, sok i ciasteczka i wszystko razem zaniósłam mu do salonu.

– Dziękuję – powiedział. – Nie chcę ci przeszkadzać, mogę w absolutnym milczeniu obejrzeć z tobą film.

Uśmiechnęłam się z wdzięcznością, bo wciąż uporczywie nie potrafiłam wymyślić tematu do konwersacji z młodym człowiekiem. Wszystkie te „bezpieczne” wykorzystałam już w Palmiarni. Jeszcze raz poszłam do kuchni z pustym kieliszkiem, dołałam sobie wina, nie zważając na jednokieliszkowy limit, który sama sobie zwykle nakładałam i, zapatrzona w ekran, na którym piękna Monika ogląda w wielkim lustrze swoje nagie ciało, odruchowo zajęłam ulubione miejsce na kanapie, siadając Adrianowi na kolanach. Cudem jakimś udało mi się jeszcze postawić kieliszek na zagraconym blacie ławy i nie wylać na siebie wina.

Zanim zdążyłam pomyśleć o niestosowności tej gafy, popełnionej w piątkowy wieczór przy zgaszonym świetle, winie i ogólnie krępujących okolicznościach, poczułam w tali jego dłonie, a na karku ciepły oddech. Zerwałam się speszona. Co miały znaczyć te jego ręce? Nie pomyślał chyba, że oczekuję od niego zapłaty w naturze za miejsce na kanapie i szklankę soku z grejpfruta?

– Przepraszam – powiedziałam możliwie spokojnie, bagatelizując incydent.
– Zwykle ja tu siedzę.

Obdarzył mnie cudnym, uwodzicielskim spojrzeniem.

– Nie gniewam się – rzekł ciepłym, odrobinę zachrypniętym głosem i posunął się o dwa centymetry. Przeszło mi przez myśl, że to spojrzenie i ten seksowny głos są zdecydowanie niestosowne w naszych wzajemnych matczyńsko-braterskich relacjach i nawet się rozżłościłam, że gówniarz dla sportu próbuje stosować na mnie jakieś swoje podwórkowe chwytaki. Żeby mu pokazać, że jestem ponad jego zagrywki, ze swobodą i godnością zajęłam swoje miejsce.

Przez dłuższą chwilę siedzieliśmy w milczeniu, oglądając film. Ja głównie starałam się uspokoić serce oszalałe z powodu nagłego zbliżenia do młodego, męskiego ciała i uporczywie niechące się uspokoić z powodu jego ciągłej obecności w pobliżu. Ramieniem dotykałam jego ramienia, a jego kolano dotykało mojego. Postanowiłam położyć stopy na ławie, żeby choć częściowo pozbyć się tej kłopotliwej bliskości, ale on na to rozparł się wygodniej, szerzej rozstawił nogi

i jego kolano wciąż dotykało mojego.

– Streścisz mi film? – spytał w końcu.

Szeptem opowiedziałam, kto jest kim. Zważywszy, że fabuła dotyczyła miłosnych relacji dwojga ludzi, nie miałam specjalnie dużo do powiedzenia. On kocha ją, ona jego. On chce być z nią, ona z nim, ale ma dylemat moralny.

– Dylematy moralne niepotrzebnie tak się rozdmuchuje – skomentował również szeptem, żeby nie zakłócać rozmiłowanych dialogów.

Bohaterowie filmu widocznie się z nim zgodzili, bo od tego momentu odłożyli na bok moralność i ich związek nabrał bardzo fizycznego wymiaru. Scena po scenie pogrążali się w świecie niemal bolesnej zmysłowości, wciągając w niego również nas, obecnych na kanapie, obcych sobie, skrępowanych. Nie wiem, czy to wino uderzyło mi do głowy, czy zapach testosteronu unoszący się w powietrzu, ale pierwszy raz od dawna film wzbudzał we mnie nie tylko rzewne, tkliwe wzruszenie. Oglądane obrazy, zamiast poruszać serce, poruszały zupełnie inne części ciała. W ustach mi zaschło, a oddech niekontrolowanie przyspieszał przy każdym mocniejszym „momencie”. Wszystko jakoś kołatało się we mnie niespokojne, spragnione, wygłodniałe. Ręce położone na brzuchu nie chciały tam leżeć beczynne i puste.

Półświadoma tego, co robię, obserwowałam, jak moja lewa dłoń zmierza w kierunku uda siedzącego obok mnie chłopaka. Palce zacisnęły się na nim, jakby testując siłę i napięcie mięśni, i na kilka chwil zamarły w tym geście niemego oczekiwania. Nic poza rytmicznymi jękami Moniki Bellucci nie zakłócało ciszy. Jego ciało wydawało się pozostawać w bezruchu, ale jednocześnie całą sobą czułam, jak przychylnie czeka na więcej.

Przesunęłam rękę wyżej, dotykając śmiało wybruszonego rozporoka. Potarłam go, połaskotałam i ścisnęłam mocno, powodując, że wybrzuszył się jeszcze bardziej. Całe moje ciało udawało, że nic się nie dzieje, tylko ta jedna ręka taka nieposłuszna...

Adrian westchnął i spróbował obrócić się w moją stronę, ale udało mi się go powstrzymać.

– Nic nie mów – szepnęłam zawstydzona – nie patrz na mnie, nie dotykaj, nie całuj.

Operując cały czas tylko jedną ręką, udając, że nie robię nic niestosownego, rozpięłam mu pasek i wyłuskałam z dziurki rozgrzany, metalowy guzik. Rozporek rozpiął się łatwo, wprawiony w ruch napierającą na niego siłą odśrodkową. Nie spiesząc się, odsłoniłam jego brzuch i wsunęłam dłoń w białe bawełniane bokserki. Chyba jeszcze nigdy dłoń moja nie była tak dokładnie, szczelnie, gorąco i sprężyste wypełniona. Palce z rozkoszą zajmowały się badaniem, odkrywaniem i zaspokajaniem własnej ciekawości. Mięśnie bez żadnego przymusu pracowały wytrwale, rytmicznie i z rozmachem. Z niepomiernym zdumieniem uświadamiałam

sobie gdzieś z tyłu głowy, że jeszcze potrafię pieścić mężczyznę, a jego ciało z entuzjazmem na te pieszczoty reaguje. Z entuzjazmem ciepłym, wilgotnym i obscenicznie wyraźnym. Szybkim, niecierpliwym i zachłannym. W ostatniej chwili pokierował moją niewprawną ręką, przytrzymując ją, póki ciepła sperma nie poląła się na nasze splecione palce.

On zastygł w bezruchu, ja, tonąca w zażenowaniu, sięgnęłam za siebie, żeby podać mu chusteczki, i całą swoją uwagę usilnie skierowałam na ekran telewizora. Tam wciąż trwał miłosny taniec dwojga połączonych ciał.

Adrian uporządkował ubranie i zwrócił się w moją stronę. Wstydziałam się na niego spojrzeć. Wykorzystałam go karygodnie, nawet jeśli on nie zdawał sobie z tego sprawy, to ja powinnam, ja w tej relacji byłam bardziej dorosła, dojrzała, odpowiedzialna! Nie mogłam pozwolić na kontynuowanie tego szaleństwa, spróbowałam powstrzymać jego rękę wędrującą w kierunku gumki moich spodni, ale był ode mnie mocniejszy, władczy i... i zupełnie nie byłam w stanie z nim walczyć.

– Nic nie mów, nie patrz na mnie, nie dotykaj i nie całuj – wydyszał mi prosto do ucha i językiem dotknął zagłębienia w szyi.

Coś na kształt oślepiającej błyskawicy przeszło mnie od czubka głowy po koniuszki palców u stóp. Choćbym nawet chciała protestować, to nie byłam w stanie wykrzesać z siebie nawet jednego „nie”. Jego ręce tymczasem były już na moich plecach, karku, brzuchu... Odruchowo oblizyłam nawet place włożone mi do ust, które zaraz potem powędrowały w dół, pokonały wątlą przeszkodę rozciągniętej gumki i trafiły bezbłędnie do wytęsknionego celu. Skoro wcześniejsze doznanie było błyskawicą, to kolejne mogłabym przyrównać tylko do rozszalałej burzy z piorunami. Wszystko, co we mnie tkwiło, dało się porwać jej sile. Wszystkie nieświadomione tęsknoty, niespełnione pragnienia, nieujarzmione namiętności. Wszystko zatańczyło razem, miotane niewzruszenie wytrzymała pieszczotą tego człowieka, tego chłopca – mężczyzny, który przypadkiem trafił na moją kanapę. Wszystko reagowało intensywnie, soczyście i prymitywnie, wydobywając ze mnie niekontrolowane krzyki, spazmy i odruchy. Jakże różniły się te doznania od płytkich orgazmów wywoływanych od czasu do czasu mechaniczną masturbacją. Szarpnięciem rozerwałam mu koszulkę, kopnięciem pchnęłam stół na stojak z płytami, przewracając go na drewniany blat. Świat zawirował.

SOBOTA

Obudziłam się rano przykryta kocem. Trochę obolała, trochę zmarznięta spojrzałam na wystygły ekran telewizora. Czyżby pod wpływem filmu przyśnił mi się ten niesamowity, mokry sen? Pusty kieliszek stał nieopodal, płyty leżały rozsypane na dywanie pod ławą i wokół niej. Z trudem zbierałam myśli i łączyłam zdarzenia w logiczne ciągi. Skoro płyty wypadły ze stojaka, ktoś musiał go przewrócić, ktoś musiał też przestawić ławę, która wciąż tkwiła w niewłaściwym miejscu.

Na nagły przyływ wspomnień zareagowałam bolesnym skurczem w kroku. Możliwe by to było, że noc miniona jest jawą? Czyżbym w prawdziwym życiu zdolna była do uwiedzenia chłopaka, który w dobrej wierze przyjął gościnę pod moim dachem? Czy naprawdę miałam w ręku to, co...

– Wstyd mi za ciebie, mamó – powiedziało moje dziecko, przysiadając mi na stopach.

Skurczyłam się pod kocem jak suszona figa.

– Upijasz się do lustra i zasypiasz przed telewizorem – ciągnęła z naganą w głosie. – Twoje szczęście, że Adrian czekał przed blokiem i Mati nie wchodził na górę, bo najadłabym się wstydu.

– Przepraszam – szepnęłam, dziękując w duchu wszystkim siłom tajemnym, że nie wiedziała o żadnych innych nagannych praktykach, które uprawiałam tej nocy. – O której wróciliście?

– Nie odwracaj kota ogonem – drażyla. – Martwię się o ciebie. Cały tydzień pracujesz, a w weekend siedzisz sama i osuszasz butelki jak jakaś patologia.

Zamierzałam coś powiedzieć, ale nie dała mi dojść do słowa.

– Mamo. – Pogłaskała mnie po twarzy, tak jak ja zawsze głaskałam ją. – Nie mam nic przeciwko temu, żebyś znalazła sobie kogoś do towarzystwa. Powinnaś. Jesteś jeszcze młoda.

Dobiła mnie tym „jeszcze”. Wymknęłam się do łazienki i długo stałam pod strumieniem kojącej, chłodnej wody. Woda zagłuszyła odgłosy krzątającej się po mieszkaniu Marty i wróciły obrazy minionej nocy, wymieszane z refleksją nad przemijającym czasem. Spróbowałam wyliczyć różnicę wieku między czterdzieści a... ile? Adrian nie wyglądał na dziecko, miał doskonale rozwinięte wszystko, co świadczy o męskości, ale bardzo trudno określić wiek tylko po wyglądzie. Poza tym od pierwszego spojrzenia czułam, że nie jestem zdolna do obiektywnego osądu jego osoby, ale zważywszy, że właśnie skończył studia, miał prawdopodobnie dwadzieścia cztery lata. Jedna z moich koleżanek miała syna w tym wieku. Byłaby to zatem różnica większa niż dekada, a to już nie brzmiało dobrze. Więcej niż tuzin brzmiało jeszcze gorzej, więcej i więcej, upiorne lata mnożyły się jak krople rozpryskujące się na mlecznej obudowie prysznicza.

Mimo dręczących wyrzutów sumienia moje ciało, od wczoraj żyjące jakby w oderwaniu od rzeczywistości, domagało się ponownej porcji dotyku, pieszczot i rozkoszy. Nie tak skąpej jak wtedy, ale pełnej, intensywnej i odpowiednio celebrowanej. Nie miałam prawa nakłaniać chłopaka do gorszącego związku bez przyszłości, więc z trudem odganiałam te pragnienia, przykręcając kurek z gorącą wodą i chłodząc ciało coraz bardziej. W ogóle powinnam go przeprosić za całą sytuację i nigdy już do tego nie wracać. Ewentualnie jeszcze podziękować, że przykrył mnie kocem i się wymknął, zanim młodzi wrócili do domu. Albo lepiej nie dziękować, z dziękowaniem trzeba by było może wracać do szczegółów, a to wzbudziłoby niepotrzebne emocje. Przeprosić raz i cicho sza! Ufałam, że okazja nasunie się sama.

Marta wykręciła się od cotygodniowych, sobotnich obowiązków domowych, przysięgając, że wszystko odpracuje w niedzielę, bo na czternastą umówiła się z Mateuszem na dworcu.

- Przyjedzie autobusem i przyjdziemy do nas, możemy?
- Oczywiście – pozwoliłam. Kazałam jej tylko wyszorować łazienkę i powyciągać brudną bieliznę z różnych zakątków mieszkania.
- Nie chcesz chyba, żeby twój ukochany wyciągnął twoje majtasy spod poduszki.
- Nie chowam majtasów pod poduszką – obruszyła się.
- A skarpetki pod łóżkiem?

Poczłapała do swojego pokoju, ale w połowie drogi odwróciła się i spojrzała na mnie podejrzliwie:

- Byłaś u kosmetyczki? – spytała.

– Nie.

– U fryzjera?

– Nie. Dlaczego?

– Jakoś inaczej wyglądasz – odparła. – Jakoś tak... młodziej.

Zarumieniłam się i uciekłam do kuchni. Czułam się też inaczej. Jakoś tak... zdecydowanie młodziej.

Marta uprzątnęła swój pokój i zaczęła przewracać szafy w poszukiwaniu odpowiedniej garderoby.

– A co myślisz o Adrianie? – krzyknęła. Na szczęście zza ściany, bo znów się zarumieniłam. Jakbym nagle cofnęła się w rozwoju o dwadzieścia lat i znów była tą naiwną dziewczyną, rozkochaną w chłopaku ze snów, rozemocjonowaną każdą jego nową pieszczotą. Na temat Adriana postanowiłam się nie wypowiadać.

– Ja uważam, że jest kochany – Marta dołączyła do mnie w kuchni. – Dzisiaj znowu obiecał Mateuszowi, że po niego przyjedzie. Gdyby nie on, nie moglibyśmy nawet pójść do kina, bo ostatni autobus do Gubina odjeżdża o osiemnastej, wiedziałaś?

– Niby skąd? – odparłam zgodnie z prawdą.

– Może ty też mogłabyś go czasem odwiedzić? – zaskomlała jak mały piesek, robiąc przy tym rzewną, słodką minkę.

– Co to znaczy „czasem”? A zanim odpowiesz, pamiętaj, że to jest sześćdziesiąt kilometrów w jedną stronę.

– Adrian go wozi – nadąsała się.

– Widocznie Adrian kocha go bardziej niż ja.

– Mamunia... – zajęczało moje dziecko, podsuwając mi przed oczy swoje słodkie oblicze.

– Warunkowo – zmiękłam. – Warunkowo zgadzam się od czasu do czasu go odwiedzić, ale tylko w weekendy i tylko o ludzkich porach wieczora, nie o piątej nad ranem. Oczywiście przy założeniu, że wasz płomienny związek potrwa dłużej niż do następnego weekendu.

– Oczywiście, że potrwa. Wyjdę za niego i będziemy mieli piątkę dzieci.

Parsknęłam śmiechem, bo myślałam, że żartuje, ale nie zorientowałam się w porę, że to jednak nie dowcip. Minę miała śmiertelnie poważną i zobaczyłam wyrzut w jej oczach.

– Nie można planować życia po dwóch dniach znajomości – zaczęłam łagodnie.

– Nie znamy się dwa dni, tylko dwa miesiące. Przez Internet można się poznać nawet lepiej niż w rzeczywistości, bo człowiek jest bardziej szczerzy, łatwiej przychodzą wyznania. Trochę się bałam, że na żywo nie będzie już mi się wydawał taki super, ale niepotrzebnie. Na żywo jest jeszcze bardziej super!

Dwa dni czy dwa miesiące, moim zdaniem jeden pies, w każdym razie za

mało, żeby przyjmować oświadczenia. Postanowiłam obrócić sprawę w żart.

– Dla mojego spokoju obiecaj mi, że za dzieci zabierzecie się dopiero po ślubie.

– Mamo! – zgała mnie i dla odwrócenia uwagi zaczęła mi szperać w torebce. – Gdzie masz telefon?

Telefon leżał na blacie między kubkami z herbatą a cukierniczką. Chwyliła go, popstrykała i oddała mi do ręki.

– Nigdy nie kładź telefonu tam, gdzie można go zalać gorącą herbatą – pouczyła mnie i dodała: – Wpisałam ci numer Adriana, bo może dzwonić, jeśli my nie będziemy odbierać. Umówiliśmy się znowu na dwudziestą czwartą, o ile nie masz nic przeciwko temu, a mam nadzieję, że nie masz, bo już się umówiliśmy, że pójdziemy razem do Kaśki, żeby Mati poznał moje koleżanki – paplała z uśmiechem. Typowa zakochana nastolatka.

– Nie mam nic przeciwko temu – powiedziałam, chociaż tym sposobem zrujnowała cały mój pomysł na wolną sobotę. Rano chciałam zabrać ją do dziadków, zostać tam na obiedzie, a potem pojechać razem z nią nad jezioro i pochodzić z kijkami wzdłuż brzegów. Zamiast tego, gładko przełykając gorzką pigułkę jej niezależności, obiecałam, że dam jej trochę pieniędzy na jakiś nowy ciuch na wieczór. Mnie samej pozostało co najwyżej zabrać się za sprzątanie mieszkania i wykorzystać jej ugodowość i nadmiar energii do wysprzątania klatki schodowej.

Kiedy Marta tłukła się za drzwiami z miotłą i wiadrem, wyszukałam w telefonie dopisany kontakt. Alfabetycznie wpisał się na pierwszym miejscu, więc pojawił się zaraz po odblokowaniu listy. Adrian. Jakie nietypowe imię. Dotychczas nie znałam żadnego Adriana. I tak ładnie mógł się zdrabniać. Rozmarzyłam się. Adi. Aduś. A...

– Strasznie śmierdzi ten domestos – krzyknęła Marta z przedpokoju.

– Oszalałaś, wzięłaś domestosa na schody? – Wyrwałam się z marzeń i pobiegłam ratować sytuację.

Po powrocie szybko chwyciłam telefon i kryjąc się przed Martą, wysłałam krótką wiadomość „Przepraszam”, zgodnie z planem, żeby przeprosić raz i cicho sza!

„Za co?” – dostałam szybciutką wiadomość zwrotną.

„Za całokształt” – odpisałam.

„Polecam się na przyszłość” – przyszło po dłuższej chwili, a ja postanowiłam już nie odpisywać. Czułam się za dorosła na zabawy w słówka niepotrzebnie przeciągające sprawę, którą chciałam jak najszybciej zakończyć.

Mniej więcej do osiemnastej udało mi się ignorować telefon z powiększoną o jedno imię listą kontaktową i zegar ścienny odmierzający leniwe minuty dzielące

mnie od ewentualnego spotkania. Przyjedzie – pojedzie – myślałam. Nie ma się co podniecać, może nawet nie wejdzie na górę...

Po osiemnastej zaczęłam odliczać kwadranse. Skoro umówili się na dwudziestą czwartą, Adrian przyjedzie dopiero za kilka godzin, ale jeśli jakimś niepojętym zrządzeniem losu znowu się pomyli i zadzwoni do drzwi dwie godziny wcześniej, tak natarczywie atrakcyjny, pachnący i świeży? Albo jeśli jeszcze bardziej niepojętym zrządzeniem postanowi celowo, tak jak poprzedniego wieczora, przyjechać za wcześnie i wolne godziny spędzić na mojej kanapie? Nie bardzo wierzyłam, by ten przystojny młody człowiek zechciał poświęcić dla mnie sobotni wieczór, ale jakaś mała częśćka mojej kobiecości, wbrew rozsądkowi i szeroko pojętej moralności, złożyła ręce do modlitwy i błagała, by jednak tak się stało.

Po dwudziestej już nie mogłam ścierpieć żółtego tempa mojego zegara. Dwa razy przystanąłam pod ścianą i przysłuchiwałam się, czy na pewno tyka. Zdjęłam go z haczyka, wytarłam kurz i umyłam szybkę. Potem robiłam tak samo z kolejnymi sprzętami. Koło dwudziestej pierwszej pomyłam już wszystko, co było w kuchni, i zabrałam się za lustro w przedpokoju. Lustro pokazało mi, że jestem trochę brudna od kurzu, a włosy związane gumką upodabniają mnie do pani woźnej z pobliskiego przedszkola, więc wzięłam szybciutki prysznic i znów posłałam powłóczyście spojrzenie w stronę zegara. Pół do dwudziestej drugiej. Poprzedniego wieczora o tej porze Adrian był już w drodze...

Pobiegłam do sypialni i wciągnęłam na siebie luźną, bawełnianą spódnicę, taką, jaką powinno się nosić w domu dla wygody i swobody ruchów. Taką, jaką można szybko ściągnąć, podciągnąć albo zrzucić. Pod spód włożyłam piękne, koronkowe stringi, które od kilku lat czekały na odpowiednią okazję na dnie szuflady, ale po minucie zdjęłam je i wrzuciłam z powrotem na dno. Takich majtek nie nosi się po domu. Powinam przecież wyglądać naturalnie, jakbym spędzała czas zwyczajnie, nie licząc na nic, nie czekając...

Założyłam szare, miękkie bokserki. Wygodne, niepozorne, babcine. Najzupełniej domowe, ale nie mogłam przecież pokazać się mężczyźnie w takich gaciach! Wciąż nie wiedziałam, czy zechce patrzeć, czy przyjdzie w ogóle, ale do licha, po co w ogóle kupiłam sobie takie bezjajowe barchany?

Znów wróciłam do szuflady i wybrałam zwyczajne, umiarkowane wycięte figi z koronkowymi wstawkami. Nowe, śnieżnobiałe, nawet seksowne. Pobiegłam nawet do lustra w przedpokoju i obejrzałam swój tyłek w tych figach, osłonięty spódnicą i nieosłonięty. Spódnica w górę, w dół, w górę, w dół... Zwariowałam chyba! Szykowałam się jak na randkę, chociaż nikt się ze mną nie umawiał, niczego mi nie obiecywał i niczego nie deklarował, a nawet jeśli, to nie powinnam takich deklaracji przyjmować, bo byłam na to zbyt dorosła i zbyt poukładane było moje życie.

Czas leciał, a jego nie było. Pomyślałam, że się łudzę, oczekując, że moja osoba zrobiła na Adrianie jakiegokolwiek wrażenie, że niepotrzebnie nakręcam własne zmysły, kiedy on pewnie zbagatelizował całe wydarzenie i do tej pory wyrzucił je już z pamięci, a moja córka wróci do domu i zastanie matkę trącą udem o udo pod luźną spódnicą... Coś na kształt rozczarowania ścisnęło mnie w dole brzucha. Kolejny raz pobiegłam do sypialni i, zła na siebie, naciągnęłam na tyłek ciasne, dzinsowe rurki zapinane na guziki, które dodatkowo zabezpieczyłam szerokim skórzanym pasem z ciężką klamrą.

Wtedy zadzwonił gong u drzwi.

Ręka spociała mi się już w trakcie naciskania klamki.

Stał tak samo jak wczoraj, odwrócony do mnie plecami, z włosami opadającymi na kark. Nie przygotowałam sobie żadnego tekstu na przywitanie, ale chyba i tak nie zdołałabym nic z siebie wykrztusić. On jakby chciał coś powiedzieć, ale słowo zamarło mu na ustach i poprzestał na patrzeniu na mnie z przesywającą intensywnością. Cokolwiek roiłam sobie w głowie przez cały wieczór, w jednej chwili stało się dla mnie faktem, że był to zaledwie przedsmak tego, co rzeczywiście mógł mi zaoferować. Nie było miejsca na wątpliwości, konwenanse i zastanawianie się, co wypada.

Czasem po prostu jest tak, że istnieje tylko jedna droga...

W ułamku sekundy pokonał dzielący nas dystans, pchnął drzwi z taką siłą, że futryna jęknęła zaskoczona intensywnością doznań. W butach, w kurtce, z telefonem w dłoni złapał mnie w pól i rozgniół wargi z łapczywością drapieżnika. Zabolalo, więc dotknęłam dłonią jego policzka i pogładziłam bardzo, bardzo delikatnie, sugerując, by nieco zwolnił. Odsunął się na pół chwili z pół-pytaniem, pół-rozkazem w oczach, a we mnie wszystko krzyczało, że tak, tak, tak, wszystko tak, byleby nie przestawał!

Uniósł mnie jedną ręką i oparł o drzwi łazienki z lekkością, z jaką ustawia się szmacianą lalkę na półce dziecięcego pokoju. Pozwoliłam zedrzeć z siebie bluzkę, ugryźć w szyję i unieruchomić między jego gorącym ciałem a zimną deską drzwi łazienkowych, i czułam, że w żadnym innym miejscu na świecie nie byłabym w tej chwili równie na miejscu.

Jedną ręką przygwoździł moje nadgarstki do górnej framugi, a drugą niecierpliwie dobierał się do spodni, ale wyrwałam się i puściłam ręce swobodnie jak węże buszujące po przydrożnych zaroślach. Wpychałam je wszędzie, gdzie odnajdywałam kawałek nagiego ciała – pod rękawy kurtki, pod bluzę, za pasek ciasnych, sztywnych spodni. W każdym z tych miejsc był taki gładki i rozpalony, szarpałam się, chcąc dotykać go wszędzie nie tylko rękami, ale wargami, językiem, własną nagą skórą... On szarpał się z moim paskiem i zaklął pod nosem, natrafiając pod nim na szereg metalowych guzików. Zatęskniłam za swoją bawełnianą spódnicą. Odwróciłam się, żeby mógł łatwiej uporać się z tą głupią

przeszkodą, ale zamiast tego ścisnął moje piersi i wgrzyzał się w rozgorączkowaną skórę karku. Przyciągnęłam jego biodra do pośladków i, mimo dzielących nas warstw materiału, poczułam ciepło, wilgoć i twardość w jego rozporoku. Sama rozpięłam upiorne guziki i pokierowałam jego dłoń prosto w moje nowe, śnieżnobiałe figi z koronkową wstawką, ignorując zupełnie natarczywy dźwięk polifonicznego dzwonka.

– Na dole. – Usłyszałam.

– Tak – szepnęłam. Niech robi, co chce, byle na dole.

– Mateusz i Marta są na dole – wycharczał, podciągając mi spodnie, które uparcie próbowałam opuścić. – Przy samochodzie. Wrócili już.

Poczułam się jak anioł zepchnięty z obłoku na zakurzony, zimny beton. W jednej chwili musiałam powściągnąć rozszalałe zmysły i znów grać rolę starej matki czekającej na dziecko z robótką w ręku. Zapięłam spodnie i poszukałam bluzki, Adrian tylko schował komórkę do kieszeni i poprawił włosy nad czołem.

– Lepiej do nich zejdę – powiedział, łapiąc mnie zniemacka za podbródek i całując po kolei w czoło, nos i usta. Zaczęliśmy chichotać jak dzieciaki.

– Zadzwoń – szepnął na pożegnanie.

– Zadzwoń – szepnęłam z tęsknotą w głosie i pobiegłam zamknąć się w sypialni, żeby Marta nie zobaczyła mnie w tym stanie.

Do późnej nocy, przy otwartym na oścież oknie, próbowałam ostudzić rozognione ciało.

NIEDZIELA

Marta przyszła do mojego łóżka o nieludzko wczesnej porze.

– Czego chcesz, potworze? – spytałam ją, otwierając tylko jedno oko. Drugie starało się jeszcze odespać trudną noc.

– Masz jakieś plany na dzisiaj? – Położyła się na kołdrze obok mnie. Już od jakiegoś czasu przestała wchodzić do mojego łóżka i przytulać się pod kołderką, jakby nie wypadało to dorastającej pannicy. Ale wciąż lubiła podłożyć głowę do głaskania.

Zważywszy, że była niedziela, a moje dziecko wyraźnie nie miało dla mnie czasu w ciągu ostatnich dni, ten chciałam po prostu spędzić z nią.

– Poniekąd – odpowiedziałam. – A co byś chciała robić?

– Mamy zaproszenie na obiad do Gubina – uśmiechnęła się słodko.

Postanowiłam otworzyć drugie oko.

– Już? Nie za szybko?

– Mati chce, żebym poznała jego rodziców.

– A rodzice o tym wiedzą?

– Wiedzą – odparła, śmiesznie rozciągając „e”. – Rozmawiałam z jego mamą przez telefon i ty też jesteś zaproszona.

– Jako twój osobisty kierowca – domyśliłam się.

– Nie, jako moja ukochana mamunia – podlizwała się – która zawsze potrafi poznać, kiedy mi na czymś bardzo zależy i nie odmówiłaby pochopnie.

– Wiem, że ci zależy, kochanie – odroczyłam na chwilę odpowiedź. Wolałabym, żeby dała mi kilka chwil na przemyślenie, zamiast brać mnie pod włos niewyspaną i półprzytomną. To oczywiście, że w swoim młodzieńczym rozkochaniu chciała spędzać z Mateuszem każdą chwilę, ale jak dla mnie, za szybko szło to do przodu! W czwartek jeszcze nie wiedziałam o jego istnieniu, a w niedzielę już byłam proszona na rodzinny obiad?

Inna rzecz, że na rodzinnym obiedzie z pewnością będzie obecny brat Mateusza. I mimo że w czwartek jeszcze nie wiedziałam o jego istnieniu, to w niedzielę naprawdę nie marzyłam o niczym innym niż zobaczenie go znowu.

– No dobrze – wymruczałam i odwróciłam się na bok. – Daj mi jeszcze pospać, żebym nie straszyla wyglądem.

– Dobrze. – Marta radośnie poklepała mnie po tyłku przez miękką kołdrę i zaraz dodała z trwogą: – O matko, a w co ja się ubiorę?

– O matko i córko! – odparłam. – Oby nie w suknię ślubną.

Sukni ślubnej w domu nie posiadałyśmy, ale wszystko pozostałe zostało wywleczone na kanapę w salonie.

Marta skończyła przymierzać swoje ubrania i niezadowolona z efektów zabrała się za moje. Do niedawna była jeszcze patyczakiem bez piersi i bioder, ale od jakiegoś czasu zaczęła ładnie wypełniać wnętrze ubrania, a niektóre moje bluzki wręcz nie dopinały się jej w biuście. Założyła jedną z bezpiecznych, jasnych koszul z kołnierzykiem i przymierzyła do niej szarą, ołówkową spódnicę.

– Wyglądam jak własna matka. – Skrzywiła się, zaglądając do lustra.

– Bardzo dziękuję – burknęłam obrażona.

– Nie mówię, że źle – wykręciła kota ogonem – ale jakoś tak za... poważnie.

Zabrałam jej swoją spódnicę i postanowiłam, że sama ją założę do białego topu i jakiegoś sweterka we wiosennym kolorze. Żeby było elegancko, ale bez przesady. Żeby przed rodzicami Mateusza wyglądała na odpowiedzialną, stonowaną i godną zaufania, tak jak powinna wyglądać matka. Pod spódnicę założyłam jednak delikatną jedwabną bieliznę i pończochy w cielistym kolorze, bo przy Adrianie dla odmiany nie chciałam czuć się jak matka, tylko jak kobieta!

Marta do mojej koszuli założyła rozkloszowaną spódniczkę w jasnofioletowe kwiatki i baleriny z uroczą kokardką. Wyglądała ślicznie jak sama wiosna. Nie przesadziła też z makijażem, muskając tylko rzęsy masarą i usta brzoskwiniowym błyszczkiem. Piękne było to moje dziecko w tym dniu, promieniejące uczuciem, świeżością i optymizmem. Powiedziałam, że ją kocham, i zamierzałam pogłaskać po głowie, ale odsunęła się gwałtownie.

– Nie ruszaj! Rozwalisz mi fryzurę.

– Kocham cię i tak – wyznałam bez używania rąk.

Adrian czekał na nas w samochodzie na peryferiach miasta. Dłuższą chwilę jechałam za nim, prowadzona przez miasto uśpione niedzielnym rozleniwieniem. Droga była pustawa, a na chodnikach widziałam tylko nielicznych, odświętnie ubranych mieszkańców, zmierzających prawdopodobnie, tak samo jak my, w odwiedzin do rodziny lub znajomych.

Dzień był pogodny i ciepły. Gdyby nie klimatyzacja, w samochodzie zapewne byłoby bardzo duszno.

Widziałam, że Adrian wciąż spogląda we wsteczne lustro, znacznie większą uwagę poświęcając mnie niż prowadzeniu auta, ale miałam prawie całą twarz zasłoniętą wielkimi okularami przeciwsłonecznymi, więc jeśli zamierzał wyczytać z mojej twarzy jakieś emocje, to nie miał żadnych szans.

Zatrzymał się na małym parkingu wybrukowanym szarym granitem i wysiadł z samochodu. Miał na sobie tylko jasnoszare spodnie, eleganckie buty z dość grubą podeszwą i białą koszulę z krótkim rękawem, która byłaby może zbyt elegancka na tę nieformalną okazję, gdyby nie była puszczone luźno i rozpięta pod szyją. Słońce błyszczało mu we włosach i musiałam mocno się starać, żeby zachować zimną krew, podając podsuniętą mi przy wysiadaniu dłoń.

– Dzień dobry, Adrianie – przywitałam się dość oficjalnie.

– Dzień dobry, Ewo – powtórzył mój ton. – Pięknie wyglądasz – dodał.

Przypomniało mi się, że podczas całej naszej znajomości widział mnie najpierw w podartej spódnicy, potem w rozciągniętym dresie, a na koniec w za ciasnych spodniach z paskiem jak pas cnoty. Wymuskana i umalowana z pewnością prezentowałam się dużo lepiej.

– Wybaczcie, że nie zapraszamy was do domu, ale ojciec, niestety, nie czuł

się na siłach, żeby wstać, i czułby się skrępowany, gdyby musiał leżeć, kiedy w domu są goście.

– W porządku – powiedziało naturalnie moje dziecko. – Gdzie Mati?

Adrian ruszył pierwszy, wskazując nam drogę do pobliskiej restauracji, a ja szarpnęłam Martę za rękaw.

– O co chodzi z ojcem? – szepnęłam. Spodziewałam się wizyty w mieszkaniu, domowego rosołku przy rodzinnym stole i kawałka domowego ciasta na deser, a zaproszono mnie do restauracji z menu i obsługą. Wydało mi się to dość niestosowne jak na pierwsze spotkanie, ale w spotkaniach takich nie byłam specjalnie oblatana. Trzeba było trochę się podszkolić w zakresie *savoir-vivre* przyszłych teściowych.

– Jest chory – odszepnęła. – Później ci opowiem.

Mateusz z mamą zmierzali ku nam od strony miasta niespieszonym, spacerowym krokiem. Mateusz przyspieszył, jak tylko dostrzegł Martę na schodach restauracji, i podbiegł do niej z naturalną swobodą, jak młody jelonek w zalotach na leśnej polanie. Matka poprawiła włosy nad czołem i wkrótce do nas dołączyła.

Adrian, który nie wiedzieć czemu przejął przywództwo nad tym półrodzinnym zgromadzeniem, przedstawił nas sobie w krótkich słowach.

– Krystyna, Ewa.

Podaliśmy sobie ręce z uśmiechem i zainteresowaniem w oczach. Każda badała wzrokiem tę drugą, tak jak bada się pracownika przed przyjęciem na etat, czy patrzy szczerze, czy zachowuje się swobodnie, czy nie przybiera żadnej sztucznej pozy.

Uderzyło mnie, że mimo gładkiej skóry i zgrabnego ciała wygląda na starą, zmęczoną i przygniecioną problemami. Zachowała ładną twarz, w której jednak nie odnalazłam nawet cienia podobieństwa do synów, ale jej oczy były zgaszone, a czoło pobrużdżone smutnymi zmarszczkami. Mimo całej rezygnacji, jaką wyrażało jej ciało, odezwała się głosem pogodnym i ciepłym, tak jak ten piękny, wiosenny dzień.

– A to Marta, domyślam się?

Marta nie skończyła jeszcze witania się z Mateuszem, ale słysząc własne imię, zeszła ze schodów i dygnęła przed Krystyną jak pensjonarka przed panią ochmistrzynią.

– No śliczna – powiedziała Krystyna, jakby zamierzała pochwalić Mateusza za wybór, a mnie za macierzyńskie zdolności.

– Dziękuję – dygnęła jeszcze raz Marta, a głos miała słodziutki, jakby przez cały tydzień żywiła się tylko miodem.

– Charakter też ma nienajgorszy – pochwaliłam to swoje słodkie dziecko.

– Mamo, chcesz mnie sprzedać?

– Ja biorę – zaoferował się Mateusz.

Jeszcze chwilę staliśmy przed wejściem i słuchaliśmy, jak młodzi żartują o nominalnej wartości kobiety. Wadzili się bezceremonialnie i ze swobodą, pozwalając sobie na znacznie więcej życzliwych uszczypliwości, niż wskazywałaby ich krótka znajomość. Pomyślałam, że o tym, jak dobrze ludzie się rozumieją, wcale nie decyduje staż związku.

W restauracji mieliśmy zarezerwowany stolik z widokiem na rzekę, ozdobiony pachnącymi upojnie gałązkami bzu. Obrus był biały, okna czyściutkie, a kelner w długim do kostek fartuszku pospieszył z menu, zanim zdążyliśmy usiąść. Powitał nas po niemiecku, ale Krystyna od razu przestawiła go na język polski.

– Proszę nam dać chwilkę na zastanowienie – powiedziała władczo.

Mimo panującej wokół krzątaniny rejestrowałam wyraźnie, że większość gości porozumiewa się po niemiecku, a na każdym stoliku leży dwujęzyczne menu. Pan, który właśnie płacił za posiłek zjedzony przy stoliku obok, położył na talerzyku należność w złotówkach, a kelnerce wsunął do fartuszka napiwek w euro. Ta podziękowała mu jakąś, ewidentnie dobrze wyćwiczoną, niemiecką formułką. Mimo że nie przypominałam sobie, żebym przekraczała rzekę lub most, zaczęłam się zastanawiać, czy znajduję się jeszcze we własnym kraju.

– Euromiasto – powiedział do mnie Mateusz, widząc, że rozglądam się z zaciekawieniem.

Marta zamówiła sobie tylko sałatkę i przez większość czasu gadała o wszystkim, co jej ślina na język przyniosła. Chwilami próbowałam ją przystopować, ale Mateusz skutecznie mi bruździł, wciąż podrzucając nowe tematy.

Krystyna też uprzejmie wypytywała o jej szkołę i plany na przyszłość, ale zauważyłam, że raz po raz zerknęła na mały zegareczek. Niezręcznie byłoby spytać o zdrowie męża, skoro nikt nie podejmował tego tematu, a miałam wrażenie, że wręcz omijają go szerokim łukiem, ale wyczuwało się w niej jakiś niepokój związany zapewne z tym, że zostawiła go bez opieki. Siedziała u szczytu stołu, a Adrian po jej prawicy wciąż uczynnie podsuwał jej serwetki, przyprawy albo szklankę z napojem. Ja siedziałam naprzeciw niego i z przyjemnością patrzyłam, jak pochłania słusznej wielkości danie bez wybrzydzenia, odkładania i grzebania w talerzu. Krystyna musiała dostrzec moje zapatrzenie, bo pogłaskała Adriana po rękę i powiedziała do mnie:

– Przystojny jak ojciec.

Zakłopotalam się i udałam, że nie mogę odpowiedzieć z powodu jedzenia.

– Mateusz też – ciągnęła – ale Kasia to cała ja.

– Masz jeszcze córkę? – zainteresowałam się.

– Tak, ale ona to zupełnie inna historia. Usamodzieliła się zaraz po szkole

i tyle ją widzimy. Na szczęście chłopcy póki co trzymają się domu.

– Mamo, nie mów o mnie „chłopiec” – żartobliwie zaprotestował Adrian. – Czy ja wyglądam na chłopca?

Jeszcze raz pogłaskała go po rękę i powiedziała:

– Dla mnie zawsze będziesz chłopcem.

Ja, na myśl o tym, co wyprawiałam z jej chłopcem, z zażenowaniem zasłoniłam twarz serwetką.

Skończyliśmy obiad, wypiliśmy po filiżance kawy i przeszliśmy spacerowym krokiem na pobliską Wyspę Teatralną, polską, ale leżącą jakby pomiędzy dwoma krajami. Wschodni most łączył ją z polskim brzegiem, a zachodni z niemieckim. Zielona, drobna trawka była wydeptana w miejscach, gdzie biegły umowne komunikacyjne skróty przechodniów, ale my szliśmy karnie szerokimi, wygodnymi chodnikami. Marta z Mateuszem maszerowali dziarsko kilka metrów przed nami i, pozwalając nam się przysłuchiwać, konwersowali z zawziętością o historii ziem zachodnich. Nie miałam pojęcia, skąd ona tyle wie na ten temat, ale z każdą chwilą byłam z niej coraz bardziej dumna.

Kiedy doszliśmy do połowy zachodniego mostu, Krystyna przystanęła i po raz kolejny zerknęła na zegarek.

– Przepraszam cię, Ewo, ale wolałabym już wrócić do domu – rzekła. – Wy sobie spacerujcie, możecie jeszcze przejść się deptakiem po Guben, a mnie Adrian odwiezie, co?

– Mamo, może pojedziesz z nimi? – zaproponowała Marta, a ja spojrzałam na nią z przyganą. Po pierwsze – nie chciałam się narzucać, a po drugie – wiedziałam dobrze, że kieruje nią głównie chęć pozbycia się mnie na kilka kwadransów.

– Jasne, przy okazji pokażę ci kawałek miasta – podłapał Adrian.

Wyczuwałam, że jego głos nie jest do końca pozbawiony jakiegoś podtekstu, ale bałam się, że jeśli zacznę zbyt żywiołowo protestować, to sama ten podtekst wydobędę. Posłałam Marcie złe spojrzenie i bez gadania zawróciłam ze ścieżki.

Miasto nie było rozległe. W kilka minut dojechaliśmy do ładnej, starej kamienicy, która jednak lata świetności miała dawno za sobą.

– Przepraszam, że nie zapraszam cię na górę – powiedziała na pożegnanie Krystyna, choć nie dodała do tego żadnego wytłumaczenia. – Bardzo mi było miło cię poznać.

– Mnie również, do zobaczenia.

– Do zobaczenia – powiedziała i zniknęła za ciężkimi drzwiami.

Adrian zawrócił na małym podwórku zastawionym samochodami i pojechał w kierunku przeciwnym niż ten, z którego przyjechaliśmy. Po pewnym czasie zaczął relacjonować to, co ukazywało się za oknem.

– Z perspektywy samochodu miasto nie wygląda zbyt okazale, ale gdybyś zechciała poświęcić mu kilka godzin, pospacerować po deptaku... Mógłbym załatwić wejście na wieżę kościoła farnego. Widzisz go?

Schyliłam głowę i spojrzałam we wskazanym kierunku. Imponująca bryła zrujnowanej budowli pyszniła się na tle bladobłękitnego nieba. Wieża przywodziła na myśl bajkę o uwięzionej tam księżniczce i walczących o jej wolność księżętach na białych rumakach.

– Macie swoją legendę? – spytałam.

– Nawet kilka, ale niestety, żadna nie jest wystarczająco romantyczna – odparł, skręcając w kolejną szarą drogę.

– Wystarczająco romantyczna jak na co?

– Jak na ten piękny majowy dzień. Nie wiesz, że maj to miesiąc zakochanych?

Uśmiechnęłam się smutno. Dla mnie maj oznaczał ożywienie w interesach i zostawanie w pracy po godzinach, ewentualnie mycie okien, bo w słoneczne dni znacznie bardziej widoczny był na nich miejski kurz i odciski palców.

Zostawiliśmy za sobą miasto i jechaliśmy wyboistą, zarośniętą drogą.

– Pokażę ci jedno miejsce – wyjaśnił Adrian, zanim zaczęłam się niepokoić, że wywozi mnie do jakiegoś lasu, gdzie mnie nikt nie znajdzie.

Zatrzymał samochód w pierwszych napotkanych krzakach i otworzył mi drzwi, zapraszając na krótką przechadzkę.

– Jesteśmy na Górze Śmierci – powiedział, kiedy wysiadłam.

– Mam nadzieję, że nie jest to miejsce składania ofiar i nie wydrzesz mi bijącego serca na jakimś kamieniu – zażartowałam, ale w rzeczywistości nie czułam się w tym miejscu zbyt pewnie. Ziemia była mokra i obcasy grzęzły mi w ścieżce, kłujące trawy łaskotały odsłonięte nogi, dookoła rosły skarłowaciałe drzewa i sterczały ponuro badyle uschniętych jabłoni. Bałam się spytać o historię tego miejsca, bo od razu wyczułam, że wiąże się z nim jakiś smutek i sentyment dawno utraconej chwały.

Adrian wiódł mnie wąską ścieżką, której niewyraźny zarys był widoczny chyba tylko dla bywalców tego miejsca.

– Tu była kiedyś restauracja – powiedział, kiedy wyszliśmy na kawałek wolnej przestrzeni. Przed nami roztaczał się wspaniały widok na miasto przedzielone rzeką graniczną. W mieście tym dymiły kominy, a na obrzeżach zieleniły się soczyście ogródki działkowe ozdobione kwitnącymi drzewkami owocowymi.

– Wyobraź sobie metalowe stoliki z białymi parasolami, schludnych kelnerów krążących pomiędzy nimi z tacami na dłoni. Byłoby wspaniale, gdyby udało się znowu doprowadzić to miejsce do porządku, posadzić tu kwiaty, zrobić ścieżki spacerowe, altany, może jakieś tarasy widokowe – gorączkował się. –

Kiedyś to miejsce tętniło życiem, dziadkowie przyprowadzali tu swoje wnuczeta na lody, młode małżeństwa przychodziły spotkać się ze znajomymi, piękne młode kobiety w jasnych sukniach dawały prowadzić się pod rękę... Pani pozwoli, że służę ramieniem – uklonił mi się z galanterią.

Dygnełam z uprzejmym uśmiechem.

– Pan wybaczy, ale nie założyłam dziś odpowiedniej sukni.

Nie chciałam go dotykać, bo entuzjazm, z jakim opowiadał o wzgórzu, jego temperament i żywiołowość przypomniła mi o dzielącej nas różnicy wieku. Ja zaczynałam już myśleć o wnukach. On jeszcze chciał zmieniać świat.

Szepnęłam, że powinniśmy wracać, i marszowym krokiem pospieszyłam z powrotem do auta.

Adrian usiadł za kierownicą i włożył kluczyk do stacyjki, ale nie próbował go przekręcić.

– Zamierzałem cię pocałować – powiedział z rękami na kierownicy. Nie wiem, czy na mnie patrzył, bo po prostu odwróciłam głowę, zbierałam słowa do zakończenia tej niestosownej relacji. – Istnieje taka tradycja albo raczej pogląd – mówił dalej – że jeśli mężczyzna przywiezie na Górę Śmierci kobietę i pocałuje ją w blasku majowego słońca, to oboje zachowają wieczną młodość.

– Naprawdę? – roześmiałam się. – A jak długo istnieje ta tradycja?

– No... – zastanowił się – gdybyś dzisiaj zgodziła się mnie pocałować, to za rok byłoby równo... rok. To raczej pobożne życzenie niż tradycja.

– Tak myślałam.

– Zawsze warto próbować.

Wciąż nie odpalał silnika, więc zebrałam się w sobie.

– Posłuchaj, Adrianie, pochlebia mi, że mnie... – poszukałam słowa – adorujesz, ale rozumiesz chyba, że nie mogę pozwolić, żeby ta... – znowu poszukałam słowa – sytuacja jakoś się rozwijała.

– Niby dlaczego? – spytał. Wydawał się rozbawiony, co mnie mocno zdenerwowało. I tak czułam się nieswojo. Może w jego wieku takie sprawy można traktować niefrasobliwie, w moim na pewno nie, ale różnice metrykalne postanowiłam przemilczeć.

– Moja córka chodzi z twoim bratem. Nie sądzisz, że byłoby co najmniej dziwne, gdyby nas też zaczęło coś łączyć?

– A ty nie sądzisz, że już nas coś łączy? – spytał wciąż z rozbawieniem.

Kilka mocnych scen mignęło mi w pamięci, ale szybko je przepędziłam.

– Na pewno nie z mojej inicjatywy – palnęłam.

– Nie? – zdziwił się. – A kto pierwszy dobrał mi się do rozporzeka?

Poczułam, że cała krew zbiera się we mnie i płynie w kierunku twarzy. Zdaje się, że nawet włosy zrobiły mi się bardziej rude.

– Przeprosiłam i temat uważam za zakończony – powiedziałam tak chłodno,

na ile było mnie stać – i bardzo proszę, żebyś ty również uznał go za taki.

Z przekorą pokręcił głową, włosy opadły mu na twarz, więc nie widziałam, czy nadal sobie żartuje, czy mówi poważnie, głos miał w każdym razie dość rzeczowy.

– Założmy, że się zgodzę. Ale pod warunkiem, że zrobisz to jeszcze raz. I nie mam na myśli przeprosin, tylko ich... przedmiot.

Krew z twarzy wróciła na swoje miejsce i zagotowała mi się w żyłach. Ty główniarzu bezczelny, będziesz mnie szantażował – bulwersowałam się, ale tylko gdzieś w środku. Na zewnątrz całkiem spokojnie kazałam mu się wypchać.

– Nie dam ci tej satysfakcji – powiedziałam, odwracając głowę. Powinnam wysiąść z auta, ale dokąd miałabym pójść na tym wygwizdowie? Nie wiedziałam nawet, przy jakiej ulicy dokładnie stoi mój samochód.

Wtedy poczułam jego dłoń we włosach i dość intensywne szarpnięcie. Oparł nadgarstek na moim karku, a palce wplótł w kosmyki, dzięki czemu mógł dyrygować mną jak kukielką na patyku.

– Jak ty nie dasz, to sam wezmę – wyszeptał i zaraz potem jego wargi rozgniotły moje, zaskakując mnie znowu swoją zachłannością.

Moje ciało w pierwszej chwili zareagowało obronnie. Oddech zamarł, mięśnie stężały, a kolana się zacisnęły. W drugiej chwili poczułam gniew, który skumulował się gdzieś w okolicy gardła. Tego, co poczułam w trzeciej chwili, nie potrafiłabym nazwać nawet za pomocą wszystkich słowników języka polskiego. Złościł mnie ten młokos, prowokował i pozwalał sobie za dużo, ale za jego sprawą topniałam jak kra na pustynnym słońcu. Nawet wbrew samej sobie poddawałam się każdej pieszczocie z rozkoszą i entuzjazmem, pozwalając mu na coraz więcej. Wszystko we mnie uległo, zanim zdążyłam ocucić ogłuszony rozsądek, usta już oddawały pocałunki, mięśnie poddały się jakiemuś pulsującemu rytmowi, nogi rozsunęły się posłusznie pod wpływem jego dotyku. Czułam, jak jego palce suną wewnętrzną stroną uda od kolana w górę i docierają do granicy pończochy. Kiedy dotknął nagiej skóry, oderwał ode mnie usta.

– Oszaleję przez ciebie – wydyszał.

On przeze mnie? Wolne żarty! Robił wrażenie takiego opanowanego, jakby co dzień przywoził tam kobiety, żeby wodzić je na pokuszenie. To mnie ogarnęło szaleństwo! To mną zawładnęło do cna, do dna i do otchłani! To ze mną tarzało się nago po łące porośniętej ziołami! A kiedy poczułam, jak jego palce wślizgują się do mojego wnętrza, moje szaleństwo wzięło mnie na ręce i zaczęło tańczyć ze mną walca. Zdaje się, że nawet zaczęłam go głośno śpiewać, przechodząc od razu na wysokie tony.

– Dziewczyno, jesteś gorąca jak... – Nie dokończył.

Byłam gorąca jak kipiąca lawa na dnie wulkanu, jak rozgrzane do białości żelazo we wnętrzu kowalskiego pieca, a on wciąż rozdmuchiwał ten ogień.

Nie wiem, co byłoby dalej. Nie wiem, czy pozwoliłabym sobie na seks w miejscu publicznym, w biały dzień i przy odsłoniętych oknach, ale kolejny raz sprowadził nas na ziemię telefon, dzwoniący uparcie i raz po raz domagający się posłuchu.

Adrian odebrał i z niepokojem potarł dłonią czoło.

– Musimy jechać. Ojciec gorzej się poczuł – powiedział i uruchomił silnik.

Swoje rozgrzane do białości żelazo musiałam wrzucić do wiadra z zimną wodą.

Rozumiałam oczywiście, co znaczy choroba, ale kiedy Adrian wysadził mnie w pobliżu mojego auta, żegnając tylko zdawkowym „Do zobaczenia”, poczułam się trochę jak stary telewizor wyrzucony przy drodze. Zadzwoiłam do Marty, każąc jej szybko do mnie dołączyć, i wykorzystałam samotne chwile na to, żeby ochłonać. Znowu, cholera, dałam się podejść jak pierwsza naiwna. Dobrze, że w porę dostrzegłam we wstecznym lusterku, jaka jestem potargana, i zdążyłam się ogarnąć, zanim młodzi przyszli do auta, trzymając się wzajem w czułych objęciach. Nie chcieli się jeszcze rozstawać, a ja nie chciałam mówić Mateuszowi o ojcu, więc zagrałam twardą heterę i kazałam Marcie po prostu wsiadać do auta.

Przez lata wspólnego życia poznała już, kiedy mówię poważnie, więc nie starała się przeciągać spotkania. Dopiero kiedy wyjechałyśmy za miasto, powiedziałam jej, skąd moje zdecydowanie, i zaczęłam wypytywać.

– Co to za choroba?

– Rak – odparła lekkim głosem, zupełnie jakby mówiła o katarze albo alergii na pyłki. Spojrzałam na nią z naganą, ale co taki dzieciak mógł wiedzieć o śmierci? Śmierć własnego ojca nie zrobiła na niej żadnego wrażenia, bo ani go nie znała, ani nie mogła zatęsknić za jego obecnością, więc tym bardziej nie wzruszała jej choroba obcego człowieka. Jej życie składało się ze szkoły, zakupów i lajkowania na Facebooku, więc jak mogłam wymagać, by pochyliła się nad przemijalnością życia?

– Rak czego? – dopytałam poważnym, grobowym tonem, więc i ona przestała się tak radośnie wdzięczyć.

– Nie wiem dokładnie.

– Ale taki... uleczalny?

– Chyba właśnie nie. – Schowała twarz w dłoniach. – To trochę temat tabu. Mateusz uprzedzał mnie, że ojciec choruje i nie chce, żeby ktoś go oglądał w takim stanie. Przed chorobą był w świetnej kondycji, nawet biegał w maratonach, ale teraz schudł, zmarniał i prawie wcale nie wychodzi z domu. Nie może znieść tego, że ludzie się nad nim litują.

– A matka?

– Matka żyje tą chorobą. Opiekuje się nim. Widać to po niej, nie?

– Widać – przyznałam.

Przez dłuższą chwilę jechałyśmy w milczeniu, a ja docisnęłam pedał gazu trochę ponad dozwoloną prędkość. Droga nie zmieniła się przez kilka godzin, odkąd jechałyśmy w tamtą stronę, a ja znów miałam wrażenie, że zmieniało się moje życie.

– Dobrze mieć kogoś takiego, prawda? – powiedziała Marta, jakby po dłuższym namyśle.

– Jakiego?

– Takiego, że zaopiekuje się tobą w razie choroby.

– Tak – odparłam – dobrze.

PONIEDZIAŁEK

Przyjechałam do pracy pierwsza, zalałam poranną kawę i oparłam czoło o ścianę nad włącznikiem światła. Rozpaczliwie potrzebowałam kilku godzin snu, bo minione noce nie dawały mi ani odpoczynku, ani ukojenia. Przy zamkniętym oknie zbyt duszno, przy otwartym za zimno. Pościel drażniła skórę, a ptaszydła za oknem doprowadzały mnie do szaleństwa, przypominając wciąż romansowe banały z *Romea i Julii: Jeszcze ranek nie tak bliski, słowik to, a nie skowronek się zrywa*[1]. Skołowana i rozdrażniona ukręciłam łebek jednemu i drugiemu.

– O, widać, że koleżanka miała udany weekend. – Usłyszałam. – Dlaczego nie włączysz światła?

Magda pstryknęła jednocześnie włącznikami światła i czajnika elektrycznego. Woda w czajniku zaszumiała, a światło z jarzeniówki poraziło mi źrenice.

– Tak, szalenie – powiedziałam ironicznie.

– Czyżby mężczyzna? – pozwoliła sobie zapytać, bo łączyły nas relacje nie tylko służbowe. Przez dziesięć lat biurko w biurko nie da się nie zaprzyjaźnić, nawet jeśli nie latałyśmy razem na dyskoteki i zakupy. Magda była ode mnie trochę młodsza i regularnie brała urlopy macierzyńskie, niedawno wróciła z czwartego, ale wciąż uparcie twierdziła, że nie zamierza poświęcić życia na wychowywanie dzieci i po prostu obniżyła godzinę pracy do trzech czwartych etatu.

– Po czym wnosisz? – spytałam z ironią, wycierając załzawione oko tak, żeby nie rozmazać tuszu do rzęs.

– Jeżeli kobieta jest skonana, ale promienieje, to to musi być mężczyzna – powiedziała z pełnym przekonaniem.

– To nie mężczyzna – odparłam z równym przekonaniem, a w duchu dodałam: „To smarkacz”. – W każdym razie nie mój – zmieniłam temat dla bezpieczeństwa i zaczęłam opowiadać o Mateuszu. Magda odznaczała się ogromną empatią, byłam pewna, że po kilku pytaniach kontrolnych i kilku posiłkowych albo wyciągnęłaby ze mnie całą prawdę o Adrianie, albo sama się jej domyśliła z półprawd, wykrętów i niedomówień. Jako matka czwórki dzieci była chodzącym wykrywaczem kłamstw.

– Promienieję? – Tknęło mnie.

– No – potwierdziła.

– Pewnie od ostatniego namaszczenia. Czuję się jak z krzyża zdjęta.

– Chodź ze mną na zumbę, zobaczysz, jak się odstresujesz. Poznasz bliżej naszego Felipe.

– Wolę poznać bliżej swoją kanapę – wykręciłam się i poszłam do biurka ze swoją kawą. Po tym, jak namówiła mnie na jogę i aerobik w wodzie, reagowałam awersją na instruktorów. Joginka miała się za osobę bezpruderyjną i nowoczesną – przy każdym ćwiczeniu obmacywała mnie z każdej strony i namawiała na jakieś

bliżej nieokreślone przygody seksualne.

– Dobra dupa zasługuje na dobry seks – mawiała w szatni niby żartem i chyba kontrolnie sprawdzała, czy mam odpowiednio umięśnione pośladki. Zdarzało się jej też pod pozorem pomocy przytrzymać za udo, naciągnąć ramię i potrzymać za biust. Na czwartej jodze już zachowawczo zaciskałam uda na wypadek, gdyby postanowiła sprawdzić mi mięśnie Kegla. Instruktor na basenie z kolei tak nachalnie przyglądał się młodym dziewczynom, że któregoś razu podałam mu ręcznik, żeby przynajmniej zasłonił erekcję.

Magda podążyła za mną.

– Chodź, kręgosłup przestanie cię boleć – namawiała.

– Odpukać, jeszcze mnie nie boli.

– Ale zacnie, zobaczysz, jeszcze parę lat i wyrośnie ci garb od roboty.

– Wolę jechać do Ochli i obrobić ogródek – powiedziałam z mocą i głośno postawiłam kubek na blacie na znak, że rozmowę uważam za zakończoną.

Do Ochli wybierałam się tak czy siak, bo tam w wielkim domu z ogrodem mieszkali moi rodzice i brat z rodziną. Żadne z nich nie miało serca do ogrodu, który przez większość roku zarastał bujnie i szaleńczo, więc pozostawiali mi wolną rękę w doprowadzaniu go do stanu zbliżonego do uporządkowania. Wiosną przed domem mama sadziła jakieś bratki w doniczkach, ustawiała wyblakłe krasnale ogrodowe i uzupełniała karmniki dla ptaków, ale cały obszar za domem należał wyłącznie do mnie. Po każdej długiej zimie karczowałam te tereny za pomocą łopaty i siekiery, paliłam liście, grabiłam zeszłoroczne badyle, podcinałam krzewy i próbowałam tworzyć truskawkowe grządki. Potrafiłam poświęcać całe weekendy na szarpanie się z perzem albo rąbanie ściętych gałęzi, ale potem wracałam do mieszkania w mieście, do pracy, do Marty i ogród znów zarastał, witając mnie za każdym razem chwastami i kretowiskami w miejscu moich truskawek. A ja za każdym razem z uporem maniaka zakasywałam rękawy i brałam się znów do pracy, która stanowiła coś w rodzaju terapii, zumby i pilatesu razem wziętych.

Piotrek przyszedł do biura jako trzeci. Oczywiście miał podkrążone, ale jaśniejące. Zastanawiałam się, czy słowa Magdy da się dostosować do mężczyzny. Jeśli mężczyzna jest skonany, ale promienieje...

– Chyba nowa kobieta – szepnęła konspiracyjnie Magda.

– Dzisiaj troszeczkę mocniejszą – powiedział po przywitaniu i zamknął się w pokoju.

Zaniósłam mu podwójnie poślodzoną kawę z odrobiną koniaku, bo to w jego języku oznaczało „mocniejszą”, i zaczęłam zbierać dokumenty z jego biurka. Kiedy pracował, lubił mieć wszystko pod ręką. Pootwierane segregatory walały się po podłodze i wszystkich blatach, niektóre nieludzko zakurzone, bo sprzątaczką miała kategorię zakaz dotykania dokumentów, nawet jeżeli coś zaczynało na nich rosnąć. Ograniczyłam się tylko do uporządkowania luźnych kartek leżących

na wierzchu, żeby nie zalał ich kawą, i pomacałam jednym palcem, czy ziemia w doniczce z kaktusami nie jest zbyt sucha. Nie była. Zatrzymałam się jeszcze przy koszmarnych afrykańskich maskach, które wisiały za jego plecami, i poprawiłam jedną z nich. Byłam ciekawa, czy tym razem zostało coś z jego „dyszki”, ale usiłowałam zachować cierpliwość, póki sam nie zacznie mówić.

– Nie pytaj – powiedział, zanim zdążyłam otworzyć usta.

– Nie pytam – uśmiechnęłam się. – Mam tylko nadzieję, że jest choć odrobinę starsza od mojej córki i że pamiętałeś o rozsądku i antykoncepcji.

– O – upił pierwszy łyk kawy – jest dużo starsza od twojej córki, rzekłbym nawet, podwójnie starsza, a może i nawet potrójnie. Ile ma Marta?

– Prawie osiemnaście – odparłam i pewna, że nie jest świadomy upływu czasu, od razu dodałam dwa do dwóch – razy trzy to będzie pięćdziesiąt cztery, więc chyba się mylisz.

– Chyba ty się mylisz, kochana Ewuniu. – Pokiwał głową i siorbnął trochę kawy. – Myślisz, że skoro umawiam się z młodymi dziewczynami, to nie potrafię docenić prawdziwej kobiecości, ale właśnie zostałem uświadomiony, że kobieta w odpowiednim wieku jest jak twoja kawa – mocna, słodka i stawia, że tak powiem, na baczość.

Parsknęłam rozbawiona i zaczęłam, aż przyzna, że żartuje, ale nic takiego nie nastąpiło i mimo że niepojęty wydawał mi się romans Piotrka z kobietą powyżej ćwierćwiecza, postanowiłam przemyśleć to później.

– Na baczość – dodał jeszcze znad filiżanki.

Wolałam sobie darować to, co kobiety stawiają mu na baczość, i zwyczajnie wyszłam z jego gabinetu. Zamykając drzwi, słyszałam, jak podśpiewuje radośnie *To był maj...*

– Ewa! – zawołał mnie jeszcze raz.

– Tak? – Wróciłam.

– A jak twój weekend?

No cóż. W piątek podstępnie uwiodłam chłopaczka, którego poznałam w czwartek. W sobotę niemal dałam się przelecieć na drzwiach własnej łazienki, w niedzielę pojechałam do obcego miasta obnażać się w miejscu publicznym.

– Że tak powiem... całkiem może być – odparłam wykrętnie.

– Na kanapie przed telewizorem? – domyślił się, na co przypomniał mi się moment, jak w akompaniamencie jęków Moniki Bellucci kopałam w stół i rozrywałam męską odzież.

– Dokładnie tak.

– Tak myślałem.

PIĄTEK

Nigdy jeszcze wiosna nie wydała mi się tak męcząca, dni tak długie, wieczory duszne, a noce irytujące. Wciąż miałam trudności z zasypianiem i wciąż uparcie nie chciałam przyznać, co jest tego powodem, chociaż powód wracał do mnie wciąż w jakichś urywanych snach, nocnych marach i mokrych fantazjach, które wytrwale podsuwała mi moja rozbuchana podświadomość. Otwierałam okna w sypialni i do późna oglądałam księżyc, próbując dostrzec świat takim, jakim on go widzi – dalekim i miernym ze swoimi małymi problemami, wielkimi tragediami i szalonymi fantazjami niezaspokojonych kobiet.

Właśnie kiedy żaliłam się księżycowi, przyszło mi na myśl to właściwe określenie – niezaspokojona. Pierwszy raz czułam się fizycznie niezaspokojona. Byłam jak płyta, której nikt nie słucha, albo jak książka odłożona na półkę, nieczytana latami, zakurzona, zapomniana, z zacierającym się wizerunkiem na okładce. Straszliwie zapragnęłam znaleźć się w silnych, spragnionych rękach, które zetrą kurz z okładki i po latach docenią wartość ukrytej w środku treści.

Mój mąż nie przyzwyczał mi do nadmiernej admiracji fizyczności. Jeśli faktycznie byłabym książką, nie doszedłby dalej niż do końca pierwszego rozdziału. Nasze małżeństwo zaczęło się za wcześnie, żeby odnaleźć w seksie coś więcej niż szybkie zaspokojenie szybkich pragnień powodowanych szybkimi reakcjami hormonalnymi. Szybki seks rano, szybki seks wieczorem, szybka ciąża, szybkie kłopoty finansowe. Za pracą, za pieniędzmi wyjechał do Niemiec i widzieliśmy się tylko raz na kilka tygodni, kiedy to przyjeżdżał do domu i usilnie próbował nadrobić w łóżku stracony czas. Szybko zaszłam w drugą ciążę, którą poroniłam, a on znów wyjechał, tym razem do Holandii, za lepszą pracą i lepszymi pieniędzmi. Z Holandii przyjeżdżał już tylko raz na kilka miesięcy i te krótkie wizyty miały się nijak do prób odbudowania pierwszej miłości, fascynacji i zachwyty sobą nawzajem. Zanim potrafiłam przywyknąć do jego obecności w domu, nowych oczekiwań w sypialni i obcego akcentu w głosie, już wyjeżdżał znowu, zostawiając mnie tylko z Martą w maleńkim mieszkaniu nad księgarnią.

Byłam mu wierna, czekałam zawsze z utęsknieniem, pomagałam Marcie pisać długie listy do taty, a wieczorami zabijałam czas, czytając książki pożyczone od właścicielki księgarni. Także te o miłości i te z odważnymi scenami zmysłowych rozkoszy bohaterów, chociaż te ostatnie zawsze wydawały mi się wysznanymi z palca pobożnymi życzeniami autorów płci męskiej. Nie potrafiłam wyobrazić sobie, że kobieta może postradać zmysły z powodu fizycznego zbliżenia ciała, że dla kilku chwil niepewnej przyjemności łamie konwenanse i odrzuca wszelką przyzwoitość, że błaga mężczyznę, by „w nią wszedł”, zapomina się w szale namiętności, a na koniec szlocha z rozkoszy i wdzięczności, że zrobił to, co pewnie każdy inny zrobiłby z równą ochotą. Gdzieś między wierszami tych historii ukryty był nieznany mi kontekst powodujący, że zwyczajnie nie wierzyłam, by takie rzeczy zdarzały się naprawdę. Inna sprawa, że nigdy nie próbowałam tego kontekstu odszukać...

Kiedy Marta awansowała w przedszkolu z grupy średniaków do starszaków, dostałam informację, że mój mąż zginął w wypadku.

– Wypadek na drodze, mąż pania nie żyje – tak dokładnie powiedział ktoś przez telefon.

Rodzice Marka załatwili wszystkie formalności, a ja pograżyłam się w rozpacz. Umiarkowanej, tak jak nasze małżeństwo. Musiałam tylko oddać mu sprawiedliwość, że pośmiertnie zadbał o mnie i Martę – z zagranicznego ubezpieczenia dostałyśmy bająką kwotę w walucie, która pozwoliła zmienić maleńkie mieszkanko na wygodny apartament i zabezpieczyła nas finansowo na długo.

I przez całe to życie wypełnione obowiązkami, nauką, pracą, wyjazdami na wycieczki, zalotami różnych wakacyjnych absztyfikantów, nieudanymi randkami aranżowanymi przez zatroskanych znajomych, nigdy nie próbowałam odnaleźć

owego kontekstu dla kobiecego szaleństwa, zapomnienia i upojnych rozkoszy. Nigdy nie czułam się niezaspokojona, niespokojna, spragniona, pusta i łaknąca. Aż do czasu tamtych dusznych, majowych nocy.

Prośbę Marty o pozwolenie na wyjazd do Gubina przyjąłm niemal z ulgą. Pomna tego, że mój związek z Adrianem nie ma ani szans, ani przyszłości, nie mogłam jednak nie przyznawać sama przed sobą, że zwyczajnie marzę o tym, żeby go znów zobaczyć. Od niedzieli przysłał mi dokładnie dwie wiadomości na komórkę, pierwszą z przeprosinami i żalem, że musiał mnie tak nagle porzucić, drugą z zapytaniem, czy na najbliższy weekend planuję oglądanie czegoś ciekawego w telewizji. Na żadną nie odpowiedziałam, bo na odległość moja silna wola zerwania niestosownego układu z jego osobą wydawała się odrobinę silniejsza niż w jego bezpośrednim pobliżu.

– O której mam po ciebie przyjechać? – spytałam od razu Martę. Ponieważ miała jechać autobusem od razu po szkole, wydało mi się oczywiste, że do wieczora dość się nacieszą swoim towarzystwem.

– No właśnie nie wiem – zaczęła kluczyć. – Bo w sobotę chcielibyśmy pojechać na taki pchli targ w Niemczech. Może bym sobie kupiła coś fajnego. W sumie bez sensu, żebym jeździła tam i z powrotem, jak mogę zostać na noc.

Spojrzałam na swoje dziecko surowym wzrokiem.

– Co to, to nie – powiedziałam zimno.

– Jego mama wie.

– Twoja też wie, ale mówi stanowcze nie.

– Mamo! – krzyknęła z wyrzutem. – Ze wszystkich moich koleżanek ja mam najkrótszą smycz.

Rozbawiło mnie to porównanie, ale zachowałam stosowną powagę.

– Bo ze wszystkich twoich koleżanek ty jesteś najbardziej ukochanym dzieckiem – odparłam i wróciłam do pakowania kanapek na drugie śniadanie.

– O matko! Nie wytrzymam z tobą!

– O matko i córko! – Przytrzymałam ją za ramiona. – Zrozum, że to nie wypada. Jego ojciec leży chory, matka nie śpi po nocach, żeby go doglądać, a ty będziesz się tam przemykać w piżamce do łazienki, jak jakaś zjawa? I gdzie cię położą? Mają tyle pokoiów, żeby ktoś nie musiał ustąpić ci swojego? Bo nie myślisz chyba, że tak od razu zgodzą się, żebyście spali w jednym łóżku?

Ze złości i rozczarowania oczy jej się zaszklily, więc zlagodziłam wypowiedź.

– Przyjdzie czas, to wyjedziecie sobie gdzieś razem. Może w góry, może nad morze, może nawet zgodzę się, żebyś wzięła trochę z tych pieniędzy po tacie i szarpniecie się na kilka dni w spa?

– Kiedy? – spytała rzeczowo, ale już nie zła i nie rozczarowana, już roiała

sobie w główce bajkową scenerię spacerów po plaży, pocałunków przy zachodzie słońca i... nie, nie chciałam myśleć, co jeszcze.

Wolałam uniknąć odpowiedzi, bo gdybym miała być całkowicie szczerą, wybrałabym rok dwa tysiące trzydziesty. Nagle zaczęłam być zdania, że młodzi nie powinni zaczynać seksualnych relacji przed ukończeniem trzydziestki i bez uzyskania pisemnej zgody rodziców.

– Nie wiem, temat jest do obgadania – wykręciłam się.

Uratował mnie stary budzik nastawiony na godzinę wyjścia z domu. Wcisnęłam Marcie kanapki i pchnęłam ją w stronę drzwi.

– Leć na autobus.

Wybiegła, a ja usiadłam przy kuchennym stole i zakryłam twarz rękami jak staruszka po ciężkiej przeprawie. O, gdybyż mój staruszek mąż mógł mnie w tej chwili pocieszyć...

Po pół minucie zadzwonił telefon i usłyszałam głos Marty pomieszany z odgłosem tuptania jej obcasów na klatce schodowej.

– To przyjedź po mnie o dziesiątej – zakomunikowała mi.

– O ósmej – targowałam się.

– Mamo!

– Niech będzie o dziewiątej. Wezmę twoją smycz.

Zmierzchało, kiedy dojeżdżałam do Gubina, i dopiero znajdując się na wysokości dawnych jednostek wojskowych na peryferiach, uzmysłowiłam sobie, że nie wiem, dokąd jechać. Marta nie powiedziała, jak zamierzają z Mateuszem spędzić popołudnie – czy będą u niego, czy w jakimś pubie, gdzie młodzież hałaśliwie spędza czas przy pizzy i piwie. Zadzwoniłam na jej komórkę i spytałam, gdzie dokładnie znajduje się w tej chwili.

– Dokładnie pod lasem – powiedziała, chichocząc. W tle słyszałam muzykę i jakieś wesołe głosy.

– To wcale nie jest śmieszne – powiedziałam oschle, bo bardzo nie lubiłam nie wiedzieć, z kim jest i co robi. Taka nadopiekuńczość samotnej matki, która ma tylko jedno dziecko.

– Poczekaj, dam ci Adriana, to cię pokieruje.

– Dobry wieczór, Ewo, gdzie teraz jesteś? – Usłyszałam jego głos w słuchawce i na myśl o tym, że za chwilę go zobaczę, mój żołądek zawiązał się na supeł.

Dobry kwadrans dyrygował, jak mam kluczyć ulicami obcego dla mnie miasta tylko po to, żebym znów z niego wyjechała w zupełnie innym kierunku.

– Jedź asfaltową drogą, póki nie miniesz pomarańczowego domu z białymi drzwiami. Powinien być oświetlony ledami.

Po swojej lewej rzeczywiście zobaczyłam zadbane, pomarańczowy domek

z umieszczonymi pod rynną lampkami, które ładnie oświetlały jego bryłę.

– Widzę.

– Za tym domem skręć w lewo, a po jakichś stu metrach znowu w lewo.

Skręciłam w lewo i po stu metrach, ze sprawdzeniem licznika, zatrzymałam się na poboczu.

– Widzę tylko jakieś łąki – powiedziałam z powątpiewaniem do telefonu. Denerwowałam się, ale bardziej chyba jego głosem i perspektywą rychłego spotkania niż tym błędzeniem po polach i ugorach.

– Między łąkami powinna być droga, widzisz ją?

– Widzę.

– A na końcu drogi majaczy zarys lasu?

Przyjrzałam się uważniej, rzeczywiście majaczył.

– A na tle lasu widzisz zapalone światło i smugę dymu?

– Widzę.

– No, to jedź w stronę światła.

Im bardziej zbliżałam się do celu, tym większe było moje rozbawienie wynikające z obserwowanych scen. Tak blisko miasta, ale na całkowitym bezludziu młodzież odprawiała coś jakby pogańskie obrzędy, tańcząc dookoła ogniska i ciskając w ogień badyle wzbijające wielkie płomienie. W ślad za badylami w ogień szły kępy zgrabionej, suchej trawy, która posyłała w powietrze tumany gęstego, białego dymu. Wyglądali jak ponure duchy rozmywające się w ciemnościach poza zasięgiem ognia.

Zatrzymałam auto byle gdzie i spróbowałam podejść do młodzieży najkrótszą drogą przez zarośla, ale z ciemności dobiegł mnie przyprawiający o drżenie kolan głos Adriana:

– Nie tamtędy, tam będzie stał płot, wejście będzie z tej strony.

Nie widziałam go jeszcze, ale moja wyobraźnia już podsunęła mi przed oczy jego twarz, sylwetkę, dłonie i usta. Jechałam tam porządna, spokojna i zapięta na ostatni guzik, ale już po kilku jego słowach wpadłam w stan lekkiego poluzowania własnych norm i zasad. I, jak przy każdym z dotychczasowych spotkań, z każdym krokiem przybliżającym mnie do niego, brnęłam coraz dalej w decyzji, aby dla samej siebie pozwolić sobie pokosztować tego zakazanego smaku niedojrzałych jabłek...

– Witam – powiedział, podchodząc bliżej, i podał mi rękę, spróbował również pocałować mnie na powitanie, ale lekko obróciłam głowę, żeby pocałunek wylądował na policzku.

– Witam również – rzekłam. – Widzę, że wieczór dopiero się zaczyna.

– Wręcz przeciwnie, wszystko zjedli i nie ma już co palić. Zaraz się rozejdą.

Marta z Mateuszem podbiegli do nas, trzymając się za ręce. Miałam dać jej

reprimendę, że powinna uprzedzić o ognisku, dałabym jej pieniądze na jakieś zakupy, ale od razu dostrzegłam, że dla niej w tej chwili takie przyziemne rzeczy, jak kiełbasa na ognisko, nie miały żadnego znaczenia. Uzmysłowiłam sobie też, że od pierwszego dnia realnej znajomości z Mateuszem wciąż jedno drugiego nie wypuszcza z rąk.

– Już przyjechałaś? Już dziewiąta?

– Już dawno po dziewiątej.

– Chodź do nas jeszcze na chwilę.

Nie miałam nic przeciwko temu, żeby zostać w tym miłym towarzystwie. Założyłam płaskie obuwie, więc mogłam wygodnie przemieszczać się po nierównym terenie porośniętym kępiastą trawą, młeczem i małymi sosenkami, które wyglądały na dzikich lokatorów tego miejsca.

– Jak chcesz, to Adrian pokaże ci dom – powiedziała Marta.

– Jaki dom?

Dopiero wtedy daleko za ogniskiem, które stanowiło tego wieczora punkt centralny zgromadzenia, dostrzegłam zarys domu oświetlonego tylko smętnie wiszącą nad drzwiami żarówką w samej oprawce.

– Tamten – Adrian wskazał kierunek, w którym już patrzyłam.

– Jasne, chętnie – powiedziałam zaciekawiona. – Czyj to dom?

Adrian puścił do mnie oko i pociągnął za rękę. Doszliśmy do drzwi, które nie były zamknięte na klucz, i weszliśmy do surowego, ciemnego wnętrza. Dopiero kiedy zapalił światło, odpowiedział na moje pytanie:

– Mój.

– Kiedy zdążyłeś wybudować dom? – zapytałam z niedowierzaniem. Skoro dopiero skończył studia, jakim sposobem znalazł na to czas i pieniądze?

– Szczerze? Zaprojektowałem go już w podstawówce.

– Tak, oczywiście – mruknęłam z ironią i z ciekawością rozglądałam się po wnętrzu. Okna były zasłonięte folią, betonowe podłogi zastawione materiałami budowlanymi, ale większość ścian wyglądała na wykończone, czekające na pomalowanie.

– Serio, to mój idealny, wymarzony dom. *Best dom ever* – zaśmiał się.

Postanowiłam nie pytać ani o czas, ani o finanse – były to tematy równie drażliwe, co choroba ojca, ale przez pryzmat tego domu zobaczyłam Adriana w zupełnie innym świetle. Miał marzenie, które wytrwale realizował. Prawdopodobnie przy wielkich wyrzeczeniach, ale miał dość charakteru, by nie zrezygnować w połowie drogi.

– Salon, kuchnia, tu będzie sypialnia, gabinet, a tu – otworzył przede mną kolejne drzwi – pokój dziecka.

– Dziecka? – Tego pytania nie potrafiłam zatrzymać dla siebie, choć również było z gatunku drażliwych. Przynajmniej dla mnie – kobiety w wieku dalekim od

rozrodczego szczytu.

– Wtedy, kiedy rysowałem dom, to ja byłem tym dzieckiem. Dlatego ten pokój jest największy. Chciałem mieć mnóstwo półek pełnych zabawek, tor wyścigowy na podłodze i łóżko, do którego wchodzi się po drabinie.

Podniosłam głowę i zobaczyłam gotową, wykończoną już antresolę z barierką.

– I wszystko jest na swoim miejscu – stwierdziłam.

– Przed rozpoczęciem budowy musiałem tylko dorysować kuchnię, bo wyobraź sobie, że dla dziecka kuchnia nie jest miejscem godnym do zajmowania przestrzeni wymarzonego domu. Kiedy wracałem ze szkoły, obiad zawsze stał na stole i chyba wydawało mi się, że sam się tam materializuje.

– O, Marta długo miała to samo – palnęłam i zaraz pożałowałam, że przyrównałam go do swojej córki. Podkreśliło to różnicę wieku między nami, a w tamtej chwili wcale nie miałam ochoty czuć się jak stara matrona.

Przeszliśmy do malutkiej łazieneczki z prysznicem wyłożonym czarnym marmurem. Kamień robił wrażenie chłodu i ciepła równocześnie. Właściwie od razu wyobraziłam sobie wspólny prysznic i nagie ciała opierające się o jego gładką fakturę, ale nie dałam nic po sobie poznać. Adrian odkręcił kran nad umywalką i zachęcił mnie gestem do umycia rąk. Posłusznie wsunęłam palec pod strumień ciepłej wody.

– Czujesz? – Gorączkował się.

– Woda – powiedziałam zgodnie z prawdą.

– Ale ciepła?

– Ciepła – potwierdziłam, nie wiedząc, o co chodzi. Woda jak woda.

Roześmiał się radośnie jak dzieciak.

– Kiedy zaczniesz budowę od rysowania patykami po ziemi zarysu fundamentów, to uwierz mi, że ciepła woda w kranie to szczyt marzeń.

Zerknęłam w stronę prysznica, ciekawa, czy tam również leci już ciepła woda i czy zdarzało mu się z niej korzystać, ale szybko mi przerwał te przyjemne wizualizacje.

– Ale pokażę ci coś lepszego – powiedział.

Przeszliśmy do pustego salonu, gdzie wskazał na betonową podłogę.

– Połóż się.

– Na betonie? – zdziwiłam się mocno, więc rozwinął z wałka kawałek cienkiej pianki i rozłożył obok zawieszzonego nad podłogą kominka.

Posłusznie położyłam się na piance.

– Czujesz? – spytał.

– Co?

– Ciepło.

Póki co czułam się po prostu głupio, leżąc na betonie i nie wiedząc, jak

ułożyć ręce i nogi, a w tyłek było mi zwyczajnie zimno. Gdyby położył się obok, to może i poczułabym ciepło.

– A mam czuć? Bo jakoś niespecjalnie...

Przykucnęła i zaczął obmacywać dłońmi płaszczyzny wokół mnie.

– Co jest, kurde? – mruknął z wyraźnym zaniepokojeniem i pobiegł do jakiegoś pomieszczenia za łazienką.

Poleżałam jeszcze chwilę, ale widząc, że moje ciało prędzej doczeka się tam zainteresowania patologa niż jego, otrzepałam się z kurzu i dołączyłam do Adriana. Walczył z jakimiś przewodami wystającymi ze ścian i skrzynek i wydawał się nawet dobrze orientować w całej tej plątaninie.

– Odpaliłem piec i do południa wszystko działało, jak należy – mamrotał jakby do mnie, ale był całkowicie zaaferowany instalacją. Marszczył brwi i zagryzał dolną wargę.

Przestań zagryzać wargę, Anastazjo[2] – przypomniał mi się kultowy cytat i dopiero w tamtej chwili zdałam sobie sprawę, że taki odruch faktycznie może być podniecający dla obserwatora.

Szkoda tylko, że nie ja wzbudzałam emocje, które go wywoływały.

– Tu jest, tu jest, tu jest – mamrotał dalej. – Aha, tu wyłączyłem! – ucieszył się w końcu, popstrykał, pomacał rurki i pobiegł jeszcze raz sprawdzić temperaturę podłogi. – Zaraz powinna się nagrzać.

Stałam w przedpokoju pomiędzy pootwieranymi drzwiami i czułam się odrobinę odsunięta na drugi plan, ale Adrian jakby przypomniał sobie o mojej obecności i wrócił dotrzymać mi towarzystwa. Jego myśli zajmowała jeszcze instalacja centralnego ogrzewania, bo wciąż przygryzając dolną wargę, zastanawiał się, po co ruszał wyłączniki.

– Przestań przygryzać wargę, A... – powiedziałam, kładąc mu dłoń na policzku, ale nie dokończyłam imienia, bo uzmysłowiłam sobie, że wątpliwym jest, by taki chłopak jak on przeczytał *Pięćdziesiąt twarzy Greya*.

Rozluźnił szczęki, a w miejscu zagryzienia pozostał wilgotny ślad przypominający otarcie kawałka skórki na soczystej brzoskwini. Kciukiem dotknęłam wargi, która okazała się mięciutka i delikatna. On nic nie robił, czekał. Patrzył na mnie przenikliwie i z tym nieustannym, irytującym rozbawieniem w oczach. Jakby mnie prowokował, wyzywał do zrobienia czegoś, co zastąpiłoby uśmiech wyrazem innego rodzaju. Łatwiej mi było ulegać jemu niż samej przejmować inicjatywę, ale czułam się odpowiedzialna za pieszczotę, którą przecież sama zaczęłam, więc pierwsza zbliżyłam usta i pocałowałam wilgotny ślad na jego wardze. Potem pocałowałam go prosto w usta.

W ciszy domu, którego nie wyposażono nawet w tykający zegar, przyspieszenie mojego serca odbijało się echem od nagich ścian.

Postarałam się. Był to pocałunek z gatunku tych powieściowych, które to

zapierają dech i doprowadzają do szaleństwa. Bardziej mnie niż jego, ale liczyłam w duchu, że szaleństwo w takich sytuacjach jest zaraźliwe. Takich, które dotychczas uważałam za wyssane z palca historie dla starych panien, wciąż mających nadzieję na wielką miłość. Adrian roztaczał wokół siebie magiczną atmosferę zmysłowości, młodości i tajemniczości, która tworzyła oszałamiający kontekst dla prozaicznej wymiany płynów ustrojowych.

Ponieważ bez obcasów byłam od niego sporo niższa, pozwoliłam złapać się za uda i unieść do góry, do poziomu jego twarzy. Zrobił dwa kroki do przodu i przycisnął moje plecy do tylnej ściany kominka zbudowanej z nieotynkowanych jeszcze, pomarańczowych cegieł. W tamtej chwili pozwoliłabym mu na wszystko, czego by zażądał, będąc święcie przekonaną, że robię to wyłącznie dla siebie, dla swojego szczęścia, swojej satysfakcji, swojej przeraźliwie domagającej się spełnienia cielesności. Mój rozsądek zamknął się zawstydzony w jakimś cichym zakątku i nie próbował nawet dawać znaku życia.

Podczas gdy jego ręce błędziły niezdecydowanie pomiędzy granicą moich ud i pośladków, swoje wplotłam mu we włosy i próbowałam dyrygować jego pocałunkami. Usta, dekolt, zagłębienie szyi. Wyjątkowo domyślnie podążał za sugestiami. W kroku czułam zniewalające mrowienie prowokowane chyba głównie uciskającym dokładnie w tym miejscu wybrzuszeniem jego rozporoka. Wywinęłam się z jego objęć, żeby stanąć na własnych nogach i żeby on miał wolne ręce, bo skóra pod ubraniem po prostu paliła mnie z pragnienia, żeby jej dotknął, choćby jednym palcem, choćby kawałeczka, choćby skrawka...

– Co ty ze mną robisz? – wyszeptał, ale pomyślałam, że to tylko tak, z grzeczności, żeby sprawić mi przyjemność i dać odrobinę satysfakcji, że potrafię podniecić takiego idealnego faceta jak on. Dalej i tak nie mogliśmy nic z tym robić, bo dzieciaki na zewnątrz przycichły i słychać było trzaśnięcia drzwi samochodowych. Najwyraźniej zaczęli się rozjeżdżać do domów i w każdej chwili Marta mogła zacząć mnie szukać.

– Przyjedź jutro, proszę. – Usłyszałam jeszcze wyszeptane gdzieś między moim uchem a ustami, przygaszone pieszczotą, przypieczętowane pocałunkiem.

Miałam w planach jechać do rodziców i wyciąć dwie stare śliwy w ogrodzie, ale jego propozycja wydała mi się znacznie bardziej kusząca.

– Co powiem Marcie? – spytałam od razu, gdy tylko dał moim ustom szansę mówienia.

– Ona już się umówiła z Mateuszem, że przyjedzie. Będziemy wkopywać słupki ogrodzeniowe.

– A ja co mam robić? – zaśmiałam się. – Podawać łopatę?

– Jutro ma być gorąco. Weź sobie leżak, książkę, poopalasz się – wyliczał. – Możemy pójść na spacer do lasu... – Wymownie puścił do mnie oko.

– Obleżą nas mrówki i pogryzą komary – zażartowałam, ale

w rzeczywistości za nic nie zdobyłabym się na odmowę. Dzień spędzony z nim na pomaganiu, leżakowaniu i przyglądaniu się, jak pracuje w pełnym słońcu w pocie czoła... Marzenie. Marzenie, które urodziło się spontanicznie, ale domagało się realizacji żarliwie jak żadne inne.

Obiecałam sobie, że jeszcze ten jeden dzień i koniec.

SOBOTA

Umówiliśmy się na dziesiątą rano w domu pod lasem. Wcześniej jak na sobotę i jak na godzinną jazdę w jedną stronę, ale zważywszy, że i tak prawie nie spałam, wcale nie było mi trudno wstać.

Marta obudziła się przede mną i wdziękowała się do lustra ubrana w kostium kąpielowy.

– Nie przesadzasz? To nie lato – powiedziałam, odsuwając ją kawałek, żeby wejść do łazienki.

– Po południu ma być trzydzieści stopni – odpowiedziała.

– To załóż sukienkę, nie musisz od razu pokazywać wszystkich wdzięków.

– Nie musisz, nie musisz... – mamrotała. – A ty co zakładasz?

Faktycznie, musiałam w coś się ubrać. Kostium kąpielowy odpadał, bo za nic w świecie nie chciałabym wystawiać się na pokaz w towarzystwie własnej córki, która przy mnie wyglądała jak modelka z rozkładówki. Tu i ówdzie miałam już co nieco do ukrycia i wcale nie zamierzałam się z tym obnosić.

– Roboczy kombinezon – odkrzyknęłam przez zamknięte drzwi.

W rzeczywistości jednak założyłam długą i wąską bawełnianą spódnicę, która po podciągnięciu ponad biust i przewiązaniu paskiem świetnie grała rolę

seksownej, letniej sukienki. Nie wiedziałam, czy dam jej taką funkcję spełnić, ale, jak to mówią, przezorny zawsze ubezpieczony. Do spódnicy dobrałam białą lnianą bluzeczkę i zaczęłam się zastanawiać, czy zabrać też kapelusz. Czy w kapeluszu i długiej spódnicy nie będę wyglądała jak własna ciotka?

– Uuu, jaka damessa – skomentowała Marta, kiedy pokazałam się jej w kapeluszu na głowie.

– Nie przesadziłam? – spytałam.

– No co ty, wyglądasz jak te laski z obrazów Moneta, brakuje ci tylko parasolki.

– Nie wyglądam jak stara baba?

– Jesteś moją mamą, masz prawo wyglądać, jak chcesz.

Ręce mi opadły. Czy w jej mniemaniu matka mogła sobie wyglądać staro, bo i tak nikt na nią nie patrzy, czy może sobie wyglądać, jak chce, bo jest wystarczająco kobieca, by jej uroda wybroniła się w każdym stroju? Postanowiłam nie pytać.

Przed wyjazdem z Zielonej Góry wpadliśmy jeszcze do supermarketu po kilka sprawunków. Nie wyobrażałam sobie pojechać w gości z pustymi rękami, więc załadowałam do bagażnika napoje, owoce, słone przekąski i produkty do przygotowania kanapek. Kupiłam też kawę i śmietanki w małych pojemniczkach, bo bardzo do mnie przemówiła propozycja poczytania na leżaku, w torebce miałam też jeden z niezrozumiałych dla mnie kiedyś romansów i już widziałam siebie w kapeluszu z szerokim rondem popijającą kawkę i przewracającą kolejne strony z miłosnymi scenami.

W dziale ogrodniczym natrafiłam na wyprzedaż i za nieduże pieniądze kupiłam też kilka poprzerastanych sadzonek majowych kwiatuszków – pelargonii, begonii, niecierpków. Wzięłam też bratki i jedną sadzonkę kolorowej cynii wielokwiatowej.

– Wprowadzimy w życie chłopaków trochę koloru. – Mrugnęłam do Marty. Ona odmrugnęła do mnie uszczęśliwiona i poprawiła włosy, przeglądając się w lustrzanych drzwiach. Jakiś przechodzący pan zmierzył ją wzrokiem z wyraźną aprobatą. Spojrzałam za Martą w owe drzwi i dopiero w odbiciu jej postaci zauważyłam, że moje dziecko nie jest już dzieckiem.

Adrian i Mateusz musieli też wstać wcześniej, bo kiedy dojechałyśmy, mieli już wykopanych kilka głębokich dołów wzdłuż wytyczonej sznurem linii prostej.

Słońce jeszcze nie dotarło do zenitu, ale powietrze już było nagrzane i duszne, obaj byli spoceni, ubrani w krótkie spodenki i lekkie, jasne T-shirty. Mateusz miał na głowie czapkę z daszkiem z napisem „Zajęty”, co bardzo rozczuliło Martę. Przywitała go o wiele bardziej wylewnie, niż chciałabym oglądać. Adrian podszedł do mnie i jak zwykle z uprzejmym, zachowawczym

uśmiechem uściśnął mi dłoń.

– Dzień dobry, Ewo – powiedział znaną mi już formułkę, którą przypominałam sobie przez całą drogę, wyczekując na nią niecierpliwie. Przypominałam sobie też jego zachrypnięty głos, gdy szeptał, że doprowadzam go do szaleństwa, ale wciąż jeszcze nie byłam pewna, czy czekam na to, by go ponownie usłyszeć. Mroczna strona mojego *id* czekała na pewno w pełnym ekwipunku, zwarta i gotowa, ale prozaiczne poczucie przyzwoitości w biały dzień i w towarzystwie młodzieży odzyskiwało głos i zrzędziło nieprzerwanie. „Nie baw się w uwodzenie młodszych, stara kobieto” – syczało mi w głowie nieprzyjemną, starczą nutą.

Po pierwszym spojrzeniu w oczy Adriana kopnęłam swój rozsądek w pomarszczony tyłek i kazałam mu się zamknąć.

Za domem, przodem do słońca i okolicznych łąk, czekał już ustawiony rozkładany leżak, przykryty czystym, cienkim kocem.

– Przywiozłem z domu czajnik elektryczny, gdybyś miała ochotę na kawę – powiedział Adrian, kiedy przymierzyłam się do leżaka. Z tego miejsca widziałam tylko puste przestrzenie, gdzieniegdzie porośnięte krzakami bzu i dzikiej róży. W oddali majaczyły kolorowe zabudowania najbliższej wsi.

– Dlaczego wybrałaś to miejsce na budowę? Takie oddalone od wszystkich? – spytałam.

– Wcale nie jest takie oddalone. – Przykucnął obok mnie i wskazał ręką w stronę łąk. – To wszystko są działki budowlane, kwestia czasu, kiedy porosną tu kolejne domy, więc kupiłem ostatnią w szeregu, żeby przynajmniej z jednej strony mieć trochę swobody.

Jedną dłoń położył mi na udzie, tak jakby chciał się po prostu podeprzeć i nie stracić równowagi – zwyczajny, ludzki odruch, który mnie dosłownie sparaliżował. Pod wpływem jego bliskości mogłam myśleć tylko o jednym, dosłownie o jednym, tylko i wyłącznie o jednym. Czyżbym, o zgrozo, stała się przykładem niewyżytej czterdziestolatki z niewybrednych dowcipów, spoconej, dyszącej, rzucającej się na każdego faceta?

Odwrociłam się i zerknęłam na zieleniejące za domem sosny. Z trudem zebrałam myśli.

– Las zapewnia ci swobodę?

– Być może – rzekł przekornie.

– Zamieniasz się nocą w wilkołaka? – zażartowałam, chociaż to wyjaśniłoby, skąd ma taką magnetyczną siłę w spojrzeniu i taki niepokojący, drapieżny temperament. Za każdym razem, gdy zbliżał się bardziej niż na metr, jeżyły mi się włosy na skórze.

– Być może – uśmiechnął się pod nosem.

W pewnym oddaleniu od nas Marta szamotała się z kilofem, usiłując

wydrzeć ziemi kawałek upartej darni. Założyła w końcu dżinsowe ogrodniczki i kremową bluzeczkę na cienkich ramiączkach, w których wyglądała ładnie i dziecinnie, ale zapakowała też do auta torbę z zapasowymi ubraniami, które od biedy wystarczyłyby na cały tydzień. Darń ani myślała dać się usunąć taką delikatną, miastową rączką mimo zaciętego dźgania i kopania w trzon kilofa. Moja córka przypominała mi dziecko usiłujące podnieść trzy razy większą od siebie szafę. Uparła się, jakby nie wiedziała, że czasem zwyczajnie nie ma sensu porywać się z motyką na słońce i z kolei mężczyźni pozwolili na pokazanie swojej krzepy. Mateusz asystował jej z łopatą, nie pomagając i nie komentując tych żenujących prób udowodnienia, jaka jest twarda i zaradna.

– Lepiej pójde, zanim zrobi sobie krzywdę – powiedział Adrian, tak jak ja przyglądający się tej zabawnej scenie.

– Lepiej idź – przyznałam.

– Poradzisz sobie?

– Jasne – przytaknęłam. Radziłam sobie już w znacznie gorszych warunkach.

– Czuj się jak u siebie.

Zaczęłam od wytargania z bagażnika wszystkich sprawunków i przygotowania czegoś w rodzaju szwedzkiego stołu w domu Adriana w miejscu, gdzie – jak podejrzewałam – w przyszłości miał stanąć stół z krzesłami. Póki co stół zastąpiłam odwróconym do góry dnem kartonem, a krzesła kilkoma pustymi puszkami po impregnacji do konserwacji drewna. Napoje i wędliny postawiłam w najbardziej zacienionym miejscu, czyli pod umywalką w łazience.

Potem poszukałam jakiegoś naczynia, w którym można by zaparzyć kawę, ale znalazłam tylko kilka umytych słoików na kuchennym parapecie. Jeden z nich, mimo gwintu po nakrętce, miał również uszko i od biedy mógł uchodzić za kubek. Dla pewności umyłam je wszystkie jeszcze raz w gorącej wodzie, wyparzyłam wrzątkiem i zrobiłam mocną, fusiastą kawę ze śmietanką, z którą zasiadłam wygodnie na leżaku. Po swojej prawej stronie zaimprovizowałam jeszcze jeden stolik z kartonu, na którym czekała książka, kapelusz i plastikowy pojemnik z owocami, a także drugi wyparzony słoik z wodą gazowaną. Prawdziwy relaks na wsi.

Z rozkoszą wdychałam nagrzane powietrze i patrzyłam na błękitne niebo upstrzone tylko kilkoma kleksikami białych obłoczków. Biegając wzrokiem wzdłuż ściany lasu, dostrzegłam też nieduże stadko saren pochylone ku soczyście zielonej, bujnej trawie.

Jednak najlepsze widoki miałam tuż przed sobą. Adrian zrzucił wilgotną od potu koszulkę i zawiesił ją na suchej gałęzi pochylonej ze starości jabłoni zachodzącej na jego nowo powstające, surowe ogrodzenie. Kiedy promień słońca liznął jego spoconą skórę między łopatkami, nie mogłam się powstrzymać, żeby

nie oblizać ust. Fakt, że zaczęły mi drżeć dłonie, zrzuciłam na nagłe uderzenie kofeiny. Jak on to robił, że ogłupiał mnie, nic nie robiąc? Odkąd go pierwszy raz zobaczyłam, działa się ze mną coś, czego nie potrafiłam zrozumieć, wytłumaczyć, a już na pewno nie zaakceptować. Gdzie się podziała moja dorosłość i powaga, moja godność osobista, które powinny stanąć w jawnej sprzeczności z nachalnym przyglądaniem się obnażonym mężczyznom? Dla kamuflażu naciągnęłam na głowę kapelusz, włożyłam ciemne okulary i otworzyłam książkę. Mateusz też zdjął koszulkę i z manierą podwórkowego kogucika prezentował swoje opalone mięśnie Marcie. Zważywszy na porę roku, musiał opalić je sobie w solarium. Stwierdziłam, że mimo młodego wieku też ma całkowicie rozwinięte ciało, wyjątkowo bogate w dorodne i twarde męskie atrybuty – póki co miałam na myśli tylko szerokie ramiona.

Marta porzuciła kilof i przybiegła do mnie w poszukiwaniu czegoś do picia. Sięgnęła po słoik z wodą i wypila wszystko jednym haustem.

– Mamo – szepnęła – przestań się gapić, bo wstyd, wszystko widać.

– Nie gapię się... – zaprzeczyłam słabo i podniosłam do góry otwartą książkę. – Czytam.

– Do góry nogami?

Zerknęłam na książkę i chcąc nie chcąc, musiałam przyznać, że jest otwarta odwrotnie, na ostatniej stronie spisu treści.

– No dobra, gapię się – wyznałam. – Ale nawet taka zgredka jak ja ma prawo trochę się pogapić, nie?

– Weź ściągnij tę kiecę i chodź się poruszać. – Ciągnęła mnie Marta. – Możemy posadzić gdzieś te kwiatki, które kupiłaś, bo do tej ich roboty się nie nadają.

– Nie da się ukryć – parsknęłam i podniosłam się z leżaka. – Ale trzeba najpierw zapytać, czy możemy.

– A dlaczego mamy nie móc? Komu przeszkadzają kwiatki?

Marta jeszcze niewiele wiedziała o mężczyznach. Nie żebym sama była ekspertką, ale doskonale zdawałam sobie sprawę, że są w męskim świecie rewiry, na których kobiety absolutnie nie są mile widziane. Do takich rewirów mógł należeć dom Adriana. Wyglądało na to, że budował go sam dla siebie, bez kobiecej ręki, kobiecego doradztwa i kobiecego wtrącania estetycznych dekoracji. Kobieta mogła mu się dobrze komponować z dywanikiem planowanym do położenia przed kominkiem albo ze ścierką do mycia okien, mnie na przykład całkiem sprawnie wkomponował w tylną ścianę kominka, ale już do tworzenia kwiatnych zagoników na męskim podwórku mógł wnieść jakiś sprzeciw. Miał prawo, to jego dom. Marta podeszła do sprawy bardziej bezpośrednio i bez rozdmuchiwania wątpliwości.

– Adi! – wydarła mi się nad uchem.

– Co? – odkrzyknął, prostując się znad wykopanego dołu.

- Chcesz mieć kwiatki?
- Chcę! – Usłyszałyśmy znowu.
- Ale przed domem czy za?
- Za!
- Ale koło tarasu czy pod płotem?
- Koło tarasu.

Machnęła do niego ręką na znak, że rozumie, a do mnie powiedziała z rozbijającą prostotą:

- No, to sadzimy.

Wzdłuż ułożonych w stosy desek, które prawdopodobnie miały w przyszłości zostać tarasem z widokiem na łąki, posadziłyśmy dwa rzędy kwiatów w niekonwencjonalnych kompozycjach. Cynia zajmowała honorowe miejsce na środku, a bratki puszczały oko do rosnących na skraju pelargonii. Wiedziałam, że bez podlewania i przycinania kwiaty nie zdołają dotrzymać nawet do przyszłego weekendu, ale w tym dniu prezentowały się wyjątkowo ładnie. Podlałam je obficie wodą z węża, który leżał obok betoniarki. Z powodu odrobiny wysiłku zrobiło mi się tak gorąco, że musiałam zdjąć kapelusz i bluzkę, a spódnicę podciągnęłam w górę i przepasałam się wyciągniętym z torebki paskiem. Jednak, dzięki rozszalałej wiośnie, nadarzyła się okazja do pokazania kawałka ciała i to w sposób całkowicie naturalny i swobodny. Marta też zamieniła ogrodniczki na krótkie białe spodenki i latała po trawie na bosaka. Chłopcy uporali się z kopaniem dołów i już umieszczali w nich stalowe słupki, sprawdzając z każdej strony, czy trzymają pion. Adrian dyrygował pracą, tak jakby całe życie spędził na budowie. Otrzeptałam ręce i postanowiłam im pomóc, bo do wykonywania tak prostej czynności jak przykładanie poziomicy, czułam się całkowicie kompetentna.

Chociaż zapach Adriana i jego przypadkowe ocieranie się o mnie nagimi ramionami ograniczało mi zdolność percepcji i motoryki, a czasem wręcz przyprawiało o ekstatyczne drżenie rąk, robota całkiem sprawnie posuwała się do przodu.

– Jakie to będzie ogrodzenie? – zapytałam, żeby czas płynął na przyjemnej konwersacji, a nie na uporczywym powtarzaniu sobie, żeby przestać się gapić. Mimo nadludzkich wysiłków nie mogłam się powstrzymać, żeby nie zerkać na splot mięśni, które biegły od jego klatki piersiowej, przez brzuch, tak nisko, że w końcu znikwały za paskiem spodni luźno opierających się o biodra. Na myśl o tym, co skrywały, pocilo mi się czoło i drżały ręce. – Jakie to będzie ogrodzenie? – powtórzyłam, bo zapomniałam, czy zdołałam o to zapytać, czy nie.

– Siatka – odpowiedział Adrian. – Miało być naturalne ogrodzenie z posadzonych blisko siebie krzewów, ale przychodzi tu takie mnóstwo zwierząt, że wszystko by obżarły, zanim zdołałoby wyrosnąć.

Spojrzałam w stronę świeżo posadzonych kwiatów, a Adrian podążył wzrokiem w tym samym kierunku.

– Spróbuję je jakoś zabezpieczyć, ale obawiam się, że to jutrzejsze śniadanie dla zajęcy.

– Niech mają na zdrowie. – Machnęłam ręką. – Przywykłam do tego, że moje ogrodnicze wysiłki idą psu na budę.

– Masz ogród? Działkę? – spytał, ale nie zdążyłam odpowiedzieć, bo dotarliśmy do pochylonej jabłoni, na której powiewała zawieszona na gałęzi koszulka Adriana. Stare drzewo uschło prawie całkowicie, tylko na niektórych gałęziach rozwinęły się pokurczone, chore liście. Widać było, że owoców nie rodiło już dawno i prawdopodobnie nigdy już nie urodzi. Jabłoń przeszła swoją menopauzę, swoją starość, i według mnie należała jej się humanitarna eutanazja, zwłaszcza że stanowiła przeszkodę dla właściwego ustawienia kolejnego słupka.

– Wydaje mi się, że należy ją wyciąć – powiedziałam pewnie. Przez całe lata zajmowania się ogrodem rodziców wycięłam i porąbałam masę drzew, a na owocowe nawet nie trzeba mieć pozwolenia.

– Wytnę – zgodził się ze mną Adrian. – Pożyczę jakiś sprzęt i wytnę.

Pobiegłam do swojego auta i otworzyłam bagażnik. Przecież ja miałam sprzęt. Świeżo odebrana z przeglądu piła motorowa, uzupełniona o paliwo, olej, z naostrzonym i naciągniętym łańcuchem leżała owinięta w foliowy worek razem z nowiutką, niedawno zakupioną siekierką.

Planowałam spędzić weekend w Ochli i, oprócz starych śliw, wyharatać spod płotu kłębowisko przerośniętych jeżyn, a sprzęt czekał posłusznie na odegranie swojej roli. Rozpakowałam wszystko z folii i przeniosłam pod stare drzewo.

– Nawet nie będę pytał, po co ci piła motorowa w mieszkaniu w bloku – powiedział Adrian, przyglądając mi się mocno podejrzliwie.

– W nocy zamieniam się w łowcę wilkołaków – zażartowałam i mocno pociągnęłam za linkę. Piła zawarczała przenikliwym jazgotem i wypuła chmurę spalin. Ojciec całe życie pracował w lesie jako drwal i nauczył mnie wszystkiego od podstaw, więc potrafiłam posługiwać się nią pewnie i sprawnie. Za ochronę służyły mi tylko gumowe rękawiczki i okulary przeciwsłoneczne, ale drzewo nie było ani suche, ani twarde, dawno spróchniało i było praktycznie puste w środku. Wycięłam nisko zgrabny, trójkątny klin i przed położeniem pnia sprawdziłam, czy wszyscy znajdują się w bezpiecznej odległości. Marta absolutnie ignorowała moje popisy, bo prace ogrodnicze nie interesowały jej od małego, wolała spędzać czas z dziadkiem na karmieniu królików i podbieraniu jajek. Mateusz adorował Martę, zerkając tylko na mnie z odrobiną trwogi. Adrian za to otwarcie przyglądał się temu, co robię, i uroiłam sobie nawet, że jest tą czynnością całkowicie zafascynowany. W końcu nie każda kobieta potrafi się posługiwać pilarką łańcuchową.

Jabłoń poległa lekko i bez hałasu. Obciąłam grubsze gałęzie, a pień pocięłam na nieduże klocki, przytrzymując je sobie stopą. Powalona na ziemię nie przypominała już drzewa, ale kupkę drewna opałowego niespecjalnie dużej kubatury. Twój czas minął – powiedziałam do niej bezgłośnie.

Kiedy zgasiałam silnik, cisza była ujmująca. Tak jakby ktoś wyłączył jazgotliwe radio i dał uszom upragnioną ulgę.

– Z tych pustych klocków będą ładne doniczki – uznałam.

– Brawo – odezwał się pierwszy Adrian – nigdy bym cię nie podejrzewał o takie umiejętności.

Ucieszyłam się w duchu, że pierwszy raz to mnie udało się zaskoczyć jego. Zbagatelizowałam pochwałę i zabrałam się za strzepywanie sukienki. Cała byłam obsypana trocinami i przesiąknięta śmierdzącymi spalinami. Powinnam była też wziąć coś na przebranie.

– Mama jedzie – powiedział Mateusz, co sprawiło, że jeszcze staranniej zabrałam się do czyszczenia – nie chciałam, żeby zobaczyła mnie w takim nieładzie. Wiedziałam, że to nie przystoi w mojej roli statecznej matki Polki.

– Miałam wam przywieźć obiad tutaj – zaczęła Krystyna od razu po wyjściu z auta – ale Zbyszek poczuł się dzisiaj dużo lepiej i sam zaproponował, żeby was zaprosić.

Była pogodna, uśmiechnięta. Jakby poprawa nastroju męża również ją napawała optymizmem.

– Już mu wszyscy sto razy opowiadali o Marcie, ale chciałby w końcu osobiście poznać synową.

Nazywanie Marty synową było mocno na wyrost, ale warunkowo przyjął założenie, że być może kiedyś faktycznie coś z tego będzie. Byle nie za wcześnie.

– Ty, Ewo, oczywiście też jesteś zaproszona – zwróciła się do mnie. – A jak ci się podoba dom? Piękny, co? Pochwalił ci się, że wszystko robi sam? Tylko do fundamentów braliśmy koparkę i do dachu pomagierów, bo przecież sam by nie mógł sobie dachówek podawać.

A ja, kretynka, byłam dumna z tego, że potrafię ściąć suche drzewo.

– Mamo, daj spokój – przerwał jej Adrian. – Mówiłem, że zamówimy sobie pizzę i zjemy tutaj, ale jak już jesteś, to weź młodych i jedź, a my zaraz dojedziemy. O której będzie obiad?

– Wszystko już gotowe, tylko ziemniaki dochodzą. Ewo, mam nadzieję, że lubicie kurczaka?

– Każdy lubi kurczaka – odparłam pogodnie, poruszona tym, do czego zmierza Adrian.

– Mamo, jedźcie – ponaglił ją. – Ja muszę jeszcze umyć betoniarkę, a Ewa w tym czasie spokojnie dopije kawę i dojedziemy do was za kilka chwil.

Ewidentnie próbował się jej pozbyć, wciskając jej jeszcze Martę i Mateusza.

Ja pospieszyłam w stronę leżaka, bo sytuacja wydała mi się co najmniej krępująca, a zamiary Adriana szyte wyjątkowo grubymi nićmi, i nie chciałam, żeby Marta zauważyła, z jaką determinacją trzymam kciuki za powodzenie jego planu.

Trzasnęli drzwiami i odjechali, wzbijając podłużny tuman kurzu na dziurawej drodze. Ile mieliśmy czasu? Pół godziny? Znow zostaliśmy sami na jakiejś nędznej parę chwil, z którymi nie wiadomo, co zrobić. Ani razu nie porozmawialiśmy porządnie, nic o nim nie wiedziałam – nie wiedziałam, że ma siostrę, nie wiedziałam, że jego ojciec jest chory, nie wiedziałam, że potrafi postawić dom. Nie wiedziałam, co powiedzieć, kiedy tak stał i wpatrywał się we mnie, zatrzymaną w pół kroku do jego domu, bardzo nie na miejscu.

– Powinłam się przebrać – palnęłam.

– Możesz wziąć prysznic – zaproponował spokojnie, choć sugestia rozbierania się do naga w promieniu stu metrów od niego nie dawała się bynajmniej spokojnie przyjąć do świadomości.

Skinęłam głową i posłusznie pomaszerowałam do łazienki wyłożonej czarnym marmurem, zastanawiając się gorączkowo, co do końca miał na myśli – „zaraz do ciebie dołączę i będziemy się kochać w strumieniach chłodnej wody” czy raczej „idź się umyj, kobieto, bo śmierdzisz”. Tego dnia napatrzyłam się dość, by boleśnie sobie uświadomić, że jest o wiele za młody dla mnie. Że jest wspaniałym młodym człowiekiem z marzeniami i zasługuje na wspaniałą młodą kobietę, która zamieszka z nim w tym pięknym domu i pewnie do końca życia będzie dziękowała losowi za takiego faceta. Ja znalazłam się w jego życiu przypadkiem, przelotnie i zapewne na chwilę, z powodu kaprysu albo chęci podejmowania wyzwań. Wszystko mi podpowiadało, że powinnam wyjść jak najszybciej i zostawić go w spokoju, póki jeszcze mam na to siłę, ale zwyczajnie nie chciałam.

Zdrowy egoizm krzyczał we mnie, żeby brać, brać wszystko, co dają, i niczego sobie nie żałować!

Drzwi łazienki wyposażone były w elegancki, mosiężny patencik, ale oczywiście nawet nie spróbowałam go użyć. Sukienkę i bieliznę wrzuciłam do umywalki, a włosy upięłam do góry za pomocą znalezionego na podłodze zacisku do przewodów. Na szczęście w łazience nie było jeszcze lustro, bo nie chciałabym spojrzeć sobie w oczy w tamtej chwili. Bałabym się dostrzec w nich naganę.

Wszedł cichutko, gdy tylko zdołałam ustawić temperaturę wody. Na szczęście szklane drzwi kabiny zdążyły zaparować, bo nie byłam specjalnie przyzwyczajona do eksponowania swojej nagości, a w tamtej chwili nie mogłabym już bardziej się obnażyć. Pozbyłam się nie tylko ubrania, ale wszelkich norm moralnych, którymi dotychczas kierowałam się w życiu.

Zrzucił spodenki i bieliznę i przydepnął je na podłodze, dołączając do mnie, ukrytej pod strumieniem wody.

Jego nagość wprawiła mnie w zakłopotanie. Przez całe lata odzwyczajałam się od obcowania z mężczyzną, ale czy ciało kobiety nie jest stworzone do szukania z nim kontaktu? Bezbłędnie odnaleźliśmy swoje usta, dłonie i oddechy. Kiedy przylgnął do mnie prawie całym ciałem, kolana ugięły mi się z wrażenia. Zapomniałam, po prostu zapomniałam, jak to jest schować się w ramionach mężczyzny i oddać mu siebie całą. A może nawet nigdy nie wiedziałam, jak to jest, bo Marek był zbyt chłodny i mechaniczny, by nauczyć mnie całkowitego oddania, zapomnienia i afektu, a ja potem przez całe lata pielęgnowałam w sobie ten chłód zamiast poszukać... kogoś właściwego. Kogoś takiego, jak ten chłopak... Jego pięknego, młodego ciała, które entuzjastycznie reagowało na bliskość, jego silnych, szorstkich dłoni, które nie wstydziły się zakradać do wszystkich zakazanych miejsc, jego ciepłego, zwinnego języka, który zlizywał ze mnie kropelki wody.

Podniósł z podłogi żel pod prysznic i po namydleniu dłoni zaczął zmywać ze mnie pot i resztki trocin. Irytowało mnie, że robi to tak wolno. Zaczynając od góry, pomasażował kark i zagłębienia szyi, potem plecy i talię, potem jakby trochę nieśmiało musnął górną część pośladków. Ja ze swojej strony pozwalałam sobie obmacywać go w analogicznym miejscu bezwstydnie, woda zalewała mi oczy i ukrycie za zamkniętymi powiekami dodawało mi sporo śmiałości. Odwróciłam się do niego plecami, kierując jego dłonie najpierw na piersi, a potem coraz niżej, wzdłuż płaszczyzny brzucha, okrągłości biodra aż do mokrego miejsca między udami. Nie potrzebowałam przewlekłej gry wstępnej, bo w minutę doprowadził mnie do stanu, jaki powieściowi kochankowie osiągalni godzinami czułych pieszczot. Już po minucie gotowa byłam błagać „wejdz we mnie”, choć równy banał nie przeszedłby mi przez usta. Zresztą, czy potrzeba słów? Sięgnęłam w tył do jego bioder i przyciągnęłam je do swoich, opierając się policzkiem o chłodny marmur. Woda szumiała nieprzerwanie, tworząc spokojny akompaniament do niespokojnego rytmu naszych ruchów. Niebieskawe żyłki marmuru tańczyły mi przed oczami, póki zupełnie nie straciłam kontroli nad zmysłami...

Ponieważ pod prysznicem zeszło nam znacznie dłużej, niż powinno, oboje gorączkowo szykowaliśmy się do wizyty u rodziców Adriana. W domu nie było ani jednego ręcznika, więc wytarliśmy się kocem pożyczonym z leżaka. Adrian założył czyste rzeczy przechowywane na antresoli w wymarzonym pokoju dziecięcym, a ja poszukałam w torbie Marty czegoś odpowiedniego dla siebie. Nic odpowiedniego nie było, więc założyłam jej zielone spodenki i za mały biały T-shirt z zielonym lizakiem i napisem „Jestem słodka”.

– Zgadzasz się – powiedział Adrian, kiedy dołączyłam do niego w samochodzie, a ja zagryzłam wargę, żeby się nie uśmiechnąć i nie zaszczebiotać jak słodka idiotka. I tak czułam się jak dziewczynka, której spełniło się wielkie marzenie. Miałam ochotę zatańczyć, zaśpiewać i pobiegać po łące razem

z zającami, które miały rano przyjść wyzrecić moje bratki.

Zamiast mówić, posłałam mu całusa. Byłam taka szczęśliwa. Zawstydzona, obnażona, lekko zaniepokojona przyszłością, ale zwyczajnie szczęśliwa. Dopiero kiedy dotarliśmy do miasta, opanowałam ekscytację i spróbowałam sprowadzić poziom adrenaliny we krwi do standardowego. Miałam się przecież spotkać z rodzicami przyszłego zięcia.

– Ile lat ma twój ojciec? – spytałam, żeby całkowicie przekierunkować tok myślenia.

– Przed chorobą nie dałabyś mu nawet czterdziestki. Świetnie się trzymał, teraz... sama zobaczysz – odpowiedział smutnym, ale rzeczowym tonem. – Wiesz, że choruje?

– Wiem.

– Wiesz, że rokowania nie są dobre?

– Domyśliłam się – powiedziałam zgodnie z prawdą. Krystyna całą sobą wyrażała ten specyficzny rodzaj oczekiwania na to, co musi się stać, pomieszany z nadzieją, by stało się jak najpóźniej. Nawet gdyby Marta nic nie powiedziała, poznałabym, że nad jej życiem ciąży jakiś niepokój.

– Tylko nie lituj się nad nim, proszę. Bardzo go to irytuje. Całe życie radził sobie świetnie. W pracy, w rodzinie. Nawet kiedy Kaśka, moja siostra, wydziwiała, trzymał nas wszystkich mocną ręką. Wszystkich razem, rozumiesz, jak to w rodzinie.

Uśmiechnęłam się. Moja rodzina składała się ze mnie i Marty, ale też trzymałam nas razem mocną ręką. Z miłością i zrozumieniem, jak to w rodzinie.

Dotarliśmy spóźnieni. Młodzi siedzieli już przy stole i popijali wodę z dodatkiem cytryny i mięty.

– Przepraszamy, nie mogłem odpalić samochodu – skłamał płynnie Adrian.

– Czas kupić nowy – powiedziała Marta, tak jakby to było oczywiste. W jej głosie wyczuło się, że nigdy nie musiała się martwić o pieniądze. Coś się psuło – kupowałyśmy nowe. Jakby nie wiedziała, że nie wszyscy mogą sobie pozwolić na taki luksus.

– Za co nowy, jak on wszystko pakuje w ten dom? – powiedziała jego matka.

– Przyjdzie pora, to weźmiesz mój. – Usłyszałam z drugiego pokoju słaby, męski głos.

– Zbyszek! – zganiała go Krystyna.

– Co Zbyszek? Ty masz swój mały, a tamten ma stać w garażu? – Usłyszałam jeszcze raz i zostałam przedstawiona mężczyźnie, który dołączył do nas w salonie. Widać było, że ciało, w którym mieszka jego dusza, nie należy już do niego, że jest wychudłe, pobladłe, wyniszczone. Żywe, czarne oczy z ciemną oprawą, takie same jak u chłopców, i wciąż pełne, choć pobladłe usta dowodziły, że kiedyś był energicznym i silnym mężczyzną. Serce mi się ścisnęło na myśl

o tym, jak łatwo choroba zżera wszystko, o co dbamy, i jak łatwo pozbawia nas marzeń, poza jednym. Jedynym wyczuwalnym marzeniem w tym domu było zdrowie.

– To moja mama, Ewa – przedstawiła mnie Marta.

– Mama jak siostra – skomplementował mnie Zbyszek i słabo uściskał mi dłoń. Żeby się przy tym wyprostować, jak przystało dżentelmenowi, musiał przytrzymać się ściany.

– Dziękuję – uśmiechnęłam się, a w myśli wyjaśniłam sobie, że to przez te zielone spodenki jak z przedszkola i policzki zarumienione od gorąca. Albo właśnie nie od gorąca, tylko od chłodu, od chłodu czarnego marmuru...

Usiedliśmy przy dużym stole ustawionym w przejściu pomiędzy otwartą kuchnią a wyposażonym w stare, może nawet zabytkowe meble salonem. Bładozielony obrus z liściastym motywem był czyściutki i starannie wyprasowany, co sprawiło, że poczułam się wyjątkowo uroczyście. Ja prawie nigdy nie zadawałam sobie tyle trudu, by wyprasować obrus łącznie z zagięciami na brzegach, a już na pewno nie zwinęłabym serwetek w kształt pływającej w talerzu lilii wodnej.

Krystyna musiała być wyjątkowo staranną gospodynią.

Jej mąż usiadł z nami, ale uderzyło mnie, że prawie nic nie jadł. Jego zupa składała się z małych kawałków białego mięsa i pokrojonych na drobno warzyw, ale głównie tylko mieszał w niej łyżką, skupiając się raczej na zabawianiu nas rozmową. Drugiego dania w ogóle nie tknął, chociaż piersi kurczaka upieczone z plasterkami brzoskwini w jakimś sosie, którego nie potrafiłam zidentyfikować, były przepyszne. Sama ze wstydem pomyślałam o gotowych daniach z supermarketu, które najczęściej stanowiły podstawę naszego domowego menu.

– Lubisz gotować? – Usłyszałam pytanie, ale okazało się, że nie było skierowane do mnie. Zbyszek z widelcem w dłoni celował nim w Martę. Córa gotowała nie lepiej niż ja, choć zdarzały jej się kulinarne porywy serca, takie jak paszteciki we francuskim cieście, które przygotowywała na każdą rodzinną imprezę. Poza pasztecikami potrafiła przypalić wszystko, co jej wpadło w ręce.

– Bardzo – potwierdziła entuzjastycznie. Gdybym nie wiedziała, że łże, sama mogłabym uwierzyć. Najwyraźniej uznała, że jako kandydatka na przyszłą synową musi wykazać się jakimiś kwalifikacjami.

– Świetnie jej wychodzą paszteciki w cieście francuskim. – Nie wiedzieć czemu, postanowiłam wesprzeć ją w jej małym kłamstwie.

– Chłopcy zawsze byli łasuchami – powiedziała łagodnie Krystyna i spróbowała pogłaskać Adriana po głowie, ale ten odsunął się i skarcił ją wzrokiem. Nie powinien, bo dla matki dziecko jest zawsze dzieckiem, swojej Marty nie potrafiłam wyobrazić sobie jako dorosłej kobiety, bo wszystko w jej

wyglądzie przypominało mi, jakim była słodkim dzieckiem – dołeczki, zmarszczenie nosa, nerwowy chichot w chwilach zdenerwowania. Tak samo on był czyjś synem, ale słowo „chłopcy” boleśnie uzmysłowiło mi, że przy stole siedzą rodzice i dzieci. Ja po stronie rodziców, on po stronie dzieci.

Zbyszek zaczął opowiadać o wspólnych wakacjach, córce Katarzynie, która od dawna aspirowała do samodzielności i pojawiała się w domu tylko od wielkiego święta, o złotych rybkach, które wylano do kanalizacji razem z brudną wodą z akwarium i o psie, który zdechł ze starości w objęciach całej trójki dzieci. Przy stole ani razu nie zapadła krępująca cisza, ani razu nie wbijaliśmy wzroku w sufit, zastanawiając się, jak wypełnić spędzane razem chwile.

– A najbardziej rozpaczał Adrian – przypomniała Krystyna, kiedy ciągnęliśmy watek psa. – Był najstarszy, więc nie wypadało mu płakać, ale potem przesiadywał sam nad rzeką.

– Mamoooo – jęknął Adrian. – Jeśli zaczniesz jeszcze wyciągać moje zdjęcia z dzieciństwa, to wychodzę.

– Ja zawsze chciałam mieć psa – powiedziała tęsknie Marta. Trochę z wyrzutem w głosie, bo ja nigdy się na to nie zgodziłam.

– Na szczęście jakoś przeżyłaś dzieciństwo bez niego – ucięłam.

– Ze zwierzakiem w domu jest tak samo, jak z mężczyzną – wygłosiła Krystyna. – Jak nie pokochasz go od pierwszego wejrzenia, to będziesz się męczyć długie lata.

Wszyscy zaczęli się śmiać, bo powiedziała to z dużą swadą i skierowała do swojego męża. Ja dodałam jeszcze, że widocznie po prostu nie znalazłam swojej wielkiej miłości.

– A szukałaś? – spytał Adrian, patrząc na mnie tak intensywnie, że nie było wątpliwości, o jaką miłość mu chodzi.

Zakłopotana zerknęłam, czy ktoś zauważył ową intensywność spojrzenia. Nie powinien tworzyć takich kłopotliwych sytuacji przy swoich rodzicach. Nie wybaczyłabym sobie, gdyby zaczęli się domyślać, że uwiodłam ich „chłopca”. Zbagatelizowałam pytanie i wróciłam do anegdot z wakacji. Dokąd jeździli, jeżdżą i zamierzają jeszcze pojechać.

Ani razu nie podjęliśmy tematu choroby Zbyszka, chociaż przez cały czas wisiał nad stołem jak ciężka chmura gradowa, zbliżająca się powoli do nadmorskiej plaży pełnej plażowiczów udających, że póki świeci słońce, to nie ma się czego obawiać.

Wróciliśmy na budowę wczesnym popołudniem. Pracę postanowiliśmy rozpocząć od poobiedniej kawy i przygotowanych przeze mnie smakołyków rozłożonych na kartonach w pustej kuchni Adriana. Okazało się, że ma

w bagażniku samochodu talerze, sztućce i szklanki i nie musimy posługiwać się słoikami i wygiętym drutem imitującym widelec.

– Mama zawsze była zaradna – pochwaliła mnie Marta, kiedy wytłumaczyłam, jak zdołałam „załatwić” sobie kubek do kawy.

– Nie miałam innego wyjścia – powiedziałam.

– Chyba że wyjście za mąż – odparła dziwnym głosem.

– Miałabym się całe życie męczyć? Jak z tym niekochanym psem? – zażartowałam, ale tknął mnie odrobinę wyraz jej twarzy. Czyżby miała mi za złe, że wychowałam ją sama? Bez mężczyzny w domu, bez ojca i bez psa? Dlaczego nigdy mi o tym nie powiedziała?

W środku było chłodniej niż na zewnątrz, więc przeciągnęliśmy piknik, gawędząc, póki słońce nie opuściło wierzchołka nieba i nie zaczęło tworzyć długich cieni snujących się po pustym jeszcze domu. Adrian pierwszy zakasał rękawy i rzucił hasło, żeby brać się za ogrodzenie.

– Do pracy, rodacy – potwierdził Mateusz i z ociąganiem podniósł się ze złożonych w stos paneli podłogowych. Marta dziarsko skoczyła na nogi, najwyraźniej gotowa mu pomagać do ostatniej kropli potu. Dawno nie widziałam jej tak rozentuzjasmowanej pracą fizyczną.

Ja postanowiłam się nie wtrącać i wróciłam na leżak, pilnując, aby tym razem książka była ułożona właściwą stroną w górę, ale mimo uporczywych starań jej treść wciąż zupełnie do mnie nie przemawiała. Ilekroć pomyślałam o tym, co robiłam kilka godzin wcześniej pod strumieniem wody z młodzieńcem, na którego mogłam w każdej chwili zerknąć znad tekstu, z jego niesamowitym ciałem, ze swoim własnym niesamowitym zatraceniem, to wymyślone przez pisarza namiętne opisy wydawały mi się czczą pisaniną dyletanta. Adrian zalewał umocowane już słupki betonową mieszanką, która kręciła się w ustawionej za załomem domu betoniarence. Ramiona zaczerwieniły mu się na słońcu, ale nie śmiałam zaproponować posmarowania ich kremem z filtrem. Włosy wciąż przylepiły mu się do spoconego czoła, a on bezskutecznie ocierał je zewnętrzną stroną dłoni, zaopatrzoną w grubą rękawicę. Spodnie zsunęły się na skraj bioder, pokazując mi dokładnie mięśnie brzucha zbiegające płynnie w dół, prężące się za każdym razem, gdy podnosił coś ciężkiego albo ostrzem szpadla równał wylany wokół słupków beton. Ja – zanurzona częściowo w powieściowej fikcji, a częściowo w powieściowej rzeczywistości, szarpana moralnymi dylematami bohaterów książki, rozumiejąca ich sprzeczne uczucia – w samej sobie za cholerę nie potrafiłam obudzić wyrzutów sumienia za to, że dałam się ponieść emocjom. Powinnam żałować, ale jedyne, czego żałowałam w tamtej chwili, to był fakt, że miałam za mało czasu, aby dokładniej zbadać wszystkie jego fizyczne zalety. Jak mogłabym to nadrobić? Gdzie, kiedy i jakim sposobem? Czułam, jak z zacnej mieszczanek i szacownej matki przeobrażam się w niedopieczoną nimfomanek

głodną wszystkiego, co jeszcze mógł mi zaoferować mój młody Apollo, i nadzwyczaj dobrze było mi w tej nowej roli.

Przymknęłam oczy, wystawiając twarz ku słońcu, i oddałam się przyjemnemu planowaniu tego, czego absolutnie nie potrafiłabym już sobie odmówić, a mianowicie – zaciągnięcia Adriana do łóżka. Jakkolwiek z pierwszą częścią zadania poradziłabym sobie bez trudu, bo nie spodziewałam się jakiegoś specjalnego oporu z jego strony, to trudności nastroczała druga część. Skąd wziąć łóżko? W jego sypialni łóżka jeszcze nie było, a to w mojej odpadało od razu. Nie wybaczyłabym sobie, gdyby Marta zastała nas razem w sytuacji dwuznacznej, a przecież do domu mogła wrócić zawsze o niespodziewanej godzinie. Hotelu nie brałam pod uwagę, bo nie zniosłabym oceniającego spojrzenia recepcjonisty próbującego odgadnąć, czy jestem mężatką, która przyprowadziła młodszego kochanka, czy kochanką, która dała się uwieść na młode ciało i twarde mięśnie.

Bardzo odczułam przeraźliwy brak łóżek w swoim życiu!

A przecież musiałam to zrobić! Zza ciemnych okularów zerkałam na Martę, która wzbudzała we mnie czysto macierzyńskie, tkliwe, jasne uczucia, i na niego, który niespodziewanie obudził we mnie wszystkie te mroczne, samolubne i uporczywe. Choćbym musiała potem żałować i odpokutować każdą poświęconą mu chwilę, to i tak chciałam więcej – więcej dotyku, więcej jego ciepła, więcej czasu z nim. Nie jakichś nędznych kilku minut wyrwanych z kontekstu, w pośpiechu, pod presją, ale długiej upojonej nocy, wielu godzin poświęconych odkrywaniu wszystkiego, co w nim takie silne, młode, niespożyte...

– Mamo, zejdź ze słońca, bo jakoś dziwnie wyglądasz. Żebyś nie dostała udaru... – wyrwała mnie z marzeń Marta.

Zaciągnęłam leżak w cień, ale marzyć nie przestałam.

Wracałyśmy do Zielonej Góry w pomarańczowym blasku zachodzącego słońca. Wszystko dookoła pachniało i kwitło.

– To był najlepszy dzień w moim życiu... – powiedziała z rozrzewnieniem Marta. – Najlepszy dzień *ever*!

Pomyślałam, że mój też, ale wolałam jej tego nie zdradzać.

– Myślałam, że najlepszy był ten w Lunaparku w Gliwicach, cały na karuzelach.

Spojrzała na mnie z politowaniem, które odczułam, nawet na nią nie patrząc.

– Cały czas mnie mdliło od tego kręcenia, ale nic nie mówiłam, żeby nie robić ci przykrości – stwierdziła poniewczasie.

– Mnie też cały czas mdliło, ale nie narzekałam, żeby nie robić przykrości tobie – odpowiedziałam i puściłam do niej oko. – Następnym razem zdobądź się na szczerłość, to oszczędzisz nam obu sensacji żołądkowych.

Roześmiała się, a potem dłuższą chwilę milczała, jakby dała sobie czas na

przemyslenia. Pusta szosa umykała za nami jak błyszcząca w słońcu złota wstęga. Radio cichutko pobrzękiwało modnymi melodiami.

– Mamo? – zaczęła.

– Tak?

– Tęsknisz za tatą?

– Nie – odpowiedziałam o wiele za szybko. Może trzeba było powiedzieć, że tak, w końcu był jej ojcem. – Teraz już nie – dodałam, żeby złagodzić wrażenie. – Czas leczy rany.

– I nigdy nie pomyślałaś, żeby znów wyjść za mąż? – drążyła.

– Wołałam spędzać czas z tobą – wyznałam to, co było absolutną prawdą.

– Ale ja zaraz pójdę na studia, poszukam jakiejś pracy i wszystko się zmieni.

Nie boisz się, że będzie ci nudno?

Bardzo ujęło mnie za serce to, że się o mnie martwi. Zakładałam, że z tym „wszystko się zmieni” miała na myśli głównie Mateusza, z którym już wtedy spędzała każdą wolną chwilę i pewnie miała wyrzuty sumienia, że swoją starą, samotną matkę odstawia na boczny tor.

– Przygarne cztery koty i zacznę oglądać telenowełe – zażartowałam.

Pomilczała, zebrała myśli i zaczęła znowu:

– A Adrian?

– Co Adrian?

– Nie mogłabyś się z nim umówić? – spytała wprost.

– Myślisz, że polubiłby moje koty i telenowełe? – ironizowałam, bo nie wiedziałam, co jej odpowiedzieć.

– Serio, podobasz mu się, przecież to widać.

– Podobać się to jedno, a angażować w związek emocjonalny to zupełnie co innego – wygłosiłam. – W moim wieku nie podchodzi się do tego tak lekko, poza tym różnica wieku między nami...

– Ale mi różnica! – przerwała mi. – Dzisiaj różnica wieku to najmniejszy problem, nie oglądasz telewizji? Poza tym jak facet jest młodszy, to nawet fajnie. Trochę nobilitująco dla babeczki, nie? Trochę ją odmładza też.

Postanowiłam nie wyłuszczać swojego stanowiska na ten temat, ale nie czułam się specjalnie nobilitowana przez to, co wyprawiałam z Adrianem.

– Pomyśl, jak by było fajnie, gdybyś ty wyszła za Adriana, a ja za Mateusza – ciągnęła uparcie. – Byłabyś dla Mateusza jednocześnie teściową i bratową, a Adi dla mnie ojczymem i szwagrem. A gdybyście mieli dzieci, to one by były moim rodzeństwem, a dla Mateusza... bratankami? A nasze dzieci dla waszych...

– A gdybyśmy do tego wszystkiego adoptowali duże, włochate coś, to moglibyśmy się nazywać rodziną Adamsów – uciełam temat i pogłośniłam radio.

Marta podciągnęła kolana pod brodę i chichotała na swoim fotelu. Pięknie wyglądała opalona, roześmiana, zakochana... W ukrytych przed naszym wzrokiem

głośnikach Maryla Rodowicz mocnym głosem zaczęła śpiewać historię swojej zawiedzionej miłości.

– *To był maj...* – nuciła z nią Marta.

PONIEDZIAŁEK

– O matko, jaka opalenizna, jaki błysk w oku – przywitała mnie rano Magda.
– Mów, kto to jest?

– Dzień dobry – zgasila ją od razu. – Nie wiem, o co ci chodzi.

– No wybacz, ale tak się wygląda tylko po upojnym weekendzie w ramionach jakiegoś dziarskiego ogiera.

Nie mogłam powstrzymać parsknięcia śmiechem. Fakt, że uwiodłam dziarskiego ogiera, przypawił mnie o nagły przypływ dumy i przypomniał słowa Marty o nobilitacji, ale schowałam głowę w szafce z kawą, żeby nie dać tego po sobie poznać.

– No powiedz – ponaglała Magda.

– Byłam w Ochli u rodziców – wyznałam, trochę z ociąganiem, ale niezupełnie mijałam się z prawdą, bo spędziłam w Ochli całą niedzielę. Nie chciałam mówić nikomu o Adrianie, bo nie chciałam komentarzy na temat różnicy wieku, a nasz związek, o ile w ogóle można nazwać go związkiem, zmierzał tylko i wyłącznie ku bolesnemu końcowi. – Cały czas na słońcu, to trochę się opaliłam.

– Dobra – mruknęła trochę obrażona Magda, zabierając swoją kawę. – Nie chcesz, to nie mów. Ale to chyba nie jest jakiś żonaty mężczyzna? – zaniepokoiła się. Jako oddana żona absolutnie potępiała wszelkie stosunki pozamałżeńskie, o czym wiedziało całe biuro.

– Nie, nie żonaty – odpowiedziałam odruchowo.

– Aha – mruknęła z satysfakcją, a ja wylałam trochę kawy na podłogę. Trzeba było od razu zmienić temat.

– Zobaczysz, że sama wygadasz – dodała jeszcze, kiedy komputery szumiały i pstrykały, rozpoczynając nowy tydzień pracy. – Jak człowiek jest szczęśliwy, to chce się tym chwalić całemu światu.

Uśmiechnęłam się do niej nad biurkiem. Czy ja byłam szczęśliwa?

Koło trzynastej zjadłam lekką sałatkę składającą się głównie z powietrza pomiędzy liśćmi sałaty i popiłam zieloną herbatą. Dotychczas moja sylwetka kształtowała się poniekąd zgodnie z porami roku, zimą przybierałam na wadze z powodu kanapowego lenistwa, a wiosną nabierałam formy dzięki ogrodowym wariacjom i sporadycznym wizytom na basenie, ale nagle zaczęło mi zależeć, żeby dobrze wyglądać niezależnie od pory roku. Nigdy nie byłam zwolenniczką mody na szkielety, ale gdybym na przykład chciała pokazać się komuś w skąpym bikini albo w jakiejś sexy sukience z odsłoniętymi plecami, albo nawet w bieliznie z koronki, na szpilkach...

Trzeci raz pomyliłam się przy wprowadzaniu kwoty do arkusza i trzeci raz wychodziły mi w rozliczeniach kosztowe farmazony. Nie był to dobry czas na erotyczne fantazje. Wiosna budziła interesy, ludzie podróżowali, remontowali mieszkania, kupowali nowe meble, a wszystko wymagało transportu z miejsca na miejsce ciężarówkami Piotra. Od rana walczyłam z papierami, obłożona nimi wszystkimi łącznie z segregatorem, który mógł być potrzebny w każdej chwili i czekał na swoją kolej ściśnięty między moimi nogami.

– My do mamy – usłyszałam głos Marty, ale nawet nie podnosiłam wzroku. Często wpadała po drodze ze szkoły, żeby zamienić słowo, wziąć ode mnie klucze do mieszkania, których ciągle zapomniała, albo wyciągnąć trochę pieniędzy na kosmetyki. Marta wiedziała, że w towarzystwie koleżanek zawsze byłam odrobinę bardziej uległa.

– Dzień dobry, Ewo. – Usłyszałam po chwili i teraz już nie mogłam nie podnieść wzroku.

Adrian stał metr od mojego biurka zaopatrzony w czarną reklamówkę, bukietik kwiatów i najbardziej uroczy uśmiech z możliwych. Z zaskoczenia przytrzymałam palec na klawiaturze i kwota faktury osiągnęła astronomiczny poziom miliardów złotych. Marta opodal szczerzyła się do Magdy i przedstawiała jej Mateusza. Byłam wściekła za tę nieplanowaną wizytę, bo nie chciałam, żeby Adrian zobaczył mnie za biurkiem, zapracowaną, przygarbioną, w dodatku w okularach zsuniętych na czubek nosa, w których wyglądałam tak samo, jak staruszki dziergające na drutach kubraczki dla swoich kotów.

– Zostawiłaś u mnie sukienkę – dodał półgłosem i położył mi na biurku zwiniętą torbę. Drugą ręką wręczył maleńką wiązankę słodko pachnących

konwalii. Przy parkingu na dole sprzedawała je sympatyczna emerytka nawołująca przechodzących mężczyzn „Pan kupi dla ukochanej”.

Rozejrzałam się ukradkiem, czy nikt tego nie widzi. Nie chciałam, żeby moje życie prywatne stało się przedmiotem domysłów i komentarzy, szczególnie takich w stylu „ile ona ma lat, że jeszcze...” Moje biurko było odgródzone od innych cienką ścianką działową, ale ogólnie cała przestrzeń biura była otwarta. Wszyscy wydawali się zajęci swoją robotą, tylko Magda, zagadana z Martą, zapuszczała żurawia za ściankę.

– Dziękuję. – Chciałam wstać, ale segregator wypadł mi spomiędzy ud i papiery posypały się na podłogę.

Adrian przyklęknął i pomagał mi je zbierać, więc przez chwilę duże biurko zasłoniło nas przed wzrokiem ciekawskich.

– Co ty tu robisz? – wycedziłam przez zęby, bo pozycja wydała mi się odpowiednia do konspiracji.

– Przyjechałem do Castoramy po krawężniki – odpowiedział również konspiracyjnym szeptem.

– A tu, u mnie? – dopytywałam. Gdyby ktoś pytał, uznałabym takie niezapowiedziane wizyty w pracy za nagabywanie.

– Chciałem cię zobaczyć – powiedział rozbijając i cmoknął mnie szybko prosto w usta.

Ten rodzaj nagabywania nie był szczególnie uciążliwy.

– Kiedy się zobaczymy? – szeptał dalej, ale zanim wymyśliłam odpowiedź, usłyszeliśmy nad głowami rozbawiony głos Marty.

– Miło mi poznać.

Adrian przedstawił się bez specjalnej wylewności, podał tylko stopień pokrewieństwa między sobą a Mateuszem. Starał się być dla niej ogólnie uprzejmy, ale jak tylko Magda zaczęła trajkotać, nie pozwoliłam, żeby odpowiadał na jakiegokolwiek pytania. Przywołałam Martę i negocjowałam z nią kolejny nieplanowany wyjazd do Gubina.

– Mogłaś mnie uprzedzić – zrzędziłam jak zwykle.

– Nie mogłam, bo nie wiedziałam.

– Moja wina – potwierdził Adrian. – Potrzebowałam paru rzeczy, a Mateusz zaferował się do pomocy. A skoro już tu byliśmy, to... sama rozumiesz, nie mogli się nie zobaczyć.

– Zerwałaś się z lekcji? – Z obawą zerknęłam na zegarek.

– Nie, są matury, zapomniałaś? Ciągłe jakaś sala jest zajęta i nas puszczają do domu.

– Mój wujek będzie wieczorem jechał do Zielonej Góry, więc może Magdę odwiedzić – wtrącił się Mateusz – gdyby jej pani pozwoliła pojechać z nami.

– Proszę, mamó! – wyjęczało moje dziecko.

Widziałam, że myślami jest już tam, gdzie chce, że jest już spakowana i już robi krok w kierunku drzwi. Nie miałam serca jej nie pozwolić. Zwłaszcza że sama najchętniej zabrałabym się z nimi i zamieniła popołudnie z fakturami na popołudnie z leżakiem, książką, no, może też z małym myciem pleców...

– Dobrze – zgodziłam się. – Co to za wujek? Chcę mieć do niego numer.

– Spoko, mama – powiedziała z ulgą Marta. – To miły, starszy człowiek, jeździ wolniej niż ty.

– Spoko, mama – powtórzył za nią Mateusz.

– Spoko, mama. – Mrugnął figlarnie Adrian.

Zanim wyszli, Piotr wynurzył się ze swojego gabinetu i podszedł do naszego zgromadzenia przy biurku. Widziałam, jakim badawczym wzrokiem omiół każdego z osobna, rozsypane dokumenty i kwiatki na moim biurku. Piotr zawsze miał niezwykle przenikliwy umysł i szczegóły przemawiały do niego bardziej niż do normalnych, średnio spostrzegawczych ludzi. Może z tego właśnie wynikały jego sukcesy w interesach?

– Znowu się spotykamy – powiedział chłodno do Adriana i nie wyciągnął ręki na przywitanie, jak to się zwyczajowo odbywało między mężczyznami. Piotr zawsze pierwszy wyciągał rękę, może żeby narzucić swoją dominację, dlatego zdziwiło mnie, jak niegrzecznie się zachował, było to do niego zupełnie niepodobne i zapaliło mi w głowie ostrzegawczą lampkę.

Za to wylewnie przywitał się z Martą.

– Rośnie z ciebie prawdziwa piękność – skomplementował ją.

Nawet Marta wyczuła, że coś wisi w powietrzu między nim a Adrianem i nie przedłużała rozmowy. Pożegnała się ze wszystkimi, a mnie posłała ręką całusa w powietrzu. Pokazałam palcem na telefon, żeby od czasu do czasu dała sygnał, że żyje, ale szczerze wątpiłam, by przy Mateuszu pamiętała o swojej starej matce.

Uporządkowałam biurko i schowałam kwiatki do szuflady. Było mi żal, że uschną, ale nie chciałam demonstracyjnie wystawiać ich ludziom przed oczy. Magda wróciła do pracy i dłuższą chwilę tłukła wytrwale w klawiaturę, aż zaczęłam myśleć, że wszystko rozejdzie się po kościach.

– „Byłam w Ochli u rodziców” – zacytowała nagle, parodiując mój głos, a potem nachyliła się nad biurkiem i naciągnęła palcami dolną powiekę. – Jedzie mi tu czołg?

– Bez komentarza – powiedziałam, śmiejąc się z tego dziecięcego gestu.

Magda znów pograżyła się w pracy, ale zajęcia służbowe pochłaniały ją tylko pozornie.

– Ile on ma lat? – wypaliła półgłosem, pochylając się nad biurkiem.

Pochyliłam się do niej i takim samym półgłosem spróbowałam wykręcić się od rozmowy:

– Właśnie dlatego nic nie mówiłam. Żeby uniknąć porównań mojej metryki

z jego!

– Ile, powiedz – naciskała.

– Skończył studia – wyznałam.

– E, wygląda na starszego – powątpiewała. – Może powtarzał klasę?

– Nawet jeżeli powtarzał cztery klasy, to ile może mieć? Dwadzieścia osiem? Szesnaście lat różnicy, słyszysz, jak to brzmi? W najlepszym wypadku – dwanaście lat różnicy, jeden pies. A ja, przypominam ci, jestem już po czterdziestce.

– Nooo... – Przewróciła oczami. – Najlepiej poszukaj już dla siebie kwatery na cmentarzu. Ja bym się wcale nie zastanawiała – wyszeptała konspiracyjnie. – Wiesz, ile musi mieć wigoru taki młody chłopaczek?

Coś tam już na ten temat wiedziałam, ale syknęłam w jej stronę, żeby zamilkła.

– Dwanaście czy dwadzieścia... – Dalej przewracała oczami. – Myślisz, że dla niego to ma jakieś znaczenie? Młodszy mężczyźni potrafią odnaleźć coś niezwykłego w starszych kobietach. Może są dla nich takie bardziej... wytrawne.

Syknęłam głośniej, bo Piotrek przyniósł mi podpisaną umowę na korzystanie z usług telekomunikacyjnych. Rzucił ją na moje biurko z odrobiną poirytowania i poprosił, żebym poszła z nim do gabinetu. Myśląc, że zirytowała go treść umowy, wzięłam ją ze sobą.

– Po pierwsze – nie dwanaście, tylko jedenaście – zaatakował mnie na wejściu. – A po drugie – nie życzę sobie, żeby ktoś wycierał sobie, za przeproszeniem, buzię moim życiem prywatnym!

– O co ci chodzi? – spytałam i upewniłam się, czy drzwi są dobrze zamknięte. Piotr podniósł głos, a nie chciałam, żeby wzbudził zainteresowanie pracowników.

– O Annie powiedziałem ci w zaufaniu i nie chcę, żebyś gadała o tym z pracownikami i komentowała to za moimi plecami – gniewał się. – Jeśli masz mi coś do powiedzenia, to proszę bardzo, mów prosto w oczy!

– O jakiej Annie? – nie rozumiałam. – Nie wiem, o czym mówisz.

– O tej z zeszłego tygodnia. I z tego.

– O tej pięćdziesiąt cztery? Spędziłeś z nią drugi weekend z rzędu? – Nie dowierzałam.

– Z rzędu drugi, ogólnie czwarty. I jeszcze kilka popołudni – przyznał i zaraz się zorientował, że to nie on był przedmiotem mojej rozmowy z Magdą. – A o kim plotkujecie?

Chciałam się wywinąć obowiązkami, ale poznałam, że coś jest na rzeczy.

– O tobie? – domyślił się. Wiedziałam, że się domyśli, po tym, jak zerknął na bukietek. – Ciebie coś łączy z tym chłystkiem?

Zdenerwowałam się, że nazwał Adriana chłystkiem. Poza tym, skoro sam nie

chciał, żebym wtrącała się w jego sprawy, to jakim prawem wtrącał się w moje?

– Po pierwsze – to nie chłystek, a po drugie... Guzik cię to obchodzi! – wypaliłam. – A właściwie co do niego masz, że nawet nie podałeś mu ręki?

– Awanturnikom nie podaję! – krzyknął.

Uciszyłam go i posadziłam na jego profilowanym fotelu ze skóry.

– Pobiliście się o kobietę? – spytałam, bo nie przyszła mi do głowy żadna inna idea łącząca te dwie osobowości.

– Jaką kobietę...? – odpowiedział. – O gówniarę! Dwa weekendy i już zakochała się na zabój, nie mogłem się jej pozbyć.

– A on?

– On to jej brat. Spięliśmy się troszkę na jej temat.

Roześmiałam się szczerze. Kasia, której jeszcze nie miałam przyjemności poznać, nabruzdziła Piotrowi w jego kawalerskim życiu.

– Dał ci po mordzie? – domyśliłam się, nie wiedzieć czemu z uciechą.

– Za kogo mnie uważasz? – oburzył się. – Nie pozwoliłbym na to. Ale spotkanie nie należało do najprzyjemniejszych. I w ogóle nie widzę ciebie z nim, pracuje w budowlance, przecież to zwykły robot.

Zabolało mnie to określenie. To, że ktoś ciężko pracuje, nie oznacza, że jest robotem i nie zasługuje na uwagę kobiety. Poza tym miałam ochotę mu wypomnieć, że jego prywatna siłownia nigdy w życiu nie zapewni mu sił i sylwetki, jaką Adrian wypracował na budowie, ale wiedziałam, że to jego słaby punkt. Nie chciałam za bardzo mu dopiekać przez wzgląd na relacje w pracy. Piotr zresztą sam zauważył, że przeholował, bo ustąpił mi miejsca przy własnym biurku i zaproponował, żebyśmy napili się kawy. Wolałam herbatę, najlepiej z melisy.

– Ja zrobię – zaoferował się – i opowiem ci o Annie.

Z satysfakcją spacerowałam po gabinecie Piotra, czekając na herbatę. Nie co dzień szef usługiwał mi w godzinach urzędowania, za które przecież sam płacił. Sprawdziłam, czy na półkach nie ma kurzu i poprawiłam krzywo wiszące afrykańskie maski.

– Co ty z nimi robisz, że zawsze są przekrzywione? – spytałam, kiedy wrócił z pełną tacą. Do herbaty dołożył nawet jakieś ciasteczka wyszperane w kuchennych szafkach.

Tak wymownie spojrział na kanapę ustawioną pod maskami, że wzdrygnęłam się z niesmakiem.

– Oszalałeś, przyprowadzasz tu swoje... – nie dokończyłam. Przerwał mi, mamrocząc coś pod nosem. – Tyle razy powtarzam, żebyś pamiętał o rozsądku i...

– ...i antykoncepcji – przerwał znowu. – Pamiętam doskonale. W nocy o północy pamiętam o rozsądku i antykoncepcji. Za każdym razem, kiedy dochodzę, słyszę twój głos przypominający mi o rozsądku i antykoncepcji!

– Oszczędź mi szczegółów – przystopowałam go. Zestawiłam filiżanki z tacy na mały stolik z drewnianym blatem i przyciągnęłam sobie do niego biurowy fotel Piotra. Kanapy wolałam nie dotykać.

– Zaraz przyprowadzam... – tłumaczył się. – Po prostu niektóre panny nie lecą na sam wdzięk i inteligencję. Czasem trzeba dziewczynie zaimponować dużym biurem z widokiem na centrum. Poza tym nie można ciągle robić tego w sypialni. Zapamiętaj sobie – łóżko w sypialni to bardzo wygodna trumna dla namiętności.

Nie chciałam z nim dyskutować na takie tematy. Moje łóżko w mojej sypialni nie miało żadnej szansy na uśmiercenie namiętności, bo zwyczajnie nigdy jej tam specjalnie nie było, a teraz byłam właśnie w trakcie próżnego poszukiwania łóżka, które byłoby dla mojej namiętności odpowiednią oprawą. Pod wpływem impulsu rozważyłam nawet kanapę pod afrykańskimi maskami.

– Mów, co to za Anna – przeszłam do sedna.

– Jest sędzią – powiedział dumnie. – Sędzia Anna.

– Jakim sędzią? – spytałam.

– Normalnym, co za różnica? – odparł.

– Co znaczy normalnym? Można być sędzią w sądzie i sędzią na wystawie psów rasowych, niby normalne, ale różnica jest zasadnicza.

– Nie nooo... – przeciągnął. – Jest sędzią w sądzie! Gdybyś ją widziała w todze! Jaka jest zdecydowana, władcza, jak trzaśnie tym młotkiem w stół!

Westchnął jeszcze i wyznał rozdzierająco:

– Zakochałem się.

– Nie pierwszy raz – powiedziałam, bo też nie pierwszy raz słyszałam to wyznanie.

– Ale nie tak jak zawsze, tylko inaczej. Jakoś bardziej, mocniej. Jest jakaś inna nazwa?

– Miłość. Pozornie to samo, ale zasadniczo zupełnie co innego – powiedziałam łagodnym głosem i pogłaskałam go po ramieniu, bo w moim odczuciu prawdziwa miłość zasługiwała na łagodność i wsparcie.

Piotr zanurkował wzrokiem w filiżance z herbatą i przez kilka chwil jakby rozważał stan swoich emocji.

– Myślisz, że jedenaście lat to duża różnica? – spytał.

Uważałam, że duża. Zwłaszcza w tym kierunku, bo gdy mężczyzna jest starszy, to właściwie żadna sensacja, nikogo to nie dziwi, ale młodszy ze starszą? On od razu był stawiany w świetle jurnego amanta, a ona w mało prestiżowej pozycji pomarszczonej sponsorki.

– Ależ skąd! – Piotrowi wolałam skłamać, przynajmniej dopóki nie wyzna, że się odkochał. – Miłość nie ma wieku.

– Bo nie powiem, że nie słyszałem docinków – przyznał.

– Od kogo?

– E! – westchnął. – Szkoda gadać.

Nie musiał wyłuszczać mi swoich wątpliwości, bo doskonale je wszystkie znałam. Temat był przykry, więc ucieszyłam się, że pierwszy go zmienił.

– Ty wiesz, że ja nigdy nie byłem w polskich górach, a ona już dwa razy wyciągnęła mnie do Karpacza? Najpierw pojechaliśmy całkiem spontanicznie, po kolacji, ona troszkę wypić, troszkę zaczęła mnie prowokować, ja prowadziłem i po dwóch godzinach byliśmy na miejscu. Wynajęliśmy sobie pokój, a rano, jak wyszedłem na balkon, to po prostu szczena mi opadła na widok Śnieżki. Widziałaś?

– Widziałam. – Skinęłam głową.

– No widzisz, a ja nie widziałem! Potem cały dzień chodziliśmy po górach. Kupiła mi nawet buty i ten cały ekwipunek: bidon, okulary przeciwsłoneczne. I wiesz co? – szepnął konspiracyjnie.

– Co?

– Zapłaciła za hotel.

Roześmiałam się szczerze.

– Gratuluję, awansowałeś na żigolaka!

– Przestań – zdenerwował się, jakby to nie był żart. – Jej znajomi dokładnie tak na mnie patrzą, jakbym był jakimś szczurem podgryzającym worek z zapasami.

– Nie wiedzą, kim jesteś? – spytałam z niedowierzaniem. Od wielu lat jego firma przynosiła krociowe zyski, on sam na początku zaharowywał się na śmierć, potem podejmował kolejne wyzwania, które dla innych wydawałyby się nie do przeskokowania. Kiedy próbował wejść na hiszpański rynek, ciągał za sobą wszędzie chudego chłopaczka z Madrytu i w cztery miesiące opanował język. Był bardzo

dobrze sytuowanym biznesmenem, który do wszystkiego doszedł uporem, talentem i ciężką pracą; biznesmenem, który potrafił docenić ludzi pracujących na jego sukces.

– A kim ja przy niej jestem, Ewa? – zwątpił. – Nawet nie mam studiów. A gdybyś ją zobaczyła, jaka jest wygadana, na wszystkim się zna, w ogóle nie rozumiem niektórych słów, których używa. A jakich ma znajomych, sędziów, prokuratorów. I tamci dają mi do zrozumienia, że jestem postrzegany jak pijawka, a z kolei moi koledzy śmieją się, że biorę się za próchno.

Szarpnęło mnie to próchno. Rozumiałam, że to przenośnia, ale czy przypadkiem znajomi Adriana nie określiliby mnie tak samo, widząc nas razem?

– Jeżeli to faktycznie jest miłość... – zaczęłam, próbując udzielić mu jakiejś mądrej, ponadczasowej rady, ale pomna własnych zawirowań uczuciowych, które przecież stawiały mnie w analogicznej sytuacji, nie potrafiłam wymyślić nic stosownie dyplomatycznego.

– To...?

– To olej ich wszystkich – zakończyłam odrobinę zbyt dosadnie.

Byłaby to dobra rada również dla mnie, ale za nic nie uznałabym tego, co łączyło mnie i Adriana, za miłość. Dopuszczałam zakochanie, a zakochanie to nie miłość.

– Tak zrobię – zgodził się Piotr. – Wiesz, ona mi zupełnie zawróciła w głowie. Bez przerwy o niej myślę. Jak smaruję sobie bułkę dżemem, to myślę o wspólnych śniadaniach; jak dzwoni telefon, to od razu mam nadzieję, że to ona; jak jadę samochodem, to zaczynam gadać do siebie, tak jakbym mówił do niej, wariuję! Nigdy nie spotkałem kobiety, która miałaby w sobie tyle kobiecości. Rozumiesz to?

Przekładając sobie to na damski punkt widzenia, byłam w stanie zrozumieć. Ja nigdy nie spotkałam mężczyzny, który byłby tak męski jak Adrian.

– Zachowuje się normalnie, swobodnie, a jednocześnie jest taka kokieteryjna, że czujesz, jakby celowo cię prowokowała.

To też znałam.

– A w łóżku, rozumiesz, szatan – rozgorączkował się. – Jakby jej dać bat do ręki...

– Rozumiem – przerwałam mu, chociaż oczywiście nie rozumiałam. Zważywszy, że moje życie erotyczne na kilkanaście lat zapadło w kliniczną śpiączkę, nie czułam się kompetentna do wysłuchiwania takich zwierzeń, ale Piotr wyraźnie potrzebował się wygadać.

– Normalnie z kobietą – ciągnął – nawet jeżeli postarasz się o nastrój, muzykę, i to wszystko, ble-ble-ble, to i tak coś zgrzyta. A to łóżko za bardzo skrzypi, a to jej ciało jest nie do końca takie, jak byś chciał, albo za szybko kończy, albo za wolno, albo wydziwia z pozycjami, albo leży jak kłoda, a z Anną jest

doskonale, rozumiesz, perfekcyjnie! Nawet jak łóżko skrzypi, to się z tego śmiejemy; nawet jak jest coś nie tak, to mówimy to sobie i poprawiamy i już jest jak trzeba, rozumiesz, bez zgrzytów.

Kiwnęłam tylko głową, wzruszona jego zaangażowaniem, ale tym razem naprawdę rozumiałam. Mogło tak być. Bez zgrzytów.

Koło dwudziestej skończyłam czytać drugi rozdział zaczętej poprzedniego dnia powieści i zabrałam się za przygotowywanie kolacji dla siebie i Marty. Nie było późno, ale zaczęłam się zastanawiać, czy nie powinnam już zadzwonić i spytać, o której wybiera się do domu. Chyba telepatycznie odczytała mój niepokój i przysłała wiadomość, że za godzinę powinna być.

Po godzinie zrobiłam dla niej szklankę świeżej herbaty, postawiłam ją na kuchennym stole, a sama poszłam pod prysznic nacieszyć się wolną łazienką. Przy okazji staranniej niż zwykle wyszorowałam się pillingiem, który zgodnie z obietnicą na opakowaniu miał rozświetlić moją skórę młodzieńczym blaskiem, i wklepałam w twarz więcej kremu przeciwzmarszczkowego. W twarz, w szyję i w dekolt, a kiedy krytyczniej przyjrzałam się własnej sylwetce, uznałam, że powinnam się w tym kremie zanurzyć w całości. Mój wygląd nie stanowił dla mnie dotychczas źródła kompleksów, ale kiedy zaczęłam przyglądać się sobie z punktu widzenia planowanych cielesnych zbliżeń z dużo młodszym mężczyzną, to jednak zmieniłabym to i owo. Nie miałam żadnej gwarancji, że Adrian spojrzy na mnie przez pryzmat wytęsknionej miłości, tak jak Piotr widział swoją Annę.

Wysłałam z łazienki po dłuższej chwili, a Marty wciąż nie było, tylko na monitorce komórki mrugała kopertka oznajmijająca wiadomość. „Nie wiem, kiedy będę” – pisała Marta, co mnie bardzo zdenerwowało. Spróbowałam zadzwonić, ale ona uporczywie nie odbierała. Wybrałam numer Adriana i dopiero on poinformował mnie, że ojciec czuje się bardzo źle, wszyscy są przy nim, także wujek, który miał odwiedzić Martę do domu.

Niewiele myśląc, narzuciłam na siebie ubranie leżące na wierzchu kosza na brudną bieliznę i pognałam do Gubina.

Spóźniłam się. Albo właśnie przyjechałam na czas. Na ten czas, że rodzina zdołała pożegnać się ze Zbyszkim bez świadków i osób postronnych. Martę zaliczyłam już do grona rodziny, bo wyraz jej twarzy świadczył o tym, że przeżyła jego śmierć znacznie bardziej niż śmierć własnego ojca. Rozszlochana i we łzach tuliła się do Mateusza, który cały czas pocieszająco głaskał ją po plecach, chociaż to głównie jemu należało się w tej chwili pocieszenie.

W domu panowała upiorna cisza. Krystyna wyglądała jak własny cień i nie pozwalała się odprowadzić do pokoju, gdzie mogłaby odpocząć. Uparła się zrobić nam herbatę i wyszukiwała w szafkach różne zbędne drobiazgi – ciasteczka,

serwetki, cukier w kostkach.

Brat Zbyszka, Tadeusz, konferował z Adrianem na temat załatwienia wszystkich formalności związanych z pogrzebem. Już zdążyli zadzwonić w odpowiednie miejsca i czekali na karawan. Telefon domowy dzwonił nieustannie, bo smutna wiadomość rozeszła się wśród rodziny i znajomych i wielu telefonowało zaoferować pomoc. Adrian i Tadeusz rozmawiali z nimi na zmianę, wciąż unikając słowa „śmierć”. Mówili, że Zbyszek odszedł, zasnął albo że nas opuścił, ale Krystyna za każdym razem, gdy padały te ponure słowa, przyciszone jeszcze bardziej niż inne, zachłystywała się własnym oddechem i zasłaniała usta dłonią. Nie mogłam patrzeć na jej rozpacz, nie porównując jej do własnej, nieporównanie mniejszej, cichszej, złagodzonej wieczną nieobecnością Marka w moim życiu. Mnie również wyznaczono w planowaniu pogrzebu i chociaż w tym dniu grałam główną rolę, stojąc nad grobem męża z małym dzieckiem na ręku, to przecież wróciłam do domu, który przez jego śmierć wcale się nie zmienił. Przestałam po prostu czekać na to, że przyjedzie na kilka dni.

Czułam się tam niepotrzebna i nie na miejscu, ale Marta nie chciała zostawić Mateusza, póki karawan nie zabierze ciała. Jeszcze przed jego przyjazdem Adrian poprosił mnie na stronę.

Weszliśmy do pierwszego pokoju przy drzwiach wejściowych. Pomieszczenie wyglądało jak magazyn – z pozoru wyposażony w najpotrzebniejsze meble, wszystkiego miał jakby w nadmiarze. Domyśliłam się, że Adrian zaopatruje się już w meble, które mają wypełnić pustą przestrzeń jego wymarzonego domu, a póki co czekają na swoją kolej w tym zagraconym pokoju z biurkiem, przy którym pewnie pracował, i łóżkiem, na którym pewnie sypiał.

Dawno zapadła noc, więc pokój oświetlała tylko słaba poświata zapalonej na zewnątrz latarni. Mimo panującego mroku widziałam jednak sylwetkę i twarz Adriana. Dostrzegałam wyraźnie, jaki jest zmęczony, jakie ma zaczerwienione oczy, pochylone ramiona i poszarzałe od zarostu policzki. Jak zgasł w nim ognik nieustannego rozbawienia, które widziałam niemal za każdym razem, gdy ze mną rozmawiał.

– Bardzo ci współczuję – powiedziałam cicho, kiedy zamknął drzwi i usiadł ciężko na skraju wersalki. – Naprawdę.

Czułam, że powinnam pomóc jakoś bardziej. Jakoś go wesprzeć, pocieszyć, postarać się mocniej...

– Mogłabyś przekonać mamę, żeby wzięła leki na sen i położyła się tutaj albo u Mateusza? – spytał, siadając na złożonej wersalce. – Są w kuchni w drugiej szufladzie. Nie chcę, żeby zobaczyła, jak zabierają... ciało.

– Oczywiście – powiedziałam. Oczywiście, tyle mogłam zrobić. Zrobiłam krok do tyłu i złapałam za klamkę, powinnam pójść do niej od razu, ale przytrzymał mnie za dłoń i z pozycji siedzącej z całej siły przyciągnął do siebie.

Odruchowo objęłam jego szyję i głaskałam po karku, kiedy wtulił twarz w mój brzuch. Wplotłam palce w kosmyki i powolnym, uspokajającym ruchem nakręcałam je na palce, a kiedy jego uścisk zelżał, usiadłam mu na kolanie i chciałam otrzeć mu łzy z policzków, ale ich tam nie było. Wydawał się podłamany, przemęczony i udręczony, ale nie płakał. Jakby musiał być silny za całą rodzinę, bo przejął przecież funkcję głowy tego domu. Wcale nie wyglądał wtedy na dzieciaka, był mężczyzną, któremu można było zaufać i powierzyć odpowiedzialność. Wydawał się dużo dojrzalszy niż ja, Marta i Krystyna razem wzięte. Ta jego ponura, milcząca siła wzruszyła mnie nawet bardziej niż łzy. Wiedziona instynktem, pocałowałam go w czoło i długo nie odrywałam ust od jego rozgorączkowanej skóry. Nic nie widziałam, bo wersalka stała w najciemniejszym kącie pokoju, ale czułam jego ciepły oddech na dekolcie i fakturę szorstkiej, nieogolonej skóry na policzkach. Oderwałam wargi od jego czoła i pocałowałam po kolei powieki, policzki, podbródek i usta. Najpierw nie oddawał pocałunków, pozwalając biernie na tę ciepłą, czułą pieszczotę, ale potem poczułam, jak jego język ożywa, a dłonie zaczynają niecierpliwie szukać nagiej skóry pod bluzką. Dotykał mnie i przyciskał do siebie z rozpaczliwą żarliwością, tak dotkliwie, że skóra wokół ust zaczęła mnie palić podrażniona krótkim, ostrym zarostem. Musiałam niemal użyć siły, żeby oderwać go od siebie i stanąć na własnych nogach.

– Lepiej pójde – powiedziałam, chociaż głos mi drżał i tak naprawdę wcale nie chciałam nigdzie iść.

Adrian wstał i w słabym świetle latarnianego blasku zobaczyłam, jak zaciska szczęki i znów przybiera hardy wyraz twarzy.

– Lepiej idź – powiedział zdecydowanie, ale wzruszyło mnie, że jego głos również drżał.

ŚRODA

Pogrzeb zaplanowano na środę. Marta w tym dniu nie poszła do szkoły, a ja wzięłam urlop, żeby nie zostawiać jej samej w domu. Wciąż wydawała się mocno poruszona wszystkim, co tak nagle zaczęło się dziać w jej życiu, z chorobą, śmiercią i ludzką bezradnością na czele, ale zaraz po tym, jak wróciliśmy do domu w poniedziałkową noc, wydawało mi się, że przestała rozpaczać z powodu śmierci Zbyszka, a znacznie bardziej zajmowała ją po prostu żałoba Mateusza.

On jakby znajdował ujście dla swojego żalu w jej osobie, bo nieustannie rozmawiali ze sobą przez telefon, czat albo inne, obce mi narzędzia komunikacyjne.

Oczywistym było, że obie pojedziemy na pogrzeb, bo nie wyobrażałam sobie nie oddać tego ostatniego hołdu człowiekowi, którego wprawdzie słabo znałyśmy, a jednak wydawał się odgrywać tak dużą rolę w naszym życiu. Telefonicznie zamówiłam kwiaty i zaczęłam się zastanawiać, co na siebie włożyć, bo od czasu żałoby po Marku, kiedy to połowa rodziny przypominała mi, że co najmniej rok powinnam nosić się na czarno, miałam w sobie naturalną awersję do tego koloru i nic takiego w mojej szafie nie było. Podobny problem miała Marta, bo chociaż kupowała sobie czarne ubrania, to były to raczej obcisłe bluzeczki albo spódnice długie do kostek.

– Nie mam się w co ubrać – powiedziała do mnie jakby z wyrzutem dokładnie w momencie, kiedy ja skonstatowałam to samo.

– Jedziemy na zakupy – postanowiłam, bo mnie też bardzo zależało na tym, żeby w tym dniu wyglądać stosownie, elegancko i po prostu ładnie. Mimo smutnej

okazji był to kolejny z dni, które miałam spędzić jeśli nie z Adrianem, to przynajmniej w jego pobliżu, a ta bliskość nieodmiennie przyprawiała mnie o pomieszanie zmysłów. Chciałam, żeby jego zmysły reagowały podobnie.

Całą noc padało, więc dzień, mimo ciepłego słońca, które szybko osuszyło rosę, wydawał się wilgotny i lepki. Ludzie chowali się w cieniu cmentarnych drzew, żeby otrzeć pot z czoła, a ksiądz poganiał ministrantów, żeby przesunęli się pod daszek rozstawionego nad grobem baldachimu.

Marta stała w gronie najbliższej rodziny, trzymając pod rękę zasmuconego Mateusza. Gdyby nie jej czarna suknia, czarna opaska we włosach i przygnębiony wyraz twarzy, można by pomyśleć, że stanowią piękną młodą parę.

– Co to za Aleksis z Mateuszem? – Usłyszałam za plecami i dyskretnie zerknęłam za siebie.

– Się ubrała jak na pokaz mody – skomentowało dziewczę w wieku zbliżonym do osiemnastki, ale zdecydowanie brzydsze niż moja córka.

Marta kupiła skromną sukienkę z delikatnymi, białymi wstawkami przy kieszonkach i mankietach. Sukienka była doskonale dopasowana do jej dziewczęcej sylwetki, proporcjonalnej i zaokrąglonej już w odpowiednich miejscach, i w zestawieniu ze starannym makijażem faktycznie prezentowała się niezwykle wytwornie. Patrzyłam zauroczona na ich oboje, stojących obok siebie w takim zamyśleniu, w pochyleniu nad tajemnicą śmierci, takich w tej chwili dorosłych mimo swojej młodości, i pozostawało mi tylko mieć nadzieję, że Mateusz będzie potrafił docenić szczęście, które samo pchało mu się w ręce, a ich wielka, internetowa miłość nie zakończy się po pierwszej kłótni.

Adrian stał obok nich i podtrzymywał matkę, która w ciągu trzech dni postarzała się o kilkanaście lat. Czarny strój podkreślał bladość jej twarzy, a biała chusteczka podnoszona co i rusz do zapłakanych oczu dodatkowo ten efekt wzmacniała.

– A ten wysoki to Mateusza brat? – konferowały nadal dziewczyny za mną. Stałam w oddaleniu od całego zgromadzenia, bo wydawało mi się, że nie wypada mi się pchać przed szereg w sytuacji, gdy nie jestem praktycznie nikim bliskim dla zmarłego ani jego rodziny. Dziewczyny musiały im być jeszcze dalsze, bo nie próbowały nawet zachować stosownej ciszy.

– Ale przystojny, nie? – komentowały na zmianę.

– Kurde, przystojny.

– Wygląda jak jakiś aktor.

– No, tylko nie jest taki wycackany.

– A która to jego żona? – Usłyszałam jeszcze i nie mogłam się nie odwrócić.

Obie dziewczyny przyglądały się lustrująco twarzom zebranych, więc zupełnie nie zwróciły na mnie uwagi. Ja czekałam w napięciu na dalszy ciąg rozmowy. Jaka

żona? – krzychało we mnie wszystko.

– Nie widzę, chyba nie przyjechała.

– A widziałas ją kiedyś?

– No pewnie, jej matka zeszła się z moim sąsiadem i ona czasem wpada w odwiedziny.

Zrobiłam kilka kroków do przodu, żeby nie słyszeć już ani słowa. Adrian stał przy matce, zachowując niewzruszoną powagę. Zwilgotniałe oczy przydawały blasku jego niezwyklej, filmowej urodzie, a czarny garnitur leżał na nim znacznie lepiej niż na wszystkich zebranych mężczyznach. Jak mogłam pomyśleć, że w jego życiu nie było żadnej kobiety? Jednocześnie tak strasznie zabolalo mnie, że wiedzieli o tym wszyscy poza mną! Nie mógł powiedzieć? W którejś z tych chwil, kiedy opanowywał moją duszę i ciało, kiedy przyciągnął mnie do siebie w zapamiętaniu i wydawał się taki autentyczny, spontaniczny i szczery. Wtedy może jeszcze zdołałabym się cofnąć, spojrzeć na niego z dystansem i postanowić twardo, że w takie układy nie zamierzam się wdawać. Wtedy może jeszcze tak. Teraz, kiedy wyłowił w tłumie moje spojrzenie i zobaczyłam na jego smutnej twarzy przygaszony półuśmiech powitania, było już za późno. Zakochałam się!

Marta przyjęła zaproszenie na obiad do pobliskiej restauracji, a mnie nie pozostało nic innego, jak towarzyszyć jej również tam. Odmówiłam miejsca przy stole, przy którym siedziała Krystyna, jej rodzeństwo i rodzeństwo Zbyszka. Nie czułam się do niego upoważniona i chciałam uniknąć komentarzy dalszej rodziny oraz prób przyłatania mnie do jakiegoś mężczyzny, wiedziałam bowiem, że przy takich okazjach dawno niewidziani krewni stają się przedmiotem dyskusji, komentarzy i ocen.

Przysiadłam się do dwóch sympatycznie wyglądających małżeństw i przedstawiłam się jako znajoma Krystyny i Zbyszka. Zanim skończyliśmy pierwsze danie, opowiedziano mi historię jego choroby i najdrobniejsze szczegóły nocy, kiedy umierał. Kiedy powiedziałam, że byłam w tę noc w jego domu i próbowałam uspokoić Krystynę, nakarmiwszy ją najpierw tabletkami z cierpliwością matki opiekującej się grymaszącym dzieckiem, od razu zyskałam wyższą rangę w oczach siedzących z nami osób.

– Co ona teraz biedna robi? – zastanawiali się głośno. – Dwa lata była przy nim jak służąca, na każde zawołanie.

– A wcześniej nie? Byli razem ze czterdzieści lat, jak to małżeństwa kiedyś. Dzisiaj już nie ma takich małżeństw. Dzisiaj to się pożenią, zaraz się rozwodzą – utyskiwała jakaś drobna kobietka karmiąca rosołem chłopca, który najprawdopodobniej był jej wnukiem.

– Zobacz, jak Adrianowi się nie ułożyło.

– Nie ułożyło – zaczął pan w przyciasnej marynarce, który siedział

naprzeciw mnie. – Co się miało ułożyć, jak dziewczyna kurwisz... – Nie skończył, bo małżonka kopnęła go tak mocno, że zadrżał cały stół i wszystkie stojące na nim talerze. Pan spojrział na nią mściwie i gorliwiej zajął się swoim rosołem.

– Ale na pogrzeb mogła przyjechać – rzucił ktoś.

– Ty myślisz, że z Hiszpanii tak sobie można przyjechać za dwa dni? Myśmy się ledwo z Sulechowa wyrobili. Szybko jakoś ten pogrzeb.

– Szybko, bo księdzu tak pasowało – oświadczył pan w marynarce.

– I wszystko tak raz-dwa zdążyli przygotować – dodała jego małżonka.

– Teraz tylko dasz znać do firmy i wszystko za ciebie załatwią. Nawet baldachimy wystawią nad trumną.

Temat zmieniono na pogrzebowy, więc nie dowiedziałam się niczego więcej o małżeństwie, które najwyraźniej się nie ułożyło. Ku mojej wielkiej uldze.

Większość gości rozjechała się zaraz po obiedzie. Bliżsi i dalsi krewni poprzesiadali się, jak komu pasowało, i przy serniku i kawie rozprawiali o tym, co u kogo słyhać, o tym, jak dzieci powyrastały i o tym, jak coraz trudniej o dobrą pracę. Niektórzy wyszli na zewnątrz i przy papierosie dyskutowali o markach samochodów, wynikach meczów i urodzie nie swoich żon. Dwie godziny po pogrzebie w ich sercach znów zagościło życie i nikt nikomu nie miał tego za złe. Życie rządziło się własnymi prawami.

Dwa sympatyczne małżeństwa pożegnały się ze mną i życzyliśmy sobie spotkać się następnym razem w bardziej radosnych okolicznościach. Poszukałam Marty i wymownie wskazałam na zegarek, dając jej sygnał, że na nas też już czas, ale zamiast podejść, przysłała po mnie Adriana.

– Przejdziemy się jeszcze na cmentarz zapalić znicze – poinformował mnie i nadstawił ramię, zupełnie tak samo jak wtedy, kiedy próbował mnie skłonić do udawania wytwornej damy na Górze Śmierci. Tym razem jednak przyjąłem jego gest. Cisnęło mi się na usta pytanie o jego małżeństwo, ale nie było to ani miejsce, ani pora. O ile w ogóle jakaś pora mogłaby być odpowiednia. Jaką miałam pewność, że nie traktował mnie jak przypadkowej podrywki, która po prostu była pod ręką w odpowiednich chwilach jego życia, i odpędzi mnie jak natrętną muchę, gdy tylko zacznę zadawać niewygodne pytania? Może obawiałam się, że w sytuacji wyboru zdecydowałabym się nawet być ową podrywką. Żeby chociaż na kilka chwil przedłużyć jego obecność w moim życiu.

Krystyna w towarzystwie dwóch swoich sióstr poszła przodem. Mateusz z Martą pobiegli na parking zabrać z samochodu torbę ze zniczami, więc zostaliśmy tylko we dwoje i, wciąż pod rękę, szliśmy spacerowym krokiem po cmentarnych chodnikach. W cieniu było przyjemnie i pięknie. Zza muru dobiegał szum ulicznego ruchu, ale na cmentarzu było spokojnie jak w parku zdrojowym. Radosne trele ptaków ukrytych w koronach drzew tylko potęgowały atmosferę

harmonii i ponadczasowego porządku, które tam panowały.

– Opowiesz mi o swoim małżeństwie? – zapytałam bardzo, bardzo cicho, bo jednak nie dałam rady stłamsić w sobie ciekawości.

Wcale nie wydawał się zaskoczony. Może myślał, że wiem.

– Nie ma o czym – odparł lekko. – Było, minęło.

– Rozwiedliście się?

– Tak – powiedział. – Korespondencyjnie.

– Nie widzisz jej?

– Od dawna.

Mimo że wydawał się szczery, za mało mi było tych odpowiedzi. Takich ogólnych, jak na policyjnym przesłuchaniu. Obudziła się we mnie zaborczość zakochanej kobiety, która chce wiedzieć wszystko, mieć wszystko i być wszystkim!

– Ale chyba musiała coś znaczyć, prawda? Nie bierze się ślubu z pierwszą lepszą – odrobinę się uniosłam.

– Oboje byliśmy za młodzi i za głupi na małżeństwo. I bardzo chcieliśmy podróżować. Szczególnie ona. Wymyśliła, że będziemy wyjeżdżać do różnych krajów i pracować tam, wynajmować tanie mieszkania, zwiedzać... Takie tam romantyczne pomysły, ale na początku było fantastycznie. Pojechaliliśmy do Hiszpanii. Praca była oczywiście najgorsza z możliwych, ale i tak stać nas było na to, by wyskoczyć na weekend na przykład na Majorkę i udawać wielkie państwo na wakacjach. Z tym że ona zachłysnęła się tym wielkim państwem, a mnie coraz częściej zostawało brać dodatkowe zajęcia, żeby nas utrzymać. Pieniądze potrafiła wydawać jak szatan i to był, że tak powiem, pierwszy krok do rozwodu.

– Pieniądze?

– Tak – potwierdził. – Nie żadne łzawe kłótnie, romanse, nie różnica charakterów, ale pieniądze. Ja chciałem zaoszczędzić i postawić wymarzony dom tutaj, a ona chciała się bawić i wydawać tam. Do tego doszły oczywiście różne drobne zgrzyty o nieistotne rzeczy, które przeradzały się w istne kataklizmy, nie wyłączając nawet interwencji sąsiadów. Potem faceci, których mijałem na klatce schodowej, wracając po nadgodzinach. Rozwiedliśmy się, zanim zacząłem budowę.

Uśmiechnęłam się pod nosem i mocniej przytuliłam się do jego ramienia. Taka odpowiedź satysfakcjonowała mnie w zupełności.

Tylko o jedno zapomniałam spytać. Kiedy, u licha, zdążył się ożenić i rozwieść, skoro był taki młody?

Wolnym krokiem dotarliśmy do świeżego grobu, w całości pokrytego kwiatami i wieńcami. Dopiero tam poznałam Kasię, która cały czas przewijała się w rozmowach i opiniach rodziny jako niepokorne dziecko, od dawna samodzielne

i niezależne od nikogo. Była wyjątkowo drobna jak na tak silną osobowość, a czarne włosy związane w koński ogon dodatkowo upodobiły ją do jakiejś postaci z bajki dla dzieci. Dopiero żywe, czarne oczy strzelające dookoła szybkimi zerknięciami przypomniały mi, że jest podobna do małej Mi z Muminków.

Miała też zaczerwieniony nos i wilgotne oczy, co tłumaczyła „cholerną alergią”, jakby nie wypadało jej się przyznać, że uroniła kilka łez nad grobem własnego ojca.

– Wiesz, jak rodzice się poznali? – zagadnęła mnie, kiedy Mateusz z Martą rozstawiali znicze na świeżo zagrabionym, żółtym piasku dookoła grobu. Wcale mi nie przeszkadzało, że od razu przeszła na „ty”.

– Nie.

– Mama przekradała się koło jednostek wojskowych na randkę ze swoim chłopakiem, a ojciec stał na warcie i omal jej nie zastrzelił – opowiedziała mi. – Tak się wystraszyła, że musieli ją później ocucić z kolegą.

Uśmiechnęłam się.

– Rozumiem, że później zakradała się już do niego?

– Tak – zachichotała. – To była miłość od pierwszego wejrzenia.

Krystyna stała w pobliżu, ale nie wtrącała się do tej rozmowy. Postąla, poszeptała coś do siebie i odeszła, wciąż w asyście swoich sióstr. Zostaliśmy przy grobie ja, Adrian, Kasia i Mateusz z Martą. Firma pogrzebowa uprzątnęła już baldachim, zielone wykładziny i składane krzeselka. Usiedliśmy na zacienionych ławkach otaczających mały kwiatowy zagonik z drewnianym krzyżem, przypominający „grób nieznanego żołnierza”, jakimi opiekowaliśmy się kiedyś w szkole.

– Ja się zakochałem od pierwszego przeczytania – wyznał Mateusz, kontynuując wątek, i opowiedział, jak poznali się z Martą. Okazało się, że ja znam tylko część prawdy, małą część przypominającą wierzchołek góry lodowej, bo romansowali ze sobą elektronicznie od długich tygodni.

– A ty, mamo? – spytała mnie Marta. – Zakochałaś się w tacie od pierwszego wejrzenia?

Wykręciłam się, mówiąc, że nie pamiętam, ale wcale tak nie było. Jak mogłam się zakochać od pierwszego wejrzenia, skoro znaliśmy się bardzo dobrze już od podstawówki? Gdybym musiała wskazać kogoś, kto od pierwszej chwili zrobił na mnie piorunujące wrażenie i od początku wyzwał niewytłumaczalne, szalone zachowania, musiałabym wskazać Adriana, ale to oczywiście przemilczałam.

– A ty, Adi? – nie ustępowała Marta.

– Yhy – mruknął w odpowiedzi. – Zakochałem.

– W kim?

– W czarownicy – odpowiedział żartem. Opadło ze mnie napięcie, z jakim

oczekiwałam na odpowiedź. Nie wiedzieć czemu, jego życie uczuciowe wydawało mi się w tamtej chwili stokroć ważniejsze od własnego.

– Hej... – roześmiały się obie z Kasią, co dziwnie zabrzmiało w tym cichym miejscu.

– Serio – brnął również z uśmiechem Adrian. – Zakochałem się w czarownicy. Najpierw się przestraszyłem, bo spadła na mnie z zaskoczenia, pomyślałem, że chyba zgubiła miotłę, bo pędziła przed siebie jak szalona, zupełnie nie zważając na to, co się dzieje dookoła, rozumiecie, włos rozwiany, ubranie podarte, szaleństwo w oczach...

Nie wspomniał o butach w ręku, ale nieśmiało domyślałam się, o kim mówi.

– I gdzie tu miejsce na miłość? – powątpiewała Kasia. – To jakaś wariacka albo bezdomna chciała cię naciągnąć na parę złotych.

– No, i nawet naciągnęła – przyznał po zastanowieniu, a ja ze wstydem przypomniałam sobie, że wciąż jestem mu winna za rachunek w Palmiarni.

– A nie rąbnęła ci portfela?

– Nie rąbnęła – odparł. – A nawet gdyby, to wcale bym nie żałował. Nie wiecie, że dla ukochanej człowiek jest gotowy oddać ostatnią koszulę?

– A co dokładnie cię w niej tak urzekło? – zaryzykowałam pytanie. – Bardziej podarte ubranie czy to szaleństwo w oczach?

– Najbardziej to zaangażowanie. Gdziekolwiek pędziła, to bardzo jej zależało, żeby zdążyć, a ludziom dzisiaj mało kiedy zależy na czymkolwiek – powiedział płynnie, jakby miał to już nauczone na pamięć. – No i była piękna – dodał, patrząc na wierzchołki drzew. – Najpiękniejsza kobieta, jaką spotkałem.

Spuściłam oczy, żeby nie pokazać emocji, bo cmentarz nie jest właściwym miejscem do zatańczenia radosnego kankana, a dokładnie na to miałam w tej chwili ochotę. Ponieważ wszyscy wpatrywali się w Adriana, z napięciem oczekując dalszego ciągu, moje serce odtańczyło go tylko w skrytości napełnionej radością klatki piersiowej.

– I co dalej? – dopytywali.

– A co miałyby być?

– No, powinniście wziąć ślub i żyć długo i szczęśliwie!

– Tak? – roześmiał się Adrian. – Myślałem, że najpierw trzeba trochę pochodzić.

– Zaraz – wtrąciła się Kasia. – Kogo masz na myśli?

I zaczęła wymieniać kolejne dziewczęta z życia Adriana, najpierw alfabetycznie imionami, potem bez imion, opisując je według funkcji i ról zawodowych. Czarnowłosa pielęgniarka, która mu podłączała kroplówki, kiedy spadł z drabiny? Sąsiadka z góry, która ciągle przychodziła do nich coś pożyczyć? Dziewczyna ze sklepu, która podsuwała mu zawsze najlepsze towary spod lady? Ania, Basia, Zuzanna?

Było ich więcej, niż chciałabym usłyszeć, ale zamiast się przejmować, w głębi duszy przez cały czas podśpiewywałam sobie radośnie „najpiękniejsza kobieta, jaką spotkałem”.

CZWARTEK

– Jak pogrzeb? – spytała rano Magda. Przyszła do pracy ubrana w piękną białą sukienkę z rozkloszowanym dołem, z nową torebką i nową, krótszą fryzurą.

– Pogrzeb jak pogrzeb – odparłam odruchowo i odsunęłam ją od kuchennego blatu, żeby nie poplamiała sukienki. – A ty co się tak odstrześliłaś?

– Wczoraj miałam wychodne i byłam wszędzie – powiedziała. – Na zakupach, u fryzjera i na wymianie oleju. A na pogrzebie mogło być ciekawie.

– Nie wiem, czy chcę wiedzieć, gdzie sobie wymieniałaś olej. Było smutno, ładnie, ale nie wiem, czy ciekawie.

– Wymieniałam olej w samochodzie, ale najpierw kupiłam sobie tę uroczą sukieneczkę, bo jak wyglądam jak słodkie dziewczę, to panowie są dla mnie bardzo mili, wymieniają mi filtr oleju, filtr powietrza i filtr paliwa gratis, a jak jeszcze zawieje wiaterek – wykręciła zamaszystego pirueta, aż zobaczyłam brzeg jej koronkowych majtek – to możesz jeszcze wycygnąć darmowy filtr kabinowy.

Przeszliśmy do naszego połączonego, podwójnego biurka i pstryknęliśmy włączniki komputerów.

– A na pogrzebach zakochani głupieją. – Zerknęła na mnie badawczo nad swojego monitora. – Pochylają się nad grobem i zdają sobie sprawę, że jutro wcale nie jest takie pewne, więc niektóre decyzje warto podjąć już dzisiaj, składają jakieś deklaracje...

– Nie wiem, o co ci chodzi – powiedziałam wykrętnie, ale musiałam się chyba zarumienić, bo jej wykrywacz kłamstw zapikał radośnie.

– O! – pisnęła cichutko, bo prawie wszyscy byli już w pracy. – Wyznałaś mi miłość?

– Nie – zaprzeczyłam, bo nawet jeżeli on wyczytał coś w moim rozkochanym spojrzeniu, to werbalnie nie zdradziłam się słoweczkiem.

– On tobie?

– Poniekąd – odparłam i półgłosem opowiedziałam jej, jak Adrian kluczył z historią o czarownicy.

– Boże, jak pięknie – rozczuliła się Magda. – Aż ci zazdroszczę. A mieliście potem jakąś chwilę dla siebie?

– Nie – westchnęłam ciężko, bo chociaż starałam się zamienić z nim słowo na osobności, to cały czas ktoś był z nami. – Na pożegnanie szepnął mi tylko, że zobaczymy się niedługo.

– Nie dzwonił?

Dla pewności wyszperałam z torebki telefon komórkowy i położyłam go obok klawiatury.

– Nie.

– A jak zadzwoni? To co? Czas chyba na jakiś krok... dalej? – podsunęła mi.

Przygryzłam zębami wewnętrzną stronę policzków, żeby się znowu nie zarumienić. Magda była ode mnie sporo młodsza, a zaczynałam się przy niej czuć jak przy spowiedniku. Z jednej strony chciałam rozmawiać, szczebiotać, opowiadać o wszystkim, a z drugiej obawiałam się, że wyjdę na kretynkę, zwierzając się z mojego braku doświadczenia.

Poza tym wciąż nie wiedziałam, w jakim kierunku mielibyśmy ten krok

wykonać? U mnie Marta, u niego gołe ściany...

– Polecam łazienkę – zażartowała Magda, kiedy bardzo cichym szeptem zwierzyłam jej się ze swojego problemu. U niej w domu, z czwórką dzieci krzątającą się po wszystkich zakątkach o każdej porze dnia i nocy, łazienka była jedynym miejscem, gdzie mogła spokojnie zażywać małżeńskiej bliskości. Poważnym mankamentem łazienkowych igraszek był jednak fakt, że z czasem zaczęła odczuwać podniecenie, wdychając zapach środka do dezynfekcji toalet.

– Dziękuję, zapamiętam – odparłam i wcisnęłam nos w papiery, żeby nie poznała, że łazienka to dla mnie nic nowego...

Po południu, po kilku szybkich kanapkach z ogórkiem i sałatą oraz dwóch szklankach zielonej herbaty, krótko przed tym, zanim Magda zakończyła obowiązki związane ze swoim niepełnym etatem i zaczęła szykować się do wyjścia, dostałam na komórkę wiadomość od Adriana.

– Obiad, ze mną? Zaraz teraz czy zaraz potem? – pytał za pośrednictwem wieży telekomunikacyjnej.

Serce zabiło mi radośnie, a ręka spoczęła się na telefonie. Nieplanowanie, niespodziewanie i spontanicznie nasze ścieżki znowu się schodziły.

– Odpisz, że teraz – namawiała mnie Magda, kiedy przeczytałam jej wiadomość, ale odpisałam zgodnie z prawdą, że kończę dopiero przed szesnastą. Nie dlatego, że byłam nadzwyczajnie obowiązkowa albo nie mogłam wyjść z pracy przed czasem, ale miałam na sobie zwyczajne, niebieskie džinsy i zwyczajną, luźną koszulę włożoną za pasek i nie był to bynajmniej odpowiedni strój na randkę z wymarzoną mężczyzną w słoneczny, majowy dzień. Musiałam dokończyć przelew, uprzedzić Piotra, pognać do domu, znaleźć coś odpowiedniego (co?) i wrócić do miasta.

– Czekam o szesnastej na parkingu przy Filharmonii – odpisał, jeszcze bardziej ograniczając mi czas.

– Kurde! – mruknęłam. – Nie zdążę się nawet przebrać. Nie mogę iść na randkę w spodniach i koszuli, to nie budowa.

Pomyślałam wtedy, że przez całe życie nie miałam tyle garderobianych dylematów, co przez te dwa tygodnie, od kiedy poznałam Adriana.

– Chodź – powiedziała do mnie konspiracyjnie Magda i zaciągnęła do łazienki.

– Dawaj ciuchy – powiedziała i zaczęła szarpać zamek swojej białej sukieneczki. Pod sukienką miała ładną seksowną bieliznę i zadbane, opalone ciało. Nie mam pojęcia, jak dawała radę dbać o siebie z czwórką dzieci w domu.

– Szybciej – ponagliła mnie, więc zrzuciłam koszulę i spodnie. Szczęśliwym trafem też miałam na sobie białą bieliznę, bo wątpię, czy posunęłybyśmy się aż do zamiany majtek.

Sukienka wydawała mi się odrobinę za krótka i była odrobinę za luźna w talii, ale Magda przyniosła z wieszaka w korytarzu brązowy żakiet, do którego od dawna nikt się nie przyznawał, z doczepionym do niego miętowym kwiatem i zwiewną, miętową apaszką. Kwiat przypięła mi do dekoltu, a apaszkę ułożyła jak pasek, wiążąc z tyłu efektowny supełek. Potem wysypała z torebki cały asortyment kosmetyków i smarowideł.

– Zrobimy ci romantyczne spojrzenie *smoky eyes* – powiedziała – i fryzurę na gwiazdę porno.

W firmowej łazience nakręciła mi końcówki włosów na waleczki papieru toaletowego, maznęła policzki, poprawiła oczy.

– Ożeż ty... – powiedziałam, widząc końcowy efekt. Wyglądałam dziewczęco, świeżo i jasno jak własna córka.

– Mam w domu trzy dziewczyny – wytłumaczyła się skromnie Magda, po czym opuściła łazienkę w moim ubraniu. Ja jeszcze przez chwilę przyglądałam się swojemu odświeżonemu wizerunkowi. Po jej poprawkach wyglądałam młodo, nie „jeszcze młodo”, ale po prostu młodo, czułam się też młodo, serce mi waliło, adrenalina we krwi przyspieszała wszystkie czynności życiowe, byłam młoda i czekała mnie randka z zabójczo przystojnym, młodym człowiekiem. Wszystko we mnie żyło i kwitło, zupełnie jakbym w ten majowy dzień sama była wiosną, chciało mi się śpiewać, kochać i posyłać mężczyznom powłóczyście spojrzenia, a tego jedynego mężczyznę chwycić mocno za rękę i zaciągnąć... No, i tu zaczynały się schody.

Byłam winna Magdzie co najmniej dobry koniak za ten majowy *image*, ale nawet przy jej kreatywności kwestia tego, gdzie i kiedy mogłabym realizować swoje erotyczne fantazje z Adrianem w roli głównej, pozostawała otwarta.

Kilka minut przed wyjściem Piotr przyniósł mi pocztę do wysłania i na chwilę zawiesił na mnie swój badawczy wzrok.

– Ładnie wyglądasz – powiedział. – Bardzo ładnie.

Podziękowałam, chociaż nie sądzę, żeby słowa pochwały wypowiedziane z zaskoczeniem i podejrzliwością można było uznać za komplement.

– Naprawdę bardzo ładnie – dodał jeszcze na odchodnym.

Miasto o tej porze dnia tętniło ruchem w rytm zmiany świateł na skrzyżowaniach. W żółtym tempie dojechałam do zatłoczonego centrum, z trudem udało mi się skręcić na parking przy Filharmonii i znaleźć wolne miejsce. Ponieważ zbliżała się szesnasta, wrzuciłam do parkomatu tylko kilka drobniaków i zaczęłam się rozglądać za Adrianem.

– Dzień dobry – ukłonił mi się pan parkingowy, uczynnie wskazując wygodne przejście między samochodami. – Nie trzeba było już płacić o tej

godzinie.

– W porządku – uśmiechnęłam się do niego promiennie, bo byłam szczęśliwa, uśmiechałabym się do wszystkich. – Dziękuję bardzo.

– A bardzo proszę. – Odprowadził mnie wzrokiem.

– Polecamy się na przyszłość. – Dobiegł mnie jeszcze głos drugiego parkingowego.

Zanotowałam w pamięci, żeby jeszcze raz pożyczyć od Magdy tę sukienkę, bo faktycznie mobilizowała mężczyzn do uprzejmości.

Adrian oglądał wystawy sklepów wkomponowane w budynki zabytkowych kamienic. Zobaczyłam go, zanim on zobaczył mnie. Miał na sobie jasne, lniane spodnie i luźną białą koszulę, dwa górne guziki były rozpięte i ukazywały muskularną klatkę piersiową. Na przegubie lewej ręki miał zegarek, na który co chwila zerkał, nie zważając zupełnie na badawcze spojrzenia mijających go kobiet. Wyglądał tak cudnie, że kolana mi zmiękły i gotowa byłam na każde szaleństwo, byle przeżyć z nim jeszcze kilka chwil sam na sam, chociaż kilka chwil, zanim będę musiała przyznać, że nie dla mnie to piękne ciało i silne, gładkie mięśnie.

– Wow. – Zauważył mnie dopiero wtedy, kiedy podeszłam na kilka metrów.

– Prawie cię nie poznałem. Ślicznie wyglądasz.

Z radości zakręciłam pirueta, tak samo jak Magda w firmowej kuchni, i dopiero w ostatniej chwili przypomniałam sobie, że sukienka pewnie zaprezentuje mu wszystkie moje wdzięki łącznie z rozstępami na udach. Ale co tam, nie co dzień bywa się zakochanym na wiosnę.

– Ślicznie – powtórzył. – Dokąd chcesz pójść?

Nie byłam specjalnie głodna. Na jego widok żołądek zawiązał mi się na supeł i wątpiałam, czy zdołam zjeść cokolwiek. Odkąd go poznałam, prawie w ogóle przestałam jeść, bo głód i pragnienie przekierunkowały mi się na potrzeby inne niż gastronomiczne.

– Prawdę powiedziawszy, wolałabym kawę i szklankę czegoś zimnego do picia – powiedziałam zgodnie z prawdą. Tylko szklanka zimnej wody mogła mnie powstrzymać od rzucenia się na niego w tej chwili.

Wskazał dłonią kierunek i poszliśmy powoli w stronę starego miasta. Ogromna bryła starego kościoła osłoniła nas przed ostrym słońcem i odcięła od ulicznego zgiełku. Niepostrzeżenie moja dłoń znalazła wygodne miejsce w jego dłoni i szliśmy dalej jak para nastolatków, która nawet nieświadomie szuka ze sobą kontaktu. Chociaż spacerowałam po zielonogórskim deptaku setki razy, dopiero przy nim dostrzegałam, że kamienice są kolorowe, zieleń zadbana, a wystawowe szyby kryształicznie czyste.

– Wiesz, że mieszkałem kiedyś w Zielonej Górze? – zaczął. – Nie mogę uwierzyć, że nigdy wcześniej cię nie spotkałem. Nawet gdzieś w sklepie, w kolejce do lekarza, na Winobranii... Chodziłaś na koncerty podczas Winobrania?

Skinęłam głową. Oczywiście, że chodziłam, ale głównie z Martą – na te dla dzieci. Później, kiedy ona wołała już wychodzić z rówieśnikami, ja tylko podwoziłam ich do centrum i po koncercie odwoziłam do domów. Zakupy robiłam w soboty rano – kiedy atrakcyjni, młodzi chłopcy odsypiają studenckie imprezy, a jedyni lekarze, jakich odwiedzałam, to pediatrzy albo ginekolodzy. Nic dziwnego, że przy takim stylu życia nie poznałam żadnego mężczyzny.

– A dzisiaj? – zmieniłam temat. – Znowu przyjechałeś po materiały?

– Nie, dzisiaj występuję w charakterze pośrednika.

– Na czyje polecenie? – zdziwiłam się.

– Raczej na czyją prośbę – poprawił mnie. – Mateusza i Marty. Ale to bardzo delikatna sprawa i ma, że tak powiem, drugie dno, więc powinniśmy usiąść i spokojnie to przedyskutować.

Spacerowym krokiem doszliśmy do pierwszego ogródka z parasolkami i usiedliśmy w cieniu. Wietrzyk wciąż podwiewał mi brzeg sukienki i z wielką satysfakcją łowiłam spojrzenia Adriana, które za każdym razem pożądliwie lizały moje nagie uda. Przygryzłam wargę, przypominając sobie, że mężczyźni w jego wieku składają się w większości z testosteronu, i z przekorą położyłam sobie jego dłoń na kolanie. Moja kobiecość w tym czasie pogwizdywała sobie cicho skoczną pioseneczkę o zajęczkach.

Chuda kelnerka podała nam zamówienie i zerknęła na Adriana. Kobiety przy nim zachowywały się tak, jak mężczyźni przy białej sukience Magdy.

– Czy jeszcze czymś mogę służyć? – spytała, gapiąc się na niego bezczelnie.

– Nie, dziękujemy – odesłałam ją i dwiema rękami przykryłam dłoń Adriana. Nawet jeżeli wyglądałam jak jego ciotka, to tego dnia był mój!

– Mów, co to za misja – poprosiłam go. – Misja pokojowa?

Spojrzał w niebo i znowu przybrał tak dobrze mi znany, rozbawiony wyraz twarzy.

– Powiedziałbym raczej, że... sypialniana.

Zawisłam w pół ruchu szklanki do ust. Jaka misja sypialniana w kontekście Marty i Mateusza? Mimo gołąbków gruchających nam pod nogami i ćwierkających wokół skowronków założyłam się, że przybrałam hardą minę zrzędlivej starej matki. Adrian postanowił nie czekać, aż zacznę zrzędzić.

– Po maturze Mateusz miał obiecany wyjazd w góry ze znajomymi. – Słuchałam. – Tylko na trzy dni, bo tak rodzice umówili się z innymi rodzicami. Pierwszy dorosły wyjazd, bez nauczycielki i bez odliczania przed wsiadaniem do autokaru. Jadą jutro. Oczywiście kiedy tata umarł, w ogóle nie było mowy o wyjeździe, ale teraz... Ja jestem cały czas na budowie, mama nie może się jeszcze otrząsnąć z pierwszego szoku, więc ustaliłem z ciotką Marią, że zabierze ją do siebie przynajmniej na tydzień, żeby mama zmieniła otoczenie i nie musiała po każdym wyjściu z domu wracać do pustego mieszkania. W takiej sytuacji Mateusz

byłby sam, więc uznaliśmy, że najlepiej będzie, jeśli pojedzie w góry, tak jak planował.

– Słusznie – skinęłam z aprobatą. Chłopak musiał żyć dalej.

– No – zgodził się ze mną Adrian. – I tu zaczyna się moja misja. Mateusz chce zabrać Martę.

– W życiu – zaprotestowałam od razu. – Nie wiem gdzie, nie wiem z kim, nic nie wiem, nigdzie nie jedzie.

Adrian roześmiał się tak głośno, że zwróciło na nas uwagę co najmniej kilkoro przechodniów.

– Dokładnie to miałaś powiedzieć.

– Co?

– Że jak nie wiesz gdzie, nie wiesz z kim, nic nie wiesz, to ona nigdzie nie pojedzie.

– Tak? – Ze złości zacisnęłam pięść na łyżeczce do kawy. – I co jeszcze?

– Jeszcze tylko jedno. – Zabrał mi łyżeczkę i pogłaskał po ramieniu. – Podobno jesteś najlepszą mamą na świecie, ale jesteś zabójczo konsekwentna i jak raz czegoś zabronisz, to nie możesz później zmienić zdania, dla zasady. Dlatego uprzedzam pytanie Marty, żebyś mogła najpierw to przemyśleć, a nie od razu odmawiać. A przy okazji – pochylił się i zaczął szeptać mi na ucho – przy okazji chciałbym załatwić pewien swój interes.

– Jaki? – szepnęłam, bo zawiesił głos.

– Nie wiesz? – wciąż szeptał, odrobinę nawet ciszej, przysuwając usta bliżej mojego ucha i tym samym sugerując, że to coś, o co mu chodziło, miało przyjemnie dwuznaczny wymiar.

– Nie wiem – droczyłam się, pozwalając sobie położyć mu dłoń na karku i nawinąć na palce kilka kosmyków włosów. Zapachniało szamponem i świeżą wodą toaletową.

– Nie mogę zaprosić cię do siebie – szeptał najpierw do ucha, a potem prosto w usta, patrząc mi intensywnie w oczy – chociaż bardzo, bardzo bym chciał.

Miałam wielką ochotę go pocałować, ale zważając na miejsce publiczne, tylko zacisnęłam zęby. Adrian znowu pochylił się do mojego ucha i chyba żeby dodać mocy słowom, polizał je dyskretnie.

– Bardzo – powtórzył. – Ale jeśli Marta wyjedzie z Mateuszem, to ty będziesz mogła zaprosić mnie do siebie.

Miałam okazję się przekonać, co to są mieszane uczucia. Na samą myśl o zaproszeniu Adriana na cały weekend uda mi się zacisnąć, ale co byłąby ze mnie za matka, gdybym prehandlowała własne dziecko za trochę przyjemności z facetem?

– To nieuczciwe – powiedziałam łagodniej, niż powinnam. – Marta nie ma jeszcze osiemnastu lat, nie ufam jej na tyle, żeby puścić ją samą z chłopakiem.

Myślisz, że nie wiem, co się dzieje na takich wyjazdach?

– Mogę cię zapewnić, że nie będzie alkoholu i narkotyków, znam te dzieciaki – obiecał rzeczowo.

– A seks? – wysyczałam.

– Seks będzie – zapewnił z szerokim uśmiechem. – U ciebie. We wszystkich możliwych miejscach i pozycjach.

– Przestań, to nie są żarty! – Zarumieniłam się, częściowo ze złości, a częściowo na myśl o miejscach i pozycjach.

Co taki dzieciak jak on mógł wiedzieć o odpowiedzialności? Żył sam dla siebie i sam sobie budował mały domek, w którym pokój dziecka był jego pokojem. Ja przez osiemnaście lat sama wychowywałam córkę i sama musiałam podejmować wszystkie trudne decyzje. I jakoś dawałam sobie radę bez seksu.

– Jeżeli zechcą, zrobią to nawet pod twoim nosem – uświadomił mnie Adrian. – Nigdy nie byłaś zakochana? Wystarczy pięć minut sam na sam, w przymierzalni w sklepie, w samochodzie, kurczę, nawet w windzie. Teraz przecież są razem, skąd możesz wiedzieć, co robią?

– Przestań!

– Kiedy Marta kończy osiemnaście? – spytał.

Zerknęłam na zegarek, małeńki datownik wskazywał dwudziesty dzień maja.

– Za trzy tygodnie – policzyłam.

– Szmat czasu – powiedział z ironią. – Za trzy tygodnie będzie mogła legalnie kupić alkohol, głosować i wyjechać za granicę bez twojej zgody. Przyjmij do wiadomości, że prędzej czy później będziesz musiała zacząć ją traktować jak dorosłą kobietę i dać jej trochę swobody. Jej i sobie.

– Od kiedy znasz się na wychowywaniu dzieci? – Przewróciłam oczami i wypiąłam do dna swoją wodę.

– To naturalny instynkt. – Mrugnął łobuzersko.

Cholera, manipulacja chyba też należała do jego naturalnych instynktów, robił ze mną, co chciał. Gdyby to Marta próbowała negocjować wyjazd, sprawa zakończyłaby się zaraz po zadaniu pytania, ale ona nie miała takich czarnych oczu wpatrzonych we mnie z obiecującym błyskiem i nie wyciągnęłaby z zanadrza tak przekonujących argumentów.

– A gdybym to rozważyła? Warunkowo? – zastanowiłam się głośno.

– Musiałabyś podjąć decyzję od razu, najlepiej teraz. A zanim ją podejmiesz, pomyśl, jakie zalety niesie czasem ze sobą... – podciągnął moją dłoń do wysokości ust – ...uleganie ludziom... – polizał kostki palców – ...na których ci zależy.

– Dobrze – poddałam się. Szybko jak na mnie, ale czułam, że jeszcze chwila negocjacji i rozłożyłabym nogi na wiklinowym, restauracyjnym fotelu.

– Wspaniale. – Rozpromienił się i rozparł w swoim fotelu z miną Casanovy wymykającego się z sypialni najnowszej kochanki. – W takim razie proponuję...

– Proponuję szybciotko wracać do domu – przerwałam mu i chwyciłam torebkę, żeby zadzwonić do Marty.

Wchodząc do mieszkania, specjalnie upuściłam klucze na progu, żeby przypadkiem nie zastać córki w okolicznościach, których nie chciałabym jej oglądać nigdy w życiu. Z hałasem zrzuciłam buty, szurnęłam torebką o szafkę. Adrian, który wszedł razem ze mną, głośno zatrzasnął za sobą drzwi.

Marta z Mateuszem siedzieli grzecznie przy stole w kuchni i kończyli jeść coś, co przypominało makaron z sosem. Gdy tylko weszłam, oboje skierowali na mnie pełne napięcia, pytające spojrzenia.

– Możesz – powiedziałam lakonicznie, a oni uśmiechnęli się do siebie porozumiewawczo.

– Dziękuję, mam – powiedziała radośnie Marta.

– Dziękuję... pani – dodał od siebie Mateusz.

– Żeby tylko nie żałowała! – Podniosłam do góry palec. – Oczekuję telefonów co najmniej co godzinę.

– Chodź, młody, spadamy. – Adrian przygarnął brata ramieniem i pchnął w stronę wyjścia. Marta wyszła za nim na korytarz, żeby się pożegnać, co w języku młodych oznaczało zapewne całowanie i obściskiwanie się na schodach. Jak tylko zamknęły się za nimi drzwi, Adrian przytrzymał mnie za podbródek i lekko pocałował w usta.

– Rozumiem, że w tych okolicznościach jestem zaproszony na kolację – powiedział.

Przymknęłam oczy i mruknęłam przeciągle, co mogło oznaczać tylko i wyłącznie entuzjastyczną zgodę.

– O której mam być?

– O ósmej? – zaproponowałam.

– O siódmej? – Pocałował mnie znowu.

– O siódmej.

– Nie mogę się doczekać. – Poczułam jego ręce na plecach, a potem mocny, męski uścisk na pośladkach.

Ja też nie mogłam się doczekać.

– Ty podstępna źmijko – powiedziałam do Marty, kiedy wróciła do mieszkania. Rozegrała to jak partię szachów i miała na twarzy zamaskowany radością uśmiešek tryumfu. – Nie mogłaś sama zapytać?

– Nie pozwoliłabyś mi – wygłosiła to tak, jakby był to jedyny oczywisty powód. – Kasia mi poradziła, żeby napuścić na ciebie Adriana.

– Kasia ci poradziła? Powiedziała dlaczego? – zaniepokoiłam się.

– Powiedziała, że czarownice mają słabość do magii.

Wzruszyłam tylko ramionami i zająrzałam do garnka stygnącego na kuchence indukcyjnej, ale nie mogłam w duchu nie pogratulować Kasi spostrzegawczości. W garnku została resztką makaronu z lodówki wymieszanego z sosem ze słoika. Prawie obiad przygotowany przez moje prawie dorosłe dziecko. Przełożyłam to superdanie do głębokiego talerza i usiadłam przy stole. Marta przysiadła się do mnie.

– Mamo?

– Tak? – Przełknęłam pierwszy kęs.

– Nie mam nic przeciwko temu, żebyś zaprosiła tego faceta do domu.

– Jakiego faceta? – Zakrztusiłam się drugim.

– Nie jestem dzieckiem – zadarła nos. – Widzę, że od jakiegoś czasu fruwasz na wysokości lamperii. Nigdy się tak nie ubierałaś i nigdy tak ładnie nie wyglądałaś. To ktoś z pracy? Twój szef?

– Bardzo smaczne. – Pokazałam widelcem na talerz, żeby zmienić temat. – Co dodałaś?

– Żółty ser. Nie chcesz, to nie mów. Ale od jutra masz wolną chatę i cokolwiek planujesz, wiedz, że masz moje błogosławieństwo.

Przeżuwałam kolejny kęs, patrząc, jak radośnie płąsa do swojego pokoju z wyszperaną z pawlacza turkusową walizką.

– Cokolwiek ty planujesz, wiedz, że mojego nie masz – krzyknęłam za nią.

PIĄTEK

– O siódmej? – skrzywiła się Magda, kiedy zwierzyłam jej się z planów na wieczór. – Jak masz zamiar zdążyć?

Marta pożegnała się ze mną z samego rana, oboje z Mateuszem dopięli wyjazd na ostatni guzik, specjalnie odłożyli go o dwie godziny, żeby nie musiała opuścić ani jednej lekcji, ale do szkoły pojechała ze spakowaną walizką. Ja

pracowałam do szesnastej, zakładałam, że w trzy godziny zdołam przygotować jakąś szybką kolacyjkę, ogarnąć mieszkanie, no i oczywiście wziąć prysznic, ogolić nogi i takie tam... To, co się zwykle robi przed randką. Chyba że coś się zmieniło od tych zamierzchłych czasów, kiedy jeszcze randkowałam.

– Sprzątanie, kolacja, prysznic – wyliczyłam na palcach, pytająco spoglądając na Magdę. – Coś pomijam?

– Sprzątanie od razu sobie daruj, bo to niepotrzebna strata czasu, ewentualnie zmiana pościeli i odkurzanie dywanu, gdybyście, wiesz... nie mogli się powstrzymać. Na kolację polecam błogosławione dania gotowe, do nabycia w każdym supermarkecie, ewentualnie błogosławione półprodukty, które możesz spokojnie włożyć do piekarnika i robią się same, a ty zajmij się sobą, uczesz się, umaluj, w ogóle zrób się na bóstwo! Chcecie gdzieś wyjść?

Skrzywiłam nos. Całą noc biłam się z własnym sumieniem, usiłując zamknąć mu buzię przypominającą uporczywie o różnicy wieku między mną i Adrianem. Pożądanie pożądaniem, ale jakieś zasady w życiu trzeba mieć. Na ten weekend poszłam na kompromis ze swoimi zasadami – dwie noce dla mnie na upojne igraszki, reszta życia dla nich na gorzkie wyrzuty za niemoralność. Po co miałabym wychodzić? Żeby pokazywać ludziom własny upadek?

– Zostajemy w domu. Denerwuję się – wyznałam, bo pomimo zajmowania myśli planowaniem zakupów i makijażu, to między wierszami był przecież mój romantyczno-erotyczny debiut.

– Kiedy ostatnio spędziłaś noc z mężczyzną? – spytała mnie prosto z mostu Magda.

Z niechęcią policzyłam lata. Pomijając krótkie chwile w objęciach Adriana, ostatnim mężczyzną w moim życiu był Piotr, w czasach, kiedy jeszcze był we mnie zakochany.

– Firma jeszcze wtedy nie istniała – wyznałam, przemilczając imię, bo Magda też nie wiedziała o moim związku z Piotrem.

– Z Adrianem jeszcze nic? – wyszeptała z naciskiem na „nic”.

– Odrobinę na kanapie, odrobinę w przedpokoju i kilka chwil w łazience – szepnęłam w jej stronę i obie zachichotałyśmy.

– O matko, prawie ci zazdroszczę – powiedziała. – Co nie znaczy, że chciałabym żyć tyle lat w celibacie tylko po to, żeby mieć przyjemność zmienić to po latach. Ale najbliższego weekendu naprawdę ci zazdroszczę.

Nie wzięłam pod uwagę, że w piątek po południu wszyscy wybierają się na wielkie, weekendowe zakupy i nabycie kawałka przyprawionego mięsa i kilku świeżych warzyw na sałatkę zabrało mi ponad godzinę z mojego cennego czasu. Pomna porad Magdy, szybko zmieniłam pościel i odkurzyłam dywany, zaciągnęłam też wszystkie rolety, żeby w mieszkaniu zapanował przyjemny, ciepły

półmrok. Nie było tych obowiązków specjalnie dużo, ale kolejne minuty topniały w zastraszającym tempie. Przed osiemnastą zadzwoniła Marta i zrelacjonowała mi po kolei całą podróż autobusem z przesiadką, imiona wszystkich kolegów Mateusza, rysopis starszawej gospodyni i widok, jaki miała za oknem. Nie chciałam jej przerywać, więc z telefonem przy uchu kroiliśmy warzywa i myłam blaty w kuchni, zastanawiając się jednocześnie, czy mam w szafie chociaż jedną wyprasowaną spódnice.

– To pa, mamuniu – skończyła wreszcie samorzutnie. – Idziemy na miasto coś zjeść i potańczyć. A ty co robisz?

– Kolację – odpowiedziałam oszczędnie.

– Sama?

– Sama – odparłam.

– Aha, to baw się dobrze, mamo.

– Ty też, kochanie. – Chciałam jeszcze powiedzieć, żeby zadzwoniła wieczorem, ale planowałam wyłączyć telefon. – Nie dzwoń, bo... może pójde do kina – wymyśliłam naprędce, chociaż Marta doskonale wiedziała, że nienawidziłam chodzić sama do kina.

– Aha – powtórzyła dobitnie. – To tym bardziej dobrze się baw.

O wpół do siódmej byłam totalnie w proszku. Mięso co prawda dochodziło, roztaczając wokół piekarnika cudowny aromat orientalnych przypraw, ale nie nakryłam do stołu, nie wiedziałam, gdzie są świece i nie przygotowałam sobie nic do ubrania. Zamiast puszystej fryzury na głowie miałam mokre strąki, zamiast wieczorowego makijażu – kleistą maseczkę, a zamiast seksownej bielizny – białe majtki i jedną pończochę. Drugą musiałam zgubić gdzieś po drodze do łazienki.

– O matko i córko! – mamrotałam do siebie, szukając w szafce na buty czarnych szpilek, bo mimo braku sukienki ubzdurało mi się, że do wieczorowej kreacji powinnam założyć szpilki.

Dzwonek do drzwi zaskoczył mnie, kiedy klęczałam półnaga na podłodze w przedpokoju. Zerknęłam przez judasza i zobaczyłam piękny bukiet słoneczników przepasanych zieloną wstążką. Adrian trzymał je za plecami i odwrócony od drzwi oglądał obrazy Moneta, ale nawet spoglądając tylko na tył głowy, widziałam, jaki jest elegancki i zadbany. Kołnierzyk koszuli był starannie wyprasowany, a włosy puszyste i założone za ucho. Odniosłam wrażenie, że nawet odwiedził fryzjera.

Nie przychodzi się do kobiety pół godziny za wcześnie!

– Daj mi minutę! – krzyknęłam mu przez drzwi i pognałam do łazienki, ale co można zrobić w ciągu nędznej minuty? Zdażyłam tylko narzucić na siebie wymięty szlafrok i zmyć z twarzy maseczkę, ale nie mogłam pozwolić, żeby dłużej stał pod drzwiami z bukietem kwiatów na oczach wszystkich sąsiadów. W rozpaczliwym odruchu obronnym pogasiłam wszystkie światła w mieszkaniu,

żeby nie miał możliwości przyjrzeć mi się zbyt dokładnie.

– Przepraszam – powiedział, kiedy otworzyłam drzwi. – Przyjechałem za wcześnie. Miałem posiedzieć w samochodzie na dole, ale nie mogłem się doczekać...

Miał na ustach tak uroczy uśmiech kajającego się winowajcy, że stałam na progu zaczarowana i zastygła w bezruchu jak żona Lota zamieniona w słup soli. Czułam jednocześnie, jak wzrasta mi ciśnienie, puls i wszelkie inne parametry życiowe.

– Wpuścisz mnie? – zapytał, więc zrobiłam dwa kroki do tyłu. On zrobił trzy większe kroki w moją stronę i po drodze odłożył kwiaty na szafkę na buty. Zdaje się, że spadły na stertę wyrzuconego z niej obuwia, ale niespecjalnie miałam wtedy głowę do porządków, bo pierwszym ruchem, jaki wykonał po wejściu, było zagarnięcie mnie w ramiona. Podniósł mnie lekko, jakbym była anorektyczną panną młodą z jakiegoś reality show, a poły szlafroka rozchyliły się i wisiały do podłogi jak tren sukni ślubnej.

– Sypialnia? – spytał, więc posłusznie wskazałam głową właściwy kierunek.

Kopnięciem otworzył drzwi mojej sypialni, a drugim kopnięciem odsunął rozstawiony przy łóżku odkurzacz. Postawił mnie na łóżku, dzięki czemu byłam od niego wyższa i przez krótką chwilę wydawało mi się nawet, że mam nad nim coś na kształt przewagi, ale zważywszy, że jednym ruchem pozbawił mnie wątlej osłony rozchełstanego szlafroka, ta przewaga momentalnie skurczyła się do minimum. Nie licząc majtek i jednej pończochy, byłam zupełnie naga, ale słońce wciskające się do sypialni przez gruby materiał czerwonej rolety otulało nasze ciała gęstym, rubinowym półmrokiem.

Nawet nie spróbował mnie pocałować. Łakomym spojrzeniem zlustrował piersi, a gdy próbowałam je zasłonić, stanowczym ruchem opuścił mi rękę wzdłuż ciała. Trzymając mocno moje nadgarstki, kciukami obwiodł brzeg majtek i schylił się, żeby pocałować skórę przy ich granicy. Oswobodziłam dłonie, żeby wpleść je w jego włosy, i spróbowałam pokierować jego usta tam, gdzie chciałam je poczuć. Język kreślił na mojej skórze ciepły, wilgotny szlak, który stygł pod wpływem wpadającego przez uchylone okno wiosennego powiewu. Roleta postukiwała nierytmicznie o okienną ramę.

– Zdejmij – szepnęłam przez ściśnięte gardło, mając na myśli tę niewielką ilość garderoby, którą wciąż na sobie miałam.

Położył mnie w poprzek łóżka i pocałował udo ponad zwieńczeniem pończochy. Zaczął ją powoli zwijać, a ja bezwstydnie oparłam mu stopę na ramieniu. Kiedy zdjął pończochę, rzucił ją po prostu za siebie i łapiąc za biodra, zdecydowanym ruchem przewrócił mnie na brzuch. Zachichotałam, czując jego łaskoczący oddech na pośladkach, ale bez żadnego zażenowania wypięłam pupę, żeby mógł bez przeszkód pozbawić mnie majtek. Później sama się odwróciłam

i leżąc zupełnie naga na wyszywanych poduszkach, patrzyłam, jak stoi nade mną kompletnie ubrany, w czarnych dżinsach, białej koszuli i skórzanym pasku z wielką klamrą, trzymającym go ode mnie daleko jak za żelazną kurtyną.

– Zdejmij – powtórzyłam znowu przez ściśnięte gardło, ale tym razem chodziło mi o niego. Może powinnam sama go rozebrać, zabrać się najpierw za guziki koszuli, później za ten pasek ukrywający przyjemne niespodzianki, ale bardzo wygodnie leżało mi się na poduszkach, pod jego baczny spojrzeniem, zanurzonej w gęstwinie rubinowej poświaty. Miałam jeszcze dwa wieczory, dwie noce i dwa poranki na kosztowanie wszystkich niespodzianek, jakie miał dla mnie pod ubraniem. Póki co syciłam wzrok smakowitym odcieniem skóry, którą odsłoniła rozchylona koszula, i niecierpliwiłam się, że tak długo mocuje się z klamrą paska.

– Sama zdejmę – mruknęłam w końcu i pociągnęłam go na łóżko, szarpiąc za dżinsową kieszeń.

– Bądź delikatna. – Puścił do mnie oko, kiedy wreszcie pozbyłam się wszelkich przeszkód.

Wbrew własnym oczekiwaniom – nie byłam.

Pachniał wspaniale, smakował wspaniale i brzmiał wspaniale. Raz za razem zachłystywałam się własną fascynacją mężczyzną, który nie miał prawa pojawić się w moim życiu, ale póki co zupełnie dobrze komponował się z wystrojem mojej sypialni. Rozkosz była za szybka, za głośna i zbyt gwałtowna, jak na wszystkie spodziewane doznania. Żaden pisarz nie pisał o tym, że przy łóżku kochanków powinna stać szklanka wody, żeby mieli czym zwilżyć usta wysuszone i spierzchnięte od krzyku. Po dwóch kwadransach skłonna byłam podpełznąć do parapetu i wypić wodę z postawionego tam wazonu z bzem.

Adrian z zapalem młodzieńca, który niewiele wcześniej przestał być nastolatkiem, grał na moich zmysłach, aż osunęłam się na poduszki zupełnie bez sił. Kiedy jego ciało zastygło w odpowiedzi na rozlewającą się po moim wnętrzu falę ciepłej przyjemności, wpiłam się w jego usta z uczuciem satysfakcji i ulgi.

– Wykończyłaś mnie – powiedział ze śmiechem, leżąc z rozrzuconymi ramionami na poduszkach w kwiaty i wyszarpując mi spod tyłka kawałek narzuty, którym później otarł spocone czoło.

– Chce mi się pić – szepnęłam i z trudem zwlekłam się ze swojego miejsca. Przyniosłam z kuchni dwie szklanki i butelkę gazowanej wody i dopiero potykając się o własny szlafrok, skotłowany na podłodze, zauważyłam, że nie spróbowałam nawet okryć swojej nagości.

Nie czekając, aż naleję, Adrian zabrał mi wodę i napił się prosto z butelki, potem wciągnął mnie do łóżka i nadstawił usta. Były przyjemnie zimne i przyjemnie mokre. Zlizalam kropelki z warg i poszukałam chłodu języka.

Przygarnął mnie ramionami i z leniwym uśmiechem pozwalał całować się po twarzy, szyi i klatce piersiowej. Wszędzie był taki pachnący, gładki i twardy, aż przyszło mi do głowy, że dopiero kobieta w moim wieku potrafi docenić zalety takiego pięknego młodego ciała, ale odpędziłam tę nieprzyjemną myśl, bo sprawiła, że poczułam się jak podstępna wyzyskiwaczka jego młodości, stara i zachłanna.

– Co tak piszczy? – spytał, podnosząc się na przedramionach. Od jakiegoś czasu też słyszałam irytujące popiskiwanie dobiegające z kuchni, ale nie obeszkoby mnie ono nawet wtedy, gdyby blok stanął w płomieniach.

– Kolacja – przypomniało mi się nagle i postanowiłam jednak wyjść z łóżka. Sięgnęłam po swój szlafrok, ale w ostatniej chwili chwyciłam z podłogi koszulę, która pachniała nim, i zarzuciłam sobie na gołe ciało. A, niech chodzi bez – pomyślałam z niecnym uśmieszkiem, już sobie wyobrażając, jak podaje do stołu ubrany tylko w dzinsy. Marzenie...

– Mam kolację w piekarniku i wino w lodówce – wytłumaczyłam. – Planowałam też się wystroić i oczarować cię swoją elegancją, ale nie dałeś mi szansy.

– Oczarowałaś mnie wystarczająco – rzekł z uśmiechem, wciągając spodnie – ale z kolacji i wina skorzystam z przyjemnością.

Zaprowadziłam go do kuchni i pokazałam, gdzie są naczynia, z prośbą, by był tak miły i nakrył do stołu. Sama pognałam do łazienki, żeby jednak dokończyć toalety i w ekspresowym tempie doprowadziłam do pożądanego stanu włosy i makijaż. Potem przemknęłam do sypialni i wyszperałam z szafy nieprzyzwoicie krótką i nieprzyzwoicie obcisłą sukienkę, której nie zakładałam od dobrych dziesięciu lat. Leżała w szafie tylko dlatego, że odłożyłam ją dla Marty i z czasem po prostu o niej zapomniałam. Ponieważ sukienka była czarna, zrezygnowałam z neutralnej bielizny, wciągnęłam na nogi seksowne czarne pończochy i wróciłam do przedpokoju po szpilki.

Lustro powitało mnie jak nie mnie. Oczy mi błyszczały nienaturalnym, mrocznym blaskiem, włosy wydawały się bardziej puszyste, usta bardziej czerwone, a spojrzenie bardziej pewne siebie. Zakochanie w magiczny sposób odmładza i upiększa.

Usiłowałam przypomnieć sobie, kiedy ostatnio tak wyglądałam i tak się czułam, ale odpowiedź była przygnębiająco jednoznaczna – nigdy.

Wygrzebałam spod sterty butów swoje czarne szpilki i podniosłam z podłogi bukiet słoneczników. Wstążeczki się wygniotły, ale kwiaty nie zdążyły zwiędnąć. Były piękne, delikatne i pachnące bardzo ulotną wonią miłostnego wyznania. Nie spodziewałam się, że w moim wieku dogonią mnie jeszcze takie subtelne uczucia, ale zerkając znowu w zawieszzone w przedpokoju lustro, stwierdziłam, że jest mi z nimi bardzo do twarzy. Mogłabym się przyzwyczaić do podobnych doznań, ale nie sądziłam, bym była dość przebiegła, by trwać w związku bez przyszłości, który

musiałabym ze wstydem ukrywać przed ludźmi, zwodząc jednocześnie chłopaka, w dobrej wierze gospodarującego w mojej kuchni i układającego sztuce na purpurowych serwetkach. Taki młody, taki doskonały.

Korzystając z tego, że wydawał się mocno zaabsorbowany otwieraniem wina, pogapiłam się trochę na jego opalone ramiona i muskularny brzuch. Czarne włoski porastające klatkę piersiową zbiegały równą ścieżką w dół i znikwały za magiczną barierą klamry od paska, naturalnie, symetrycznie i po męsku. Chyba się powtarzam, ale zawsze miałam wielką słabość do ładnie wyrzeźbionych mięśni brzucha. W moim przekonaniu mężczyzna z wielkim brzuchem skutecznie odpychał od siebie wszelkie okazy czułości nie tylko w dosłownym znaczeniu. Przyjemna dla oka rzeźba tych okolic była natomiast niezwykle zachęcająca dla zwiedzających. Aż się chciało przyklęknąć i poślizgać językiem wzdłuż i wszerz tych załamań, cieni i półcieni...

– Na co masz ochotę?

Ach, na co nie miałam?

– Czerwone czy białe? – drażył Adrian z butelkami w dłoni.

– Tak – odparłam i nalałam zimnej wody do wazonu na kwiaty.

– Tak białe, czy tak czerwone?

– Tak na wszystko – uśmiechnęłam się do niego w roztargnieniu. Półnagi facet rodem z erotycznych fantazji usługiwał mi w mojej własnej kuchni. Śniłam swój sen.

– Widzę, że się rozmarzyłaś. – Objął mnie wpół i lekko pocałował. – Nie jesteś głodna?

– Jestem – wróciłam na ziemię – ale wydaje mi się, że śnię. Wiesz, że w tej kuchni nigdy nie było mężczyzny?

– Nigdy? Nawet hydraulika?

– Hydraulik był – zastanowiłam się – ale miał większe piersi niż ja, więc nie wiem, czy można go zaliczyć do kategorii mężczyzn.

Roześmiał się i wrócił do wina. Na stole stały już naczynia, kieliszki i wazon z kwiatami. Mieszkanie, całe w półcieniach, wyglądało jak paleta impresjonisty, w której zajmowaliśmy niepozorne miejsce z boku. Postanowiłam, że nie będziemy rozmawiać o wieku, o rodzinie i o planach na przyszłość, bo w tej bajce nie było miejsca na prozę życia.

SOBOTA

Otworzyłam oczy z poczuciem, że ten poranek jest centralnym punktem mojego życia, że po latach będę mogła podzielić je na życie przed tym porankiem i życie po nim. Przeczuwałam również, że zarówno okres „przed”, jak i ten „po” okażą się przeraźliwie puste w porównaniu z tamtą chwilą.

Dzień już się ocknął, ale jeszcze nie wstał. Do sypialni wpadał chłodny wietrzyk i ledwo słyszalny pogłos radia włączonego u sąsiadów. Firanka podfruwiała zgodnie z niekontrolowanym rytmem wiatru, zasnuwając swoją mgiełką ciche miasto widoczne za oknem. Czy miasto poznałoby, jak się zmieniłam w ciągu tej nocy? Czy tego dnia pani w spożywczym zauważy, że jestem trochę inna, szczęśliwsza, spełniona, fizycznie zaspokojona, emocjonalnie bogatsza?

Adrian oddychał spokojnie, wciąż pogrążony we śnie. Obejmował mnie ramieniem, palce mieliśmy splecione, a jego oddech łaskotał mnie w kark. Nie chciałam go obudzić, więc bardzo ostrożnie odwróciłam głowę i zerknęłam na jego twarz. Usta ułożone w dziecięcy, całusny dzióbek wydawały się takie niewinne, a przecież dobrze pamiętałam, co wyprawiały nocą.

– Nie śpię – szepnął z zamkniętymi oczami. – Mam wrażenie, że to pierwszy dzień reszty mojego życia, więc nie zamierzam się spieszyć.

– Nie jesteś głodny? – zmieniłam temat. W nocy przyjemnie słuchało się wyznań. Z rozkoszą zachłystywałam się komplementami, którymi częstował prawie każdą część mojego ciała, ale słowa miłości szeptane w zapamiętaniu składałam na karb pochopnej, młodzieńczej wylewności. Nie żądałam ich, nie potrzebowałam i wołałabym nie słyszeć. Nie mogłam odpłacić tym samym, chociaż miłosne wyznania są puste, jeśli nie spotkają odzewu. „Kocham cię” bez echa jest smutne i wywołuje współczucie, a mimo wszystkich emocji, jakie Adrian we mnie budził, wiedziałam, że o miłości nie może być mowy. Mogłam się w nim

zakochać i zakochałam bez reszty, mogłam pożądać, podziwiać, cieszyć się jego obecnością, ale miłość to było uczucie dla dorosłych, coś, na czym buduje się wspólną przyszłość, a o jakiej przyszłości między nami mogła być mowa? Przyszłość naszą ograniczał dzień bieżący i dzień kolejny po nim – czas do powrotu Marty, koniec niedzieli we dwoje, koniec związku, koniec zakochania. W jakiejś chwili musiałam mu to powiedzieć, ale jeszcze nie wtedy.

– Warunkowo zgadzam się na śniadanie – mruknął, przytulając mnie mocno. Przypomniało mi się, że pod cienką kołdrą oboje jesteśmy nadzy.

– Warunkowo?

– Warunek jest taki, że zaraz po śniadaniu wracamy do łóżka.

Zaczekałam, aż wstanie pierwszy. W świetle poranka zupełnie nie pasował do fioletowo-różowej sypialni z poduszkami w kwiaty, ale kontrast przyjemnie pieścił oko.

– Hej! – Rzucił we mnie poduszką. – Perfidnie się gapisz!

– Nie gapię się! – Zakryłam twarz skrajem kołdry, ale gapiłam się dalej. Ciało miał piękne jak posąg Michała Anioła. A nawet jeśli nie aż tak piękne, to ja takim je widziałam. Umięśnione nogi, szerokie ramiona, klatka piersiowa pokryta meszkiem ciemnych włosów, mężczyzna z krwi i kości. Żywy, zdrowy, silny. W mojej sypialni!

– Pozwolisz, że wyskoczę do swojego auta? – spytał, wciągając spodnie. – Nie byłem pewny, czy nie wyrzucisz mnie za drzwi, jeśli nie spełnię oczekiwań, ale w przyływie optymizmu zabrałem szczoteczkę do zębów i ubranie na zmianę.

– Jesteś tu mile widziany – powiedziałam szczerze – do powrotu Marty. Nie chcę, żeby się dowiedziała, że coś nas łączy.

– Myślisz, że ona nic nie wie?

– Nie. Chyba nic nie mówiłeś? – przestraszyłam się.

– Nie. – Wzruszył jednym ramieniem. – Ale nie sądzisz, że lepiej powiedzieć wcześniej niż później? Ja w każdym razie nie zamierzam się z tym kryć.

– Z czym dokładnie, przepraszam? – zapytałam, wciąż z perspektywy łóżka. Rozmowa przybierała nieprzyjemny dla mnie wymiar poważnych deklaracji, a obnażona i zaspana, nie mając w zasięgu nawet szlafroka, nie czułam się komfortowo jako strona konfrontacji.

Uklęknął przy łóżku i przyjrzał mi się uważnie. Nie wytrzymałam spojrzenia i odwróciłam głowę zawstydzona.

– Dlaczego mam wrażenie, że jest was dwie? – powiedział dziwnym głosem.

– Dwie?

– Wtedy na ulicy byłaś niesamowita, taka rozwiana, płomienna, te twoje włosy na wietrze... Później byłaś taka na kanapie przed telewizorem i na moim podwórku z piłą motorową w ręku. A wtedy pod prysznicem byłaś nawet bardziej... Jak ogień. Kiedy taka jesteś, czuję, że jesteśmy sobie przeznaczeni.

Znasz to uczucie? Nie było w moim życiu kobiety, która tak idealnie pasowałaby do wszystkiego, co kocham. Ale czasem zamykasz gdzieś tamtą osobowość i jesteś chłodna, dyplomatyczna, sztuczna. Jakbyś sama sobie nie pozwalała na nic więcej. O co chodzi, Ewa? Co to za bariera?

Uratował mnie telefon. Zbierałam się w sobie, żeby powiedzieć mu o zbyt dużej różnicy wieku, zbyt dużej do udźwignięcia dla mnie, ale komórka rozdzwoniła się z taką nachalnością, że nie miałam wątpliwości, kto dzwoni.

– To Marta, odbiorę – wykręciłam się i ciągnąc za sobą całą kołdrę, pobiegłam do kuchni. Zbyłam jej pytanie o to, jak minęła mi noc, i pociągnęłam za język, żeby opowiedziała, co ona robi w tych górach, czy nie złamała nogi na szlaku, czy wilki jej nie napastowały, wszystkie szczegóły poranka łącznie z tym, jaką herbatę wypija do śniadania.

– A dzisiaj co robisz, mamó? – zapytała na zakończenie rozmowy.

– Śniadanie, obiad i kolację – odpowiedziałam, odkrywając, że działalność kulinarna zawsze jest wygodną wymówką. Raczej nikt nie spyta, na ile osób te posiłki.

– Aha, to baw się dobrze.

– Zamierzam – odpowiedziałam przekornie.

Minutę po Marcie zadzwonił Piotr. Zaniepokoiłam się, bo on nigdy nie dzwonił w dni wolne od pracy, w firmie byli ludzie, których pensja wystarczająco motywowała, by dobrze dbać o jej sprawy w weekendy.

– Co się stało? – spytałam, nie pozwalając mu się nawet przywitać.

– Nic – odparł. – Mam tylko do ciebie małą sprawę prywatną.

– Tak?

– Anna wyrzuca mi, że nie przedstawiłem jej nikogo ze swoich przyjaciół, a dobrze wiesz, jakich mam przyjaciół.

Wiedziałam. Kumple od kart i butelki w piątkowe wieczory, przypominający stado orangutanów. Każdy z osobna zapewne reprezentował jakieś wartości rodzinne lub zawodowe, ale w grupie byli mało ekspozycyjni.

– Pomyślałem, że może ty byś wpadła? Co, Ewa? Może na kolację do mnie?

Adrian wrócił do mieszkania z niedużą, sportową torbą i świeżym pieczywem w foliowej reklamówce. Odruchowo zasłoniłam słuchawkę dłonią.

– Nie mogę dzisiaj.

– Proszę cię, bardzo proszę, już jej obiecałem.

– To nie mogłeś zadzwonić przed obiecywaniem? Przecież mogłam mieć jakieś plany.

– Ty? – powiedział z takim zdziwieniem, że zrobiło mi się przykro. Naprawdę byłam taką nudziarą?

– Jak chcesz wiedzieć, to jestem z mężczyzną – powiedziałam tak głośno i dobitnie, że Adrian spojrzał z zaciekawieniem na imię wyświetlone na monitorku.

– I mamy bardzo atrakcyjne plany na wieczór.

– To z nim przyjdź – powiedział Piotr równie głośno, przez co jego głos był słyszalny także dla Adriana. – Może to nawet lepiej, bardziej towarzysko.

Adrian pokiwał głową z entuzjazmem, dając mi do zrozumienia, że chętnie ze mną wyjdzie. Ja niespecjalnie to widziałam, ale wytrącono mi broń z ręki.

– Dobrze – powiedziałam dyplomatycznie i spróbowałam wymyślić kompromis, kolacja u Piotra wydała mi się przesadnie zażyła. – Umówimy się na jakiegoś drinka, w Retro o osiemnastej?

– Dobra.

– W takim razie do zobaczenia.

Sędzia Anna wyglądała trochę jak sympatyczna nauczycielka nauczania początkowego. Miała na głowie burzę blond loków upiętych do góry kolorowymi spineczkami, a na nogach lakierowane buciki z czerwoną kokardką. Można by ją uznać za uroczą kokietkę, gdyby nie pewność siebie, która z niej emanowała, i przenikliwe spojrzenie dużych szarych oczu. Była w niej też jakaś królewska wyniosłość, która sprawiała, że nawet ja dygnęłam przed nią w ukłonie.

– Piotr zupełnie inaczej mi ciebie opisywał – powiedziała, całując mnie w oba policzki.

– Bo normalnie wygląda inaczej – wytłumaczył się Piotr, obrzucając mnie taksującym spojrzeniem.

Za namową Adriana założyłam dokładnie ten sam strój, co poprzedniego wieczora – wysokie szpilki i czarną sukienkę, która wydawała mi się za krótka i za obcisła, ale w jego oczach uchodziła za elegancką i seksowną. Od jakiegoś czasu niewiele jadłam, więc może faktycznie nie prezentowałam się w niej najgorzej.

– Wyglądam jak prostytutka – kręciłam nosem przed wyjściem.

– Bardzo wytworna i bardzo ponętna prostytutka – poprawił mnie ze śmiechem i wyciągnął z domu. Obciągałam spódnicę za każdym razem, gdy ktoś odwracał za nami głowę, pełna obaw, że prowokuję zgorzzone komentarze, ale Adrian trzymał mnie pewnie za rękę, gawędził swobodnie i kłaniał się uprzejmie oglądającym.

– Niech zazdroszczą – skomentował półgłosem.

Samochody zostały na parkingu przed blokiem, a my wyszliśmy godzinę wcześniej, żeby skorzystać z dobrodziejstw wiosennego popołudnia. Miasto co prawda oddychało spalinami, ale na każdym dzikim skwerku kwitły bujnie przeróżne odmiany chwastów i drzewostanu. Ulice opustoszały, bo kto mógł, wyjechał w kierunku lasu, jeziora lub innego skrawka natury, byle uszczknąć dla siebie trochę tej zieloności, świeżości i zapachu, które wydawały się otaczać miasto z każdej strony. Gawędziliśmy o tym, jakie rośliny Adrian zamierza posadzić na własnym podwórku, i raz po raz zaskakiwał mnie znajomością egzotycznych nazw

i technik ogrodniczych. Słuchałam z przyjemnością, rozważając, że jest typem człowieka, który jeżeli coś robi, to robi to z całym zaangażowaniem. Dom budował z dbałością o każdy szczegół, ogród planował z radosnym oczekiwaniem na pierwsze kwiaty, kochał się z entuzjazmem, dając mi znacznie więcej, niż zażądał w zamian. Był jak ten maj, w rozkwicie, w zachwycie, w pełni swoich sił, wszystko w jego życiu miało dopiero nadejść i czekał na to z dziecięcym optymizmem – jakie przeszkody dałyby mu radę?

– Adrian, człowiek z marzeniami, dla którego nic nie jest niemożliwe – wylewnie przedstawiłam go Annie i z odrobiną rozbawienia patrzyłam, jak wspięła się na place, żeby jego również pocałować w policzek.

– Jaki przystojny. – Mrugnęła do niego. – Prawdziwy Adonis.

Piotr przywitał się z Adrianem bez takiej wylewności, ale przynajmniej bez zgrzytania zębami. Widziałam, że stara się być miły, więc najwyraźniej postanowił na ten czas schować urazy do kieszeni. Odsunął wszystkim krzesła przy dużym stoliku ustawionym przy oknie i poprosił kelnerkę o menu. Annie przytrzymał torebkę, przestawił wazon zasłaniający jej widok, przekierował wiatrak rozwiewający jej fryzurę, bez specjalnej służalczości starał się zapewnić jej wygodę, co mnie bardzo ujęło za serce.

– Długo się znacie? – spytała nas Anna, kiedy złożyliśmy zamówienie. Wszyscy postanowiliśmy ochłodzić się zimnym piwem, a Anna poprosiła dodatkowo o kawę z bitą śmietaną, szarlotkę i jakieś przekąski. Najwyraźniej nie przejmowała się liczeniem kalorii.

Policzyłam w myśli dni od chwili, kiedy zobaczyłam go pierwszy raz, w Palmiarni, w dusznym otoczeniu tropikalnych roślin, w skórzanej kurtce, z włosami opadającymi na czoło. Szesnaście dni wystarczyło, żebym się zakochała, zwariowała i przerobiła z nim połowę kamasutry. Drugą połowę zostawiliśmy na pozostałą część weekendu.

– Wieki. – Adrian wyprzedził mnie z odpowiedzią.

– Tak naprawdę to dwa tygodnie – sprostowałam.

– Mój brat zakochał się w Marcie – dodał.

– Marta to moja córka – wyjaśniłam Annie, bo nie sądziłam, żeby Piotr wprowadzał ją we wszystkie szczegóły życia swoich znajomych.

– Urocze – stwierdziła z rozrzewnieniem. – Mieszka z tobą?

– Oczywiście, ma dopiero osiemnaście lat.

– Nie wiem, czy to takie oczywiste – uprzedziła mnie, oblizując z wargi resztę pianki od piwa. – Zanim się odwrócisz, już jej nie będzie. Moje dzieciaki zaczęły studia w Zielonej, a po pierwszym roku ani jeden, ani drugi nie chciał ze mną mieszkać, na studiach zrobili się nagle bardzo dorośli.

– Co studiują? – dopytałam, żeby podtrzymać rozmowę.

– Teraz już nic, kochana, dawno pokończyli i powyjeżdżali, teraz jakbym

sama nie wydzwaniwała z zaproszeniami, to widziałabym ich ze dwa razy do roku. Ale to ma też swoje dobre strony. – Wymownie spojrziała na Piotra. – Matki też muszą mieć trochę swobody.

Piotr był przy niej inny. Nie dlatego, że przybierał jakąś sztuczną pozę, przeciwnie, przy Annie był naturalny, uśmiechnięty, dopełniony. Jakby właściwa kobieta zajęła puste miejsce w jego osobowości i przez to nadała jej innego, kompletnego wymiaru. Nigdy nie uważałam Piotra za człowieka, który wymagałby dopełnienia, ale widząc ich razem, nie miałam wątpliwości, że zwyczajnie – trafiła kosa na kamień. Różnicę wieku między nimi skutecznie tuszowały dobre kosmetyki i energiczna osobowość Anny, a drobnych oznak starzenia w jej twarzy Piotr zdawał się nie zauważać. Sam zresztą miał włosy na skroni gęsto poprządkowane siwizną, a wokół oczu przy każdym uśmiechu pojawiała się gęsta pajęczynka drobnych zmarszczek. U takiego zadbanego mężczyzny jak on wyglądało to atrakcyjnie i przywodziło na myśl raczej bogactwo doświadczenia niż biedę starości, ale nie ulegało wątpliwości, że dawno przestał być nastolatkiem. Zerknęłam na Adriana, którego kruczoczarne kosmyki układały się miękko na kołnierzyku koszuli. Jemu na razie siwienie nie groziło.

– Między wami chyba też jest różnica wieku we właściwą stronę, co? – zażartowała w pewnej chwili Anna. Skończyła piwo i zabrała się za szarlotkę, mimochodem wspominając, że najlepszą dietą jest otaczanie się ludźmi młodymi duchem, bo tacy nie spędzają życia na jedzeniu i lenistwie.

– Co to znaczy we właściwą? – zainteresował się Adrian.

– To znaczy – pochyliła się do niego nad stołem – że kobieta w pewnym wieku nie powinna się zadawać z mężczyznami starszymi od siebie, jeśli nie chce poświęcić całej energii na smarowanie ich maścią rozgrzewającą i gotowanie papkowatej zupki. Jeśli różnica jest we właściwą stronę, to energię można spożytkować dużo lepiej – zaśmiała się głośno i figlarnie.

– Mógłbyś zamówić dla mnie też kawałek ciasta – poprosiłam Adriana, bo rozmowa stała się dla mnie niewygodna. Anna mogła sobie żartować, bo ona i Piotr byli w innej sytuacji, oboje dorośli, oboje po przejściach, kto mógłby mieć pretensje, że układają sobie życie wbrew stereotypom? Adrian ledwo skończył studia, Krystyna pewnie marzyła, że pozna miłą dziewczynę w swoim wieku i zmajstruje jej gromadkę czarnookich wnucząt, a ja podstępnie marnowałam jego czas na swoje seksualne fanaberie. Nikomu nie mogłabym powiedzieć w oczy, że ta różnica jest we właściwą stronę.

Adrian przeprosił i poszedł w kierunku baru, mijając w przejściu kilka wystrojonych, wypachnionych i hałaśliwych dziewcząt, które, jak się potem okazało, miały zarezerwowany stolik obok nas. Co najmniej połowa z nich obejrzała się za nim bezwstydnie, spoglądając na jego pośladki. Sama też zerknęłam, więc widząc ich frywolne uśmieszki, zgaśniłam się w duchu, że to wstyd i kobiecie

zwyczajnie nie przystoi.

– Ewa ma chyba jakieś kompleksy na punkcie swojej czterdziestki – wytłumaczył mnie Piotr, chociaż wcale o to nie prosiłam. Zamierzałam dyplomatycznie wybrnąć z kłopotliwego tematu, ale wystrojone dziewczyny dobiły do stolika obok i zaczęły się nam hałaśliwie przedstawiać. Kasia, Ola, Basia, Ania, Mila, Wera i ktoś tam jeszcze. Z góry przeprosiły za swoje głośne zachowanie, ale któraś z nich obchodziła tego dnia trzydzieste urodziny.

– Stara dupa ze mnie – zażartowała ta, którą posadziły na honorowym miejscu u szczytu stołu.

– Są starsze – odpowiedziała jej Anna rozochociona lekką atmosferą i zaraz potem zamówiła żubrówkę z sokiem jabłkowym.

Jubilatka zaproponowała, że postawi nam po drinku, bo dzisiaj nie zamierza nikomu żałować, i od tej pory wesóło, przetykana wybuchami śmiechu rozmowa toczyła się na dwa stoliki. Adrian, wróciwszy, przedstawił się i przestawił sobie krzesło, żeby nie siedzieć tyłem do nikogo. Rozparł się wygodnie i położył stopę na kolanie, anektując dla siebie całą przestrzeń pomiędzy stolikami, a ja instynktownie położyłam mu dłoń na udzie, żeby zaznaczyć, że te tereny łowieckie są już zajęte.

– Za seksowne trzydziestki!

– Za seksowne czterdziestki!

– Za seksowne pięćdziesiątki! – padały toasty.

– Za rozwydrzone dzieciaki, które zostały w domu!

– Za upierdliwych teściów, którzy wyprowadzili się do Poznania!

– Za kobiety, które nie boją się sięgać po to, czego pragną! – Adrian wygłosił toast, który spotkał się z ogólną aprobatą.

– Uważaj, żeby któraś nie sięgnęła po ciebie – ostrzegła go półgłosem Anna, bo dziewczyny flirtowały na całego. Nawet Piotr wydawał się być w swoim żywiole, dyskutując z nimi zawzięcie o klubach i dyskotekach okolicznych miast. Po męsku oceniał odsłonięte, zgrabne uda i głębokie dekolty, ale cały czas wracał czułym spojrzeniem do swojej sędzi Anny i nie potrafił ukryć faktu, że jej uda i jej dekolt wzbudzają w nim największe emocje.

– Nieważne, ile masz lat – powiedziała Anna do siostry jubilatki, która głośno ubolewała, że niedługo będzie musiała wydawać pół wypłaty na kremy przeciwzmarszczkowe. – Żyj tak, jakbyś cały czas miała osiemnaście. I uwierz mi, że przyjdzie taki dzień, że będziesz miała w głębokim poważaniu, co ktoś myśli o twoich zmarszczkach.

Poprosiłam Adriana, żeby przyniósł mi kolejnego drinka, i przestawiłam jego krzesło z powrotem do stolika. Miałam dość rozmów o starości z dziewczynami, które jeszcze nie urodziły pierwszego dziecka.

– Ewa – szepnęła do mnie Anna – nie gniewaj się, ale mam wrażenie, że faktycznie jesteś odrobinę przewrażliwiona w temacie swojej metryki.

- Tak? – zdziwiłam się. Nie swojej, ale Adriana, ale po co jej ta wiedza?
- Tak. Jaka dokładnie jest różnica między wami? – spytała głośniejszym głosem, bo Adrian wrócił do stolika, w przelocie cmokając mnie w odsłonięty kark.
- Dokładnie? – Zerknął na mnie pytająco.
- Dokładnie? – zastanowiłam się. W rzeczywistości nie zastanawiałam się, ile wynosi ta różnica, ale czy wypada powiedzieć o niej na głos.
- Jakież... – zaczął Adrian patrząc mi w oczy.
- Jakież – przerwałam mu – szesna... czternaście... dwanaście lat?
- Tak? – uśmiechnął się bardzo szeroko. – Tak młodo wyglądam?

Anna z Piotrem przyglądali nam się w milczeniu. Wzruszyłam tylko ramionami, w dzisiejszych czasach trudno ocenić, kto na ile wygląda, ale... Wymarzone studia, osiemnastoletni brat, mięśnie jak ze stali...

Adrian wyjął z kieszeni portfel i poszperał w przegródkach. Po chwili położył przede mną dwa blankietki ze zdjęciem – prawo jazdy i dowód osobisty. Spojrzałam zaskoczona, ogarniając wzrokiem głównie zdjęcia. Na obu miał dłuższe włosy.

- Sprawdź datę urodzenia – podpowiedział.
- Dwunasty lipca – przeczytałam.
- Tysiąc dziewięćset siedemdziesiąt dziewięć – dokończył. – Mam trzydzieści osiem lat, a ty myślałaś, że ile?

Oparłam łokcie o stół i zasłoniłam twarz rękami. Ogarnęło mnie tyle sprzecznych uczuć, że nie wiedziałam, czy się roześmiać, czy rozpłakać. Cały czas robiłam z siebie koncertową idiotkę tylko dlatego, że nie przyszło mi do głowy spytać go o datę urodzenia.

- Przecież dopiero skończyłaś studia – opamiętałam się.
- A nie przyszło ci do głowy, że istnieje coś takiego, jak studia podyplomowe, które można zaczynać i kończyć w dowolnym momencie swojego życia? Pierwsze studia skończyłem... nie wiem, trzynaście lat temu?

- A Mateusz? Ma dopiero osiemnaście lat.
- To sprawka rodziców, nie miałem z tym nic wspólnego.
- Ale twoje włosy... ubranie... – płątałam się. Próbowałam wytłumaczyć, że taki sprawny, ładny, energiczny młody człowiek nie mógł skojarzyć mi się z moją czterdziestką na karku, nie pasował!

– A twoje włosy i ubranie? – wtrąciła się Anna. – Co się czepiasz chłopaka, przecież ty też świetnie wyglądasz.

– O matko i córko! – jęknęłam, ponownie chowając twarz w dłoniach. – To ja się tu szarpię z moralnym dylematem, a ty masz trzydzieści osiem lat?

– Mówiłem ci, że dylematy moralne niepotrzebnie tak się rozdmuchuje – przypomniał mi ze śmiechem.

– Zaraz! – Piotr osuszył kolejną szklaneczkę i pomachał do kelnerki. – To ty

myślałaś, że on jest dopiero po studiach i mimo to dałaś się zaciągnąć do łóżka?

– A skąd! – Adrian nie dał mi odpowiedzieć. – To ona mnie zaciągnęła, na kanapę, bardzo podstępnie. I nie pozwoliła mi się odzywać!

– Podpada pod molestowanie – stwierdziła rzeczowo Anna. – Obiecywała ci w zamian jakieś korzyści?

– Nic a nic – westchnął Adrian. – Sam musiałem odebrać, co moje.

– O! – parsknął Piotr. – Domyślam się, że stratny nie byłeś.

Zaczerwieniłam się po czubek nosa i rzuciłam mu za to mordercze spojrzenie, ale wcale się nie przejął.

– Nie spodziewałem się tego po tobie, Ewa. – Pomachał mi palcem wskazującym przed nosem. – Cicha woda...

– Nie przesadzaj – odparowałam. – Ty też... – Miałam mu wytknąć seks na biurowej kanapie, ale w porę ugryzłam się w język. Niektóre rzeczy lepiej omawiać w cztery oczy.

– A niby kiedy miałem się ożenić, rozwieść, zbudować dom? – zwrócił się do mnie Adrian. – Widziałaś kiedyś studenta budującego dom na wsi?

– Myślałam, że rodzice dali ci pieniądze, nie chciałam pytać, bo finanse to nie jest temat na początek znajomości.

– Finanse nie są, seks jest – wtrąciła Anna, wychyliwszy swoją żubrówkę. – Na początek, na środek i na koniec.

– A małżeństwo... – ciągnęłam dialog w cztery oczy pomimo komentarzy. – Czy ja wiem... Skoro było takie krótkie, założyłam, że to historia na jedne wakacje.

– Dobrze. – Adrian ujął czule moje dłonie i przygryzł wargę, chyba po to, żeby zgasić wyraz rozbawienia na swojej twarzy. – Pozwolisz, że zaczniemy jeszcze raz od początku?

– Pozwolicie? – zapytał jeszcze Annę i Piotra, którzy pochyleni nad stolikiem przypatrywali się nam jak meksykańskiej telenoweli.

– Oczywiście – przytaknęli gorliwie.

– Nazwisko i datę urodzenia znasz – zaczął. – Rodzinę i adres też. Uczyłem się w Gubinie, a potem zacząłem studia w Zielonej, budownictwo. Kiedy byłem na drugim albo trzecim roku, urodził się Mateusz, dlatego nie jestem dla niego takim całkiem bratem, bardziej opiekunem i trochę przyjacielem, dlatego to mnie pierwszemu powiedział o Marcie. Po studiach ożeniłem się i wyjechałem z żoną podbijać świat, ale skończyło się na Hiszpanii, bo jej to podbijanie zupełnie uderzyło do głowy, a ja wolałem jednak ciasny, ale własny dom w kraju. Kilka lat pracowałem jako robotnik budowlany, a potem założyłem własną firmę i zacząłem zarabiać tyle, że dom wreszcie nabrał konkretnych kształtów. W międzyczasie postanowiłem iść z duchem czasu i zrobiłem podyplomówkę w Poznaniu – budownictwo energooszczędne i pasywne oraz ocena energetyczna budynków.

– Brzmi super – weszła mu w słowo Anna.

– Wymarzone studia – domyśliłam się. To o tym mówił wtedy w samochodzie, kiedy na ulicę wyszedł facet z gołym interesem. Może gdyby nie ten gość i jego wymięte genitalia, już wtedy dowiedziałabym się wszystkiego we właściwej kolejności.

– No nie wiem, co jeszcze chciałabyś wiedzieć? – spytał.

Na razie nic nie przychodziło mi do głowy. Zapytałabym, czy uważa mnie za całkowitą, beznadziejną idiotkę, ale bałam się, że może odpowiedzieć twierdząco.

– Grasz na gitarze? – wyręczyła mnie Anna.

– Nie.

– I dobrze. Facet nie powinien być zbyt doskonały.

Pożegnaliśmy się koło dwudziestej.

– Wieczór jeszcze młody – przekonywała nas Anna, ale może właśnie dlatego nam obojgu spieszyło się do domu. Może właśnie nie chcieliśmy, żeby zrobiło się zbyt późno, by poświęcić sobie odpowiednią ilość czasu.

Słońce schowało się już za horyzontem dachów, zostawiając na niebie tylko smugę czerwonych promieni oświetlających odcinającą się mocno od szarości zmierzchu granatową chmurę nad miastem. W oddali słyszeliśmy odgłos zbliżającej się burzy.

– Weźmiemy taksówkę? – Adrian pociągnął mnie w stronę postoju, ale wolałam się trochę przejść. Lubiłam wypić wieczorem kieliszek wina i alkohol niespecjalnie zwałął mnie z nóg, ale kilka szybkich drinków przegryzionych szarlotką sprawiło, że na wysokich szpilkach czułam się odrobinę niepewnie. Adrian objął mnie mocno w talii i spacerowym krokiem poszliśmy chodnikiem ciągnącym się wzdłuż torów kolejowych.

– Muszę cię o coś zapytać – powiedział.

– Yhym – mruknęłam rozanielona, było mi przyjemnie i błogo jak nigdy wcześniej. Nawet chłodne powiewy wiatru na ramionach przypominały mi, że tuż obok jest mężczyzna, który będzie potrafił skutecznie mnie ogrzać.

– Kiedy planowałaś, że mnie uwiedziesz, to chciałaś to zrobić pomimo tego, że wydawałem ci się taki młody, czy może właśnie dlatego?

– Nie planowałam tego – oburzyłam się, nie wiedząc do końca, czy pyta serio, czy żartuje – nie jestem... taka!

– Jaka? – roześmiał się.

– Taka... przebiegła. Nie uwiodłabym cię z premedytacją. Właściwie to ciągle miałam wyrzuty sumienia, że zawracam ci głowę, kiedy powinieneś realizować swoje marzenia.

– O, z tobą zrealizowałem co najmniej dwa. – Wymownie ścisnął mój pośladek.

– Nie mam na myśli takich marzeń – zbeształam go, chociaż to wyznanie sprawiło mi przyjemność. – Z natury jestem bardzo konserwatywna, uważam, że związek powinien zaczynać się od nieśmiałych zalotów, zakochania, wspólnych planów, deklaracji. Seks to zwieńczenie uczuć, a nie ich początek.

– Zapomniałaś o małżeństwie – podpowiedział, ale nie zapomniałam. Małżeństwo to sprawa dorosłych, a ja nie zdążyłam jeszcze zakwalifikować Adriana do grona dorosłych. – Nie myślałaś o tym?

– Nie – odparłam szczerze, liczba promili we krwi skutecznie ułatwiła mi szczerłość. – W ogóle mało myślę, odkąd cię poznałam.

– A ja przeciwnie – wyznał.

Burzowa chmura pociemniała i potężna błyskawica przecięła niebo nad naszymi głowami. Wtuliłam się mocniej w jego ramiona.

– Któregoś dnia – mówił – wszedłem do swojej pustej sypialni i popatrzyłem na białe ściany. Pomyślałem, że najwyższy czas wybrać kolor farby, zamówić meble, obrazy, poduszki, doniczki i takie rzeczy. Kobiety mają naturalny instynkt do kolorów, a ja stałem ze wzornikiem w rękę i po prostu zgłupiałem. Pierwszy raz poczułem się niekompetentny na budowie.

– I co? – Pociągnęłam go pod najbliższe drzewo, bo z nieba zaczęły spadać grube, ciężkie krople ciepłego deszczu. Właściwie nie było to nawet drzewo, tylko wybijały krzew z jednym grubszym pniem pośrodku, o który oparłam się plecami. Wokół mnie szeleściły kłujące zielone gałązki pokryte drobnym kwieciem.

– I zdałem sobie sprawę, że prawdziwego domu nie buduje się w pojedynkę.

– Można zatrudnić dekoratorkę – szepnęłam, przysuwając się bliżej i zbliżając usta do ust.

– To nie to samo. Poza tym z dekoratorką nie da się zamieszkać, a bardzo nie chciałem wprowadzać się tam sam.

– I co zrobiłeś?

– Nic. – Pocałował mnie.

– Nic?

– Nie musiałem nic robić, bo sama wpadłaś mi na maskę. Żywa odpowiedź na modlitwy. Od razu poznałem, że to ty, bo kolor twojego płaszcza idealnie pasował mi do przedpokoju, włosów do kuchni, a barwa bluzki do salonu.

– Dobrze, że nie pokazałam ci majtek – napomknęłam między pieszczotami.

– Gotowys uszyć z nich zasłony.

Deszcz zgęstniał i zrobiło się chłodno. Pociemniało od burzy i zmierzchu. Z gałązek nad głową zaczęły na nas spadać kropelki skupione w ciężkie, mokre pociski, które wydawały się topić na rozgrzanych ramionach. Wąska strużka deszczówki sphywała mi za dekolt, łaskocząc skórę aż do momentu, kiedy wsiąkała w tkaninę sukienki, przylepiając ją do ciała.

– Ja też jestem konserwatywny – szeptał, choć przeczyło temu wszystko, co robił. Lewą ręką przytrzymał mnie mocno za plecy, a prawą szukał ciepłych, suchych miejsc pod sukienką. Przymykałam oczy, ulegając tej pokusie, choć starałam się pamiętać uporczywie, że jesteśmy w miejscu publicznym. – Też uważam, że związek powinien zaczynać się od nieśmiałych zalotów... – pocałował mnie w rękę – ...zakochania... – pocałował w usta – ...wspólnych planów... Co było dalej?

– Deklaracji? – odpowiedziałam.

– Właśnie. – Przyklęknął na jedno kolano i skrzywił się, trafiając na ostry żwir wysypany przy chodniku. – Czy zależy ci, żeby deklaracje miały jakąś szczególnie uroczystą formę?

– Nie – roześmiałam się, widząc go klęczącego w deszczu na błotnistym żwirze, po twarzy spływała mu brudna deszczówka ściekająca ze zwisających nad nami gałęzi. Jakies przejeżdżające obok auto zwolniło i ciekawskie twarze przyjrzały się przez szybę naszym przemoczonym sylwetkom.

– W takim razie w obecności tej tutaj tawuły i tej tam jarzębiny nieszczególnie uroczysto proszę cię o rękę.

– Wariat – krzyknęłam, ale nie wiem, czy słyszał, bo potężny piorun gruchnął ponad sąsiednimi dachami. Jakiś zabłąkany w deszczu taksówkarz wracał na postój przy dworcu, więc wybiegłam na skraj chodnika i pociągnęłam Adriana ze sobą.

Taksówkarz niechętnym wzrokiem zmierzył nasze ociekające wodą ubrania i kazał mi szybko rozłożyć na tylnej kanapie koc znajdujący się na półce z tyłu.

– Ściągnij pan tę kurtkę, bo się leje na tapicerkę – powiedział do Adriana, kiedy wgramoliliśmy się do suchego wnętrza. Kiedy podałam adres, rzucił na nas okiem za pośrednictwem wstecznego lusterka. – Pogoda – powiedział – jak to mówią, barowa.

Adrian zrzucił kurtkę na gumowy podnóżek i rozpiął guziki koszuli. Odgarnął mi z twarzy mokre włosy i starannie opatulił własnym ubraniem.

– Nie zmarzłaś? – spytał czule, chociaż to on został w samych spodniach.

Taksówkarz uczynnie zwiększył temperaturę i moc nawiewu, ale pod wpływem nagłego podmuchu oboje skurczyliśmy się z zimna. W naturalnym odruchu objęłam Adriana ramionami, a moje usta same trafiły do jego ust. Pociągnął mnie sobie na kolana i szukał ciepła, nie zważając na miejsce ani towarzystwo.

– Przestań – jęknęłam.

– Nie szkodzi, proszę pani – powiedział rubasznie taksówkarz. – Nie takie rzeczy się widziało.

Powroty do domu zaraz po tym, jak się porządnie zmokło i porządnie

zmarzło, zawsze uważałam za najprzyjemniejsze chwile w życiu. Człowiek docenia fakt, że ma kawałek dachu nad głową, a gorąca herbata nigdy nie smakuje tak dobrze. Powrót do domu w towarzystwie półnagiego, ociekającego wodą mężczyzny uznałam za spełnienie dotąd niesprecyzowanego marzenia o domowym ognisku buchającym ogniem żarliwej, wilgotnej namiętności.

Już w progu zrzuciliśmy z siebie przemoczone ubrania i buty i wskoczyliśmy pod mój szary koc, czekający jak zwykle na kanapie i złożony w regularny sześcian. Pstryknęłam włączniki nocnych lampek ustawionych za kanapą i salon zalał się przyjemnym, ciepłym, pomarańczowym światłem. Twarz Adriana błyszczała zmoczona deszczem, a włosy przylepiały mu się do czoła, ale był pogodny i uśmiechnięty, a w oczach błyskały mu figlarne iskierki niegrzecznych myśli.

– Chodź, malutka – zamruczał zabawnie, okrywając mnie kocem po czubek głowy. Chociaż spędziliśmy w łóżku pierwszą połowę dnia, moje ciało znów żywiołowo zareagowało na jego dotyk, chłód zmarzniętej skóry błyskawicznie zamieniał się w żarliwe pulsowanie, a serce tłoczyło do mózgu krew nasyconą endorfinami. Nigdy w życiu nie byłam taka szczęśliwa i nigdy nie było mi tak dobrze na własnej kanapie.

– Adi – szepnęłam pieszczotliwie – tak się cieszę, że jesteś dorosły.

– I bardzo dobrze! – Na jego twarzy znów pojawił się charakterystyczny wyraz rozbawienia. – Bałem się, że stracisz zainteresowanie w momencie, kiedy moja dorosłość pozbawi mnie uroku chłopaczka do zdeprawowania.

– Nigdy nie byłeś dla mnie chłopaczkiem do zdeprawowania – mówiłam przerywanie między pocałunkami i śmiało sięgnęłam do części jego ciała, które dobitnie świadczyły o pełnej dojrzałości. – Myślałam co prawda, że jesteś bardzo młody... i bardzo młodo wyglądający... i bardzo młodzieńczo sprawny fizycznie...

– Zaczęłam odrobinę tracić wątek, bo z zapalem mi tę sprawność udowadniał. – Ale musiałam jakoś przeczuwać, że jednak jesteś dorosłym mężczyzną. Tylko przy prawdziwym mężczyźnie kobieta zachowuje się tak...

– Bezwstydnie? – podpowiedział.

– Raczej impulsywnie i... nadpobudliwie.

– Intensywnie i nienasycenie – dodał.

– Niecierpliwie i niepoprawnie – jęczałam, spychając go z kanapy, żeby uklęknął przede mną. Dla podkreślenia wymowy wbiłam mu paznokcie w skórę na piersi, a nogami przyciągnęłam do siebie.

– Kusząco i lubieżnie – zamruczał, po czym pociągnął mnie w stronę swoich męskich atrybutów, bardzo mocno trzymając za pośladki. Wygięłam się do tyłu pod wpływem tej nieoczekiwanej ekspresji pożądania.

– Pożądliwie i z nadmiernym entuzjazmem – zganiłam go, kiedy przebrzmiało echo moich własnych niepohamowanych jęków.

– Staram się. – Puścił do mnie oczko. Znowu miał łobuzerski uśmiech przylepiony do zaczerwienionych od pocałunków warg. Może powinna irytować mnie ta jego wieczna nonszalancja, ale dzięki temu, że przez cały czas był jakby nie do końca serio, nie przejmowałam się tym, że kanapa skrzypi, że mam rozmazany makijaż, ani że moje ciało nie jest do końca doskonałe nawet w dyskretnym świetle nocnych lampek. Chociaż nienawykła do prezentowania swoich wdzięków, przy nim nawet obnażona do ostatniej nitki czułam się swobodnie i naturalnie.

– Pozwól mi też się trochę postarać. – Wysunęłam się z objęć i pchnęłam go do tyłu na niską ławę. Chociaż była solidnie wykonana, z grubymi, masywnymi nogami, to i tak zaskrzypiała niebezpiecznie pod jego ciężarem.

– Uważaj na sprzęt – ostrzegł mnie i znowu puścił oko, dając mi do zrozumienia, że ostrzeżenie ma dwuznaczny wymiar. Uważałam tylko przez chwilę. Ława jęczała spazmatycznie, a dywan pod nią wałkował się w nieregularne fale, stojak przewrócił się z hałasem, a płyty znowu się rozsypały.

Leżąc potem na własnym stole w salonie jak goły deser podany po obfitym obiedzie, doszłam do wniosku, że pod wpływem Adriana faktycznie mało myślę, ale za to naprawdę sporo robię.

Adrian poszedł pod prysznic, a ja poleżałam jeszcze chwilę, postękałam na twardej desce i w końcu podniosłam się z ociąganiem. Z jednej strony byłam wykończona i senna, z drugiej za nic nie chciałam tak szybko kończyć dnia, który jak na razie był lepszy niż *all inclusive* pobyt w spa. Fitness, masaż i relaks miałam podane w najprzyjemniejszej z możliwych form.

Zarzuciłam na siebie cienką koszulę i poczłapałam do lodówki w poszukiwaniu czegoś do jedzenia, bo do swojego *all inclusive* bynajmniej nie potrzebowałam diety, liczba spalonych tego dnia kalorii z pewnością napawałaby dumą niejednego kulturystę, więc żołądek gwałtownie domagał się czegoś smacznego, niekoniecznie zdrowego, może nawet tłustego jak majonez albo smażonego jak soczysty schabowy... Ale lodówka świeciła żenującą pustką. Wszystko, co nadawało się do jedzenia, zjedliśmy na śniadanie i obiad. Adrian pomagał mi w gotowaniu, co w praktyce wyglądało tak, że ja siedziałam przy stole, popijając sok pomarańczowy, a on krzątał się wokół kuchenki. To, że potrafił gotować, zaliczyłam mu jako kolejny plus w całym szeregu pozytywnych ocen.

– Trzeba sobie jakoś radzić – powiedział, kiedy wychwalałam jego zapiekankę z kurczakiem.

Ja radziłam sobie najlepiej, zamawiając jedzenie przez telefon.

– Zamówimy coś do jedzenia? – krzyknęłam w stronę łazienki, bo zostawił otwarte drzwi.

– Nie. – Wyszedł owinięty w biodrach w niewielki ręcznik, ale zaraz go zdjął

i rozwiesił starannie na oparciu krzesła.

Prześlizgnęłam wzrokiem po jego ciele. Chociaż z własną nagością radziłam sobie nie najgorzej, to jego nagość wciąż odrobinę mnie peszyła, szczególnie że oczy zmierzały zawsze w kierunku miejsc intymnych, a on zawsze je na tym przyłapywał.

– Znowu – powiedział tonem ostrzeżenia.

Oderwałam od niego lubieżny wzrok i schowałam wstyd głęboko do kieszeni.

– Wybacz – odparłam lekko – nie przywykłam do takich widoków w swoim mieszkaniu. – W ogóle nie przywykłam do takich widoków – dodałam ciszej sama do siebie.

– O, domyśliłem się od razu.

– Tak? Po czym?

– Po tym, jak się zachowujesz w łóżku – mrugnął. – Jakbyś co najmniej dziesięć lat siedziała w więzieniu o zastrzonym rygorze.

Roześmiałam się szczerze. Nigdy nie podejrzewałam siebie o taką zapalczywą namiętność, jaka szalała we mnie w ostatnich tygodniach, ale na pewno nie była to tylko moja zasługa. Z tego, co pamiętałam jeszcze ze swojego dawno pochowanego pożycia małżeńskiego, Marek miał dla mnie raczej pretensje niż pochwały. Jednocześnie zastanowiło mnie, czy powinnam zapytać Adriana o sumę doświadczeń w tym zakresie. Mówił z pewną siebie miną znawcy, więc zapewne miał mnie z kim porównać, ale po krótkiej znajomości nie czułam się upoważniona do wyciągania od niego erotycznych zwierzeń. Być może powstrzymywała mnie przed tym również obawa o to, co mógłby odpowiedzieć. Przy jego pięknym ciele i cudownym uśmiechu na pewno nie narzekał na brak powodzenia u kobiet, z pewnością też wiele z nich było dużo młodszych i dużo ładniejszych ode mnie – kto wie, czy na słonecznych hiszpańskich plażach nie uwodził nawet modelek o nieskazitelnych, oliwkowych ciałach... Szarpnęło mnie coś, czego nie czułam co najmniej przez ostatnią dekadę życia, coś nieprzyjemnego w swojej podejrzliwej i nieufnej wymowie, coś dławiącego w gardle i wywołującego złe emocje – zazdrość.

– Tak? – mruknęłam zjadliwiej, niż powinnam. – Taki z ciebie fachowiec?

Jego gromki śmiech odbił się od cichych ścian mieszkania.

– A z ciebie taka zazdrośnica?

Znowu mnie szarpnęło, tym razem zazdrość pomieszana z gniewem. Zdaje się, że moja namiętność obudziła się w pakiecie razem ze wszystkimi swoimi mrocznymi obliczami.

– Być może. – Odwróciłam się i zaczęłam szukać w lodówce czegoś, czego z pewnością tam nie było.

– Mimo licznych podejrzeń, domysłów i spekulacji, nigdy nie miałem

specjalnie bogatego życia erotycznego. – Odsunął mnie od lodówki. – Zawsze przedkładałem miłość nad seks, a nie co dzień spotyka się kobiety, które można tak po prostu pokochać.

– Nie kocha się tak po prostu – burknęłam, wciąż jakby jeszcze obrażona na niego za własne domysły.

– Wręcz przeciwnie – powiedział, wyjmując z zamrażalnika skostniałe filety rybne. – Miłość to najprostsza rzecz na świecie. Kochasz i już. Masz brązowy ryż?

Poszperałam w szafkach i wyciągnęłam odpowiednie pudełko.

– Kukurydzą w puszcze?

Poszperałam głębiej i znalazłam kukurydzą. Adrian w tym czasie odmroził ryby w mikrofalówce i mył pod bieżącą wodą liście kapusty pekińskiej.

– Weź prysznic i poszukaj czegoś w telewizji – zarządził. – Obejrzymy sobie film.

Filozoficzna rozmowa o miłości nie wytrzymała kulinarnej konkurencji, ale postanowiłam wrócić do niej zaraz po kolacji. Co to znaczy, że można tak po prostu pokochać? Mnie?

Dokładnie w trzydzieści minut później kolacja w postaci smażonej ryby z brązowym ryżem i surówką oraz białym winem w kryształowych kieliszkach stała na stole w salonie. Pojedyncza świeczka ustawiona na środku skrzyła dookoła refleksami ognia odbitego w kryształach. Wyszłam z łazienki od nowa uczesana i umalowana, a widząc, że Adrian tak się postarał, czmychnęłam do sypialni założyć coś bardziej eleganckiego niż szlafrok.

– Dla mnie nie musisz się ubierać. – Usłyszałam, stojąc z głową w szafie.

Adrian opierał się nonszalancko o framugę drzwi i wycierał ręce w ściereczkę. Sam był tylko w spodniach.

– Coś tam na siebie włożę – powiedziałam lekkim tonem, jednocześnie gorączkowo przewracając ubrania. Naturalnie nie miałam w szafie nic odpowiedniego na domową kolację przy świecach. Adrian stanął za mną i patrzył, jak przekładałam pojedyncze sztuki garderoby z półki na półkę.

– To jest ładne – powiedział i pociągnął za satynowy sznureczek.

– To koszula nocna – odparłam.

– Przecież już prawie noc. – Mrugnął do mnie i rozłożył koszulę, patrząc na nią z aprobatą. Była czarna, dość krótka, przy dekolcie wykończona koronką. Dostałam ją na czterdzieste urodziny, całkiem niedawno, ale jakby całe wieki temu, kilka godzin przed tym, jak go poznałam, i przed tym, jak odwrócił bieg moich zegarów biologicznych. W tamtym dniu wydawało mi się, że taki prezent to wyrzucone pieniądze, bo niby komu miałabym się pokazać w takiej koszulce? Marcie? Nawet gdybym próbowała wyobrazić sobie mężczyznę w swojej sypialni, nie posunęłabym się tak dalece w optymizmie, by fantazjować o takim seksownym,

czarnookim facecie, który właśnie odpinał metkę od koronki.

Rozwiązał mi szlafrok, założył koszulkę przez głowę i rękami wygładził delikatną satynę od piersi aż po kolana. W lustrze na drzwiach szafy mogłam obserwować, jak miękko materiał ulega jego dłoniom.

– Pięknie ci w czerni – szepnął, patrząc mi w oczy za pośrednictwem lustra, a ja pomyślałam, że faktycznie. Szczególnie w czerni jego oczu.

– Chodź jeść! – Wyciągnęłam go z sypialni, bo nadmierne patrzenie mu w oczy mogło wywołać co najwyżej większy głód, i z zapalem zabrałam się za kolację, zaczynając od surówki. Musieliśmy jeść, siedząc na dywanie, bo salon nie był przystosowany do spożywania w nim posiłków.

– Pyszna – pochwaliłam. – Kto cię nauczył gotować?

– Głód – odpowiedział i podsunął mi kieliszek z winem. – Od rozwodu praktycznie mieszkam sam, gdybym nie nauczył się gotować, musiałbym jeść codziennie parówki ze słoika, sztandarowe danie Polaków w Niemczech, a uwierz mi, że nie da się długo na tym pociągnąć.

– Myślałam, że mieszkasz z rodzicami.

– Raczej pomieszkuję. Zrobiłem sobie dwa miesiące wolnego ze względu na tatę i na dom, ale głównie tułam się po jakichś wynajętych mieszkaniach w Niemczech.

– Sam? – spytałam, mając na myśli głównie to, czy nie pomieszkują z nim jakieś atrakcyjne cudzoziemki. Tak niewiele o nim wiedziałam. Właściwie nic.

– Mam współnika i dwóch chłopaków do pomocy – odparł – ale wszyscy trzej nie mają pojęcia o gotowaniu, więc ich też muszę karmić.

Uśmiechnęłam się pojednawczo i skupiłam na jedzeniu, ale zaraz zdałam sobie sprawę, że praca za granicą to nie jest dobry grunt dla budowania normalnego związku, w końcu już to przerabiałam.

– Nie chcesz w końcu osiąść gdzieś na stałe?

– Chcę. – Spojrzał na mnie rzewnie. – Po to buduję dom. Chcę mieć dokąd wracać wieczorem po pracy, mieć żonę, ogródek i psa.

– Najłatwiej będzie z psem – zażartowałam – pełno ich wałęsa się po mieście.

– Przynajmniej nie pchają się pod koła samochodu – odparł przekornie. – Nie to, co niektóre kobiety. A przy okazji mogłabyś powtórzyć odpowiedź na moje pytanie?

– Które? – Spojrzałam na niego znad kieliszka.

– To, czy za mnie wyjdiesz. – Spojrzał na mnie również. Zupełnie poważnie, prosto w oczy.

Zakłopotalam się i odstawiłam wino, rozejrzałam się w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby odwrócić uwagę, ale niczego takiego nie było w zasięgu wzroku, zapomnieliśmy nawet włączyć telewizor.

– Myślałam, że żartujesz – wymamrotałam w końcu. Bo czy można traktować poważnie oświadczyzny po dwóch tygodniach znajomości, w dodatku przy drodze, w deszczu, zagłuszone grzmotami i szumem ulewy?

– Nie żartuję – powiedział, przysuwając się do mnie na dywanie. – Przepraszam, że nie mam pierścionka, ale aż do dzisiaj hamował mnie twój dziwaczny dystans. Nie wiedziałem, że bierzesz mnie za dzieciaka. Teraz chyba traktujesz mnie serio?

– Bardzo – wyznałam tak gorąco, jakby pytał, czy chcę, żeby mnie pocałował, bo jego bliskość i naga skóra tuż przy mojej skutecznie to pragnienie podsycali.

– Więc?

– Więc co? – Musiałam się odrobinę odsunąć, żeby znów zacząć rozsądnie myśleć.

– Jak brzmi odpowiedź?

– Nie uważasz, że powinieneś dać mi trochę czasu na zastanowienie? – lawirowałam. – Takich decyzji nie podejmuje się z dnia na dzień.

– Nie – odparł kategorycznie. – Ale to nie jest TAKA decyzja. To nie jest wybór operatora sieci komórkowej albo dostawcy prądu. To poryw serca, wyznanie. Jeśli kochasz, to chcesz wszystkiego, od razu, bez wahania, bez zastanawiania. Jeśli nie kochasz, to nie ma się nad czym zastanawiać.

Chciałam opuścić głowę i westchnąć sobie w duszy, że to wcale nie takie proste, że ledwo się znamy, mieszkamy daleko, ja mam prawie dorosłe dziecko, on pracuje za granicą..., ale przytrzymał mnie za brodę i przejmująco przewiercał wzrokiem.

– Ewunia, kochanie – szepnął – nie myśl: albo tak, albo nie.

– Tak – uległam. – Tak, tak, tak!

Chciałam wszystkiego od razu, bez wahania, bez zastanawiania. Chciałam zmienić życie, które umarło, nie wiedząc nawet, że umiera.

– Wiedziałem – uśmiechnął się triumfująco i od razu przestał być taki poważny i skupiony.

– Nie bądź taki pewny swego – mruknęłam. – Pamiętaj, że działałam pod presją, sędzia Anna na pewno by przyznała, że mam dzisiaj ograniczoną poczytalność.

– Mnie twoja ograniczona poczytalność w ogóle nie przeszkadza. – Adrian wrócił do swojego talerza. – Wręcz przeciwnie, od początku najbardziej mi się podobasz w tych momentach, kiedy działasz pod wpływem emocji.

– Oj, obyś nigdy nie musiał poznać tych złych – ostrzegłam.

NIEDZIELA

Wysunęłam się z łóżka cichutko, żeby zamknąć okno w sypialni. Roleta tłukła o ramę, bo wieczorem znowu zapomniałam ją odpowiednio zamocować. Dzień dawno wstał, ale położyliśmy się późno w nocy, więc wcale nie zamierzałam jeszcze opuszczać ciepłego miejsca u boku Adriana, który pochrapywał, nakryty po uszy moją kołdrą w czerwone maki.

Z bloku naprzeciwko wyszła grupka wystrojonych osób, asystując dziewczynce ubranej w piękną białą sukienkę, wianek i pelerynkę. W lewej ręczce trzymała białą świecę, a prawą dystyngowanie unosiła brzeg sukienki, żeby nie przydepnąć go bucikiem. Głowę trzymała wysoko, świadoma tego, że uwaga całej rodziny skupia się wyłącznie na niej. Wciąż poprawiano jej loczki albo fałdy sukienki, a ona rozdawała uśmiechy i pozowała do zdjęć jak, trochę już znudzona pracą, fotomodelka.

Gdzieś na dnie jednej z szaf miałam swoje zdjęcia w białej sukni, ale nigdy nie sięgałam do nich z tęsknotą ani specjalnym rozrzewnieniem. Nie było mi ładnie w bieli ani tym bardziej w wysoko upiętym koku z drobnych loczków, który wycesała mi do ślubu siostra Marka. Pod suknią miałam coś niebieskiego, na sukni coś pożyczonego, dopełniono wszystkich ślubnych wróżb i zabobonów, a i tak małżeństwo nie trwało nawet pięciu lat. Nie z naszej winy co prawda, ale kto wie, czy potrwałoby dłużej, nawet gdyby Marek nie zginął w wypadku. Może pobylibyśmy jeszcze kilka lat w związku formalnym, papierowo-telefonicznym, zachowując wobec siebie uprzejmy szacunek i stosowne ciepłe uczucia, ale pewnie

w końcu znudziłoby się nam udawanie, że małżeństwo na odległość zapewnia nam obojgu dość miłości i bezpieczeństwa, by ciągnąć je dalej korespondencyjnie. Może w końcu sama doszłabym do wniosku, że nasze pożycie odbiega od powieściowych romansów, a sporadyczny seks bardziej przypomina zaspokajanie fizjologicznych potrzeb niż okazywanie sobie miłości.

Myśląc o tym w ten sposób, zdałam sobie sprawę, że gdyby nie Adrian, być może nigdy nie poznałabym smaku prawdziwego zapomnienia, oddania i fizycznej fascynacji. Czytałabym dalej o miłosnej ekstazie, nie wiedząc, do czego ją przyłatać, albo spędzała wieczory w towarzystwie telewizora, nie potrafiąc wczuć się w emocje odgrywane przez aktorów.

– O czym myślisz? – zagadnął mnie Adrian. Usiadł na łóżku i oparł się plecami o ramę.

– O tobie.

– Myślisz o mnie z taką smutną miną? – Wstał i objął mnie z tyłu, bo wciąż spoglądałam na dziewczynkę w białej sukience kroczącej powolnym krokiem wzdłuż sąsiedniego bloku.

– Myślę o tym, jakie puste było moje życie, zanim cię poznałam.

– O, teraz postaramy się jakoś je wypełnić! – Wyjrzał przez okno i też odprowadzał wzrokiem moją białą dziewczynkę.

– Chcesz mieć białą suknię? – spytał.

– Nie, już miałam. A ty?

– Może – pokiwał głową. – Tylko nie wiem, czy będzie mi do twarzy w koronkach.

– Przestań – zbeształam go, ale wtuliłam się mocniej w jego ciepłe ramiona.

– Skoro mam cię przedstawić rodzicom, to musimy wszystko mieć omówione i zaplanowane. Nie licz na to, że tata zgodzi się oddać mnie tak po prostu. Jak go znam, to zapyta cię, gdzie pracujesz, ile zarabiasz i kto zapłaci za wesele.

– Chcemy wesele?

– Ja nie, jedno już miałam.

– Ja też, tradycyjne, z orkiestrą i przetaczaniem jajka przez nogawki.

– Przynajmniej nie musiałeś tańczyć ze wszystkimi wujami, którzy zbierają się na odwagę, dopiero kiedy sobie dobrze wypiją.

– A ty nie musiałaś wypić z każdym, kto się do ciebie przysiadł.

– Więc postanowione, że nie będzie sukni ani wesela – rzekłam radośnie.

– Ale z nocy poślubnej nie zrezygnuję – zastrzegł Adrian, czym wywołał mój szczery śmiech. Ciągle się przy nim śmiałam.

– Postanowione. Ale tacie o tym nie mówmy.

– Dobrze, ale nie zapominajmy, że to bardzo ważne wydarzenie w życiu małżeńskim, więc proponuję, żeby najpierw dobrze je przećwiczyć... – Pociągnął mnie za rękę w stronę łóżka.

- Wykończysz mnie – zamruczałam przekornie.
- To tylko trening – mrugnął. – Trening czyni mistrza.

Marta z Mateuszem wracali autobusem o dwudziestej pierwszej. Najpierw ja odebrałam telefon z tą wiadomością od Marty, a chwilę potem Adrian od Mateusza.

– Jasne, że przyjadę – mówił Adrian do telefonu. – Autobus o dwudziestej pierwszej.

Pokiwałam głową z oburzeniem, bo zdradzał się, że zna godzinę przyjazdu, zanim Mateusz mu ją podał.

– Skąd wiem? Mówiłeś przecież. Nie mówiłeś? To nie wiem, może sprawdziłem rozkład jazdy. W każdym razie będę. Na razie.

Po wyłączeniu telefonu zwrócił się do mnie:

– I tak musimy im powiedzieć.

– Wiem – przyznałam – tylko jakoś dziwnie się czuję. Nie wiem, jak Marta zareaguje.

– Bez przesady, Marta jest dorosła. Poza tym od początku miałem wrażenie, jakby próbowała nas swatać. Nie zauważyłaś?

– Zauważyłam. Szkoda tylko, że nie powiedziała mi wcześniej, ile masz lat, oszczędziłabym sobie wydziwiania.

– Jesteś cudowna, kiedy wydziwiasz – wyznał i wrzucił do koszyka pęczek pietruszki. Wybraliśmy się na zakupy, ponieważ po zjedzeniu na śniadanie ostatnich jogurtów w lodówce naprawdę nie było już nic, z czego dałoby się wyczarować jakiegokolwiek danie. Adrian uparł się, że całą niedzielę spędzimy w mieszkaniu na leniuchowaniu, oglądaniu telewizji i jedzeniu. Po wieczornej burzy powietrze było chłodne i mokre, więc aura jak najbardziej sprzyjała takim planom. Poza tym mieliśmy sporo do omówienia.

– Jakie ciasto lubisz najbardziej? – zaskoczył mnie pytaniem przy blacie z wypiekami.

– Sernik – odparłam.

– W takim razie dwa kawałki sernika dla tej pani i kawałek tego tutaj i kawałek tego tam. – Pokazywał palcem ekspedientce. – Ja zawsze jestem ciekawy nowości.

Ekspedientka zachichotała radośnie, chociaż wcale nie było to takie śmieszne. Znowu poczułam nieprzyjemne ukłucie zazdrości, więc udałam, że zajmują mnie suszone owoce wyeksponowane trochę dalej. Adrian podziękował, poflirtował i zapakował ciasto do koszyka.

– Jaki masz numer buta? – spytał mnie, gdy zliśmy do kasy.

– Co?

– Numer buta, numer kapelusza, jakiego używasz kremu, co lubisz jeść, jaki

jest twój ulubiony kolor – wyliczał. – Jako twój przyszły mąż powinienem wiedzieć takie rzeczy.

– Jako mój przyszły mąż powinieneś się zastanowić, gdzie będziemy mieszkać i jak pogodzimy to małżeństwo z pracą, Martą, Mateuszem i w ogóle ze wszystkim. No i zanim nastąpi ta szczęśliwa chwila, nie wiadomo kiedy, bo nie zastanowiliśmy się jeszcze nad terminem, to należy przemyśleć, gdzie będziemy mogli, że tak powiem... trenować noc poślubną. Bo ściany w moim mieszkaniu są żenująco cienkie.

– Nie mam jeszcze w domu podłóg, ale łóżko mogę kupić – stwierdził ugodowo i zaczął wyklądać zakupy na taśmę przy kasie.

– Piotr uważa, że łóżko w sypialni to bardzo wygodna trumna dla namiętności – powiedziała przekornie. – Twierdzi, że takie rzeczy lepiej robić w dziwnych miejscach, bo to podgrzewa atmosferę.

– W takim razie nie będę kupował łóżka do takich rzeczy. Ostatecznie możemy kochać się pod prysznicem.

– Albo na podłodze przed kominkiem – zgodziłam się.

– Albo na leżaku przed domem – zaproponował.

– Ale bardzo cichutko, żeby nie płoszyć zajęcy – zastrzegłam. – Albo klasycznie, w samochodzie.

– Albo mniej klasycznie, na pomoście nad jeziorem.

– Zawsze też możemy wykorzystać jakieś pochyłe drzewo w lesie.

– Albo drugie drzewo w drugim lesie.

– Albo trzecie w trzecim? Możliwości są nieograniczone.

– No widzisz! – zgodził się. – Nuda nam nie grozi.

– Nuda nie, prędzej mandaty za obnażanie się w miejscach publicznych – powiedział do nas pan stojący w kolejce za nami.

– Przepraszam – szepnęłam do niego zawstydzona i poszukałam ratunku u Adriana, ale ten obdarzył mnie tylko wesołym spojrzeniem. Znowu wydziwiałam?

Marta wykaraskała się z autobusu, taszcząc walizkę, torebkę i reklamówkę wypchaną do granic możliwości.

– Po co ci te toboły? – zapytałam, odbierając je od niej zaraz za drzwiami.

– Prezenty – wysapał Mateusz, podając mi jeszcze jedną torbę, z której wystawał kawałek kozucha.

– To żeby ci było ciepło. – Marta wskazała palcem na kozuch. – Kamizelka. Adrianowi też kupiłam.

– Będziemy razem wypasać owce na halach. – Mrugnął do mnie Adrian, zaglądając do torby.

– O matko! – jęknęłam. – Po co to wszystko?

– O matko i córko! – jęknęła ona. – Nie cieszysz się, że o tobie myślałam? Tęskniłam.

– Ja też. – Pocałowałam ją w czoło, żeby zatuszować kłamstwo. Adrian odwracał moją uwagę do tego stopnia, że ani razu nie zdołałam za nią zatęsknić.

– Gdzie samochód? – spytał Mateusz Adriana, nie zajmując się zupełnie naszymi czułościami.

– Na parkingu.

– A nasz? – spytała mnie Marta.

– Na parkingu – mruknęłam pod nosem, zastanawiając się, czy nie powiedzieć jej od razu, że przyjechaliśmy jednym, ale wolałam, żeby Adrian zaczął.

– Ewa stawia dzisiaj kolację – powiedział, kiedy dotarliśmy do jego auta. Wrzucił wszystkie walizy do bagażnika kombi i przemilczał fakt, że osobiście tę kolację przygotował łącznie z obieraniem cebuli, która ze mnie zawsze wyciskała łzy.

Dzieciaki wruszyły ramionami zadowolone, że mogą pobycć razem jeszcze kilka godzin.

– Mama wie? – upewnił się tylko Mateusz.

– Wie, obiecałem, że zajmę się tobą do jutra rana, jutro ciotka odwiezie ją do domu.

– Dobrze – powiedział Mateusz z troską. – Niech sobie jeszcze odpocznie.

Przypomniało mi się, że obaj są w żałobie po ojcu, a podczas gdy ja przeżywam najpiękniejsze dni swojego życia, Krystyna prawdopodobnie przeżywa najgorsze. Ja wypełniałam mieszkanie planami i marzeniami, a ona miała zaznać nowego wymiaru pustki w swoim życiu.

– Może bym ją jutro odwiedziła – zastanowiłam się głośno.

– Jasne – ożywiła się Marta, w domyśle oczywiście pojechałaby ze mną.

– Chyba nawet powinnaś – przyznał Adrian i pocałował mnie w rękę. Nie wiem, czy spontanicznie, czy celowo. W każdym razie Marta to dostrzegła.

– Mamo? – Usłyszałam.

– O co chodzi?

– No, właśnie ja się pytam, o co chodzi? – powiedziała napastliwie, ale radośnie.

Odwróciłam się w jej stronę i z niepewną miną powiedziałam:

– Wygląda na to, że będziesz miała swoją rodzinę Adamsów.

Ponieważ stół kuchenny mieścił co najwyżej trzy osoby, kolację zjedliśmy na kolanach przy ławie w salonie.

– Kupimy większy stół – zdecydował Adrian, kiedy nie było już na czym postawić pucharków z lodami, które przygotowaliśmy na deser. W przygotowaniu

lodów ja miałam swój udział.

– I gdzie go niby postawicie? – spytała Marta, rozglądając się po ciasnym mieszkaniu.

Pytanie zawisło w przestrzeni.

– U mnie – odpowiedział w końcu Adrian. – Po ślubie zamieszkamy u mnie. Prawda?

Pytanie było skierowane do mnie, bo przez cały dzień omawiania wspólnej przyszłości jakoś nie wspomnieliśmy o tym, gdzie zamieszkamy. Jego dom wydawał się wymarzonym miejscem, ale w kontekście Marty, jej szkoły i przyszłych studiów zupełnie odpadał ze względu na położenie.

– Chyba tak, ale raczej dopiero wtedy, kiedy Marta skończy szkołę – spróbowałam wybrnąć z kłopotu.

– Jak zacznę studia, to nawet lepiej, żebym mieszkała sama – oświadczyła radośnie Marta, co Mateusz przyświadczył z nie mniejszą radością.

– Dobra, dobra – uspokoiłam jej zapał. – Jeszcze się nie wyprowadzam. A ty możesz mieszkać z nami u Adriana. Fakt, że wyjdę za mąż, nie znaczy, że przestanę być twoją matką. Możesz zająć pokój dziecięcy.

– Tak – grymasiła – i patrzeć, jak się migdalicie po kątach. Adi, mam mówić do ciebie tato?

– Niekoniecznie – odparł i poklepał mnie uspokajająco po ramieniu, bo zaczęły mnie szarpać nerwy. Marta zrobiła się strasznie dorosła w ciągu tego weekendu.

– Jeszcze nie postanowiliśmy, jak będzie – powiedziałam. – Wszystko jest do obgadania.

– Ze wskazaniem na mój dom – dodał Adrian.

– Dlaczego nie na mój? – zdenerwowałam się. W ogóle nie wyobrażałam sobie możliwości zostawienia Marty samej sobie – studia studiami, a dorosłość dorosłością, ale była moim dzieckiem i nie zamierzałam porzucać jej dla mężczyzny. Nawet dla jego czarnych oczu i gorących ust.

– Sama mówiłaś, że u ciebie nie ma warunków.

– Zależy do czego – wtrącił rubasznie Mateusz, ale oboje zganiliśmy go wychowawczym spojrzeniem.

– A moja praca? Mam codziennie dojeżdżać taki kawał?

– Możesz się zwolnić.

– I być na twoim utrzymaniu? Proszę cię...

– Nie mam nic przeciwko temu.

– Ale ja mam! – podniosłam głos.

– Pierwsza sprzeczka kochanków – przerwała nam Marta, posługując się szeptem scenicznym dla podniesienia dramatyzmu wypowiedzi. – Lepiej się ewakuować.

Oboje z Mateuszem podnieśli się z podłogi i poszli do jej pokoju. Adrian dłuższą chwilę nic nie mówił, a ja nerwowo opróżniałam pucharek z lodami. Łyżeczka głośno stuknęła o szkło. Zdałam sobie sprawę, że ta dyskusja to pierwsza rysa na naszym idealnym weekendzie, a czekało nas jeszcze wiele takich rozmów, negocjacji i kompromisów. Nie tak łatwo połączyć w jedno dwa życia, które dotychczas nie miały ze sobą nic wspólnego. Poza parnymi wiosennymi nocami i słonecznymi popołudniami na wsi czekały nas prozaiczne trudy dnia codziennego, decyzje małe i większe, z których każda mogła stanowić problem, gdyby się okazało, że mamy inne zdania.

– Nie chciałabyś budzić się przy mnie codziennie rano? – spytał łagodnie Adrian.

– Nie o to chodzi – burknęłam. – Nie oczekuj, że z dnia na dzień zostawię całe swoje życie i przeprowadzę się pod jakiś las. Mam zobowiązania, przyjaciół, rodzinę.

– A marzenia?

– Nie wytrzymują konkurencji z codziennością.

Cały czas wpatrywałam się uparcie w zawartość pucharka, ale kiedy poczułam, jak wplata mi palce we włosy, pozwoliłam sobie zamknąć na chwilę oczy. Szarpnął lekko, tak jak wtedy, kiedy na Górze Śmierci uprzedzał, że sam weźmie, i tak samo zapalczywie rozgniół mi usta wargami. Z rozkoszą oddałam pocałunek, przysuwając się do niego całym ciałem. Resztką lodów chyba wylała mi się na spodnie, bo poczułam zimno na udzie. Najpierw całował namiętnie, a potem zaczął bawić się w drobne całusy i figlować z językiem. Bez otwierania oczu poddawałam się tej przyjemności, wdychając jego zapach, oddech i ciepło. Cała złość roztopiła się we mnie jak wylane lody.

– Czarownica – szepnął i mocno zamknął mnie w ramionach. – Będzie, jak chcesz.

Czułam się jak pocieszone dziecko, bezpieczna i pewna, że nie wydarzy się nic złego.

– Nie – zrobiłam się nagle bardzo ugodowa. – Razem coś wymyślimy, ale nie dzisiaj. Daj mi chwilę na pomyślenie.

– Daję ci dzień. Przyjedźcie do mnie jutro.

– Jutro Marta ma angielski.

– I tak miałaś odwiedzić mamę, musimy jej powiedzieć.

– To we wtorek.

– Czekam po południu.

– Dobrze.

– Ale jutro zadzwonię.

– Oczywiście.

– Dzisiaj też.

– Dobrze, tylko nie za późno, bo muszę się w końcu wyspać.

Chłopcy wyszli dobrze po dwudziestej drugiej. Pożegnałyśmy ich z Martą bardzo czule, jednocześnie zerkając badawczo jedna na drugą, czy aby żadna nie przesadza z czułościami.

– Mamo – powiedziało do mnie dziecko pouczającym tonem, kiedy ucichł odgłos kroków na klatce schodowej. – Jeśli chcesz iść do łóżka z facetem, to nie musisz od razu wychodzić za mąż.

Postanowiłam tego nie komentować.

WTOREK

„Jutro” mijają uporczywie długo i marudnie. Czas leciał szybko tylko wtedy, gdy z wypiekami na twarzy opowiadałam rozentuzjasmowanej Magdzie o tym, jak minął mi weekend. Magda wyciągała ze mnie pikantne szczegóły przeraźliwie rzeczowo i bezpruderyjnie. Jak, o której i ile razy? Kto, gdzie i w jakim ustawieniu? Ukrywałyśmy się przy tym przed wzrokiem Piotra jak dwie nastolatki, które nie chcą dać się przyłapać surowemu nauczycielowi na paleniu papierosów. Chichotałam, szeptałam, rumieniłam się, ale wciąż z ochotą rozprawiałam z nią na ten temat, z rozkoszą wracając do każdego momentu minionych dni. Ubrałam się tego dnia inaczej, uczesałam inaczej, czułam się zupełnie inaczej. Jakby oprócz bzów przy drogach zakwitło także coś we mnie.

– Zakochałaś się – podsumowała Magda, patrząc na mnie jakby z odrobiną politowania.

– Oczywiście – odpowiedziałam bez chwili wahania i przytuliłam do serca komórkę, która od niedzielnego wieczora częstowała mnie gorącymi zapewnieniami, że moje uczucie nie jest jednostronne.

Przez cały poniedziałek szarpała mnie rozdzierająca tęsknota za Adrianem, którego przypominały mi absolutnie wszystkie sprzęty w mieszkaniu. Łyżeczka, którą jadł lody, kubeczek, z którego pił herbatę, poduszka, na której położył głowę, łóżko... dywan... i takie tam. Chwilami wydawał mi się bliski jak nikt na świecie, bo taki znajomy, wycalowany, wykochany, cały mój, a chwilami przypominałam sobie, że przecież go nie znam, że jeszcze niedawno był tylko jednym z wielu mężczyzn mijających mnie na ulicy, obcych i nieistotnych. Jak to się stało, że od nieistnienia przeszliśmy do tak bliskiej zażyłości, by w jeden weekend zaplanować małżeństwo? W domu kilka razy zdarzyło mi się zamyślić i zagapić w jakiś punkt w przestrzeni, wyłączając się zupełnie na zewnątrz bodźce, aż Marta trącała mnie w ramię i żartowała, że miłość mnie ogłupia.

– Myślisz, że zwariowałam – bardziej stwierdziłam, niż zapytałam, kiedy wreszcie wsiadłyśmy do auta we wtorkowe popołudnie. Obie wystrojone i wypachnione jak na pokaz mody, w wielkich okularach przeciwsłonecznych, które z założenia miały ukrywać nadmierny entuzjizm wyzierający z oczu, ale ten widoczny był wyraźnie także w innych częściach ciała. Marta miała przyklejony do ust uporczywy uśmiech rozanielenia, jakby wciąż snuła jakieś bajecznie romantyczne wyobrażenia lub wspominała nie mniej bajeczne wydarzenia z przeszłości, a ja próbowałam uspokoić dłonie, które jak zwykle w chwilach

rozemocjonowania wędrowały uparcie po wszystkich samochodowych przyciskach, dźwigniach i zaułkach.

– Zdefiniuj „zwariowałam” – odparła.

Zastanowiłam się dłuższą chwilę.

– Zdecydowałam się wyjść za mąż bez zastanowienia, bez stosownego okresu narzeczeństwa, bez konsultacji z tobą – wyliczyłam.

– Wobec tego zwariowałaś – przytaknęła – ale nie przejmuj się. Ja bym powiedziała, że to jest takie szczęśliwe zwariowanie.

– Szczęśliwe?

– Tak, takie w dobrą stronę. Nie jesteś teraz szczęśliwa?

Przyglądała mi się z siedzenia pasażera, umalowana, kwitnąca, jasna, moje dziecko, ale taka już dorosła i poważna.

– Jestem – powiedziałam z rozrzewnieniem i uściskałabym ją, gdyby nie to, że pokonywałyśmy kolejne rondo. – Tylko nie myśl, że nie masz w tym swojego udziału.

– Dzień dobry, Ewo.

Głos Adriana sprawił, że podniosły mi się włoski na karku, a sutki stwardniały, odznaczając się wyraźnie pod materiałem cienkiej, lnianej bluzki. Co on w sobie miał, że działał na mnie w ten sposób?

– Dzień dobry. – Wyciągnęłam rękę niepewna, czy nadal mamy udawać półoficjalne relacje rodzinne, czy już możemy okazywać sobie zażyłe uczucia, szczególnie że Krystyna stała za nim z talerzykiem w ręku, jakby wyczekiwała, aż wejdę i będzie mogła mnie ugościć.

– Mamo – ponagliła mnie Marta stojąca jeszcze na klatce schodowej – nie musicie patrzeć sobie w oczy w przejściu.

Sama przepchnęła się obok i odwróciła uwagę Krystyny, dzięki czemu odważniej dałam się Adrianowi przytulić i pocałować w usta. Ta niepozorna pieśczoła i lekki dotyk wywołały taki zamęt w moim ciele, że spuściłam oczy zażenowana.

– Przestań – zbeształam go.

– A co robię?

– Cokolwiek robisz, przestań.

– Później pojedziemy do mnie – domyślnie wyszeptał mi do ucha i uszczypnął w pośladek, popychając do środka, a głośno powiedział: – Nareszcie jesteście, mama upiekła ciasto.

Weszłam do kuchni i otrząsnęłam się z pieśczoły, jak szczeniak otrząsa się z nadmiaru deszczówki. Chyba faktycznie miłość mnie ogłupiała.

– Z truskawkami – dodała Krystyna, zapraszając nas do pokoju. Wnętrze było tak wysprzątane, że z całą pewnością nawet pod najcięższą szafą nie

znalazłaby się ani odrobina kurzu.

– Nie musiałaś. – Poczułam się zakłopotana.

– A co mam teraz do roboty – rzekła i zacisnęła wargi. Duch jej męża jeszcze unosił się w mieszkaniu zamknięty w zapachu leków, zagnieceniach poduszek i pochyłych literach wpisywanych jego ręką w kratki krzyżówek wciąż leżących na półce pod ławą.

Adrian robił kawę w kuchni, a Marta poszła szukać Mateusza, więc spróbowałam jakoś ją pocieszyć, choć trudno mi było znaleźć odpowiednie słowa.

– To minie – powiedziałam i pogłaskałam ją po ramieniu.

– Jesteś pewna? – spytała z wyrzutem, jakbym próbowała ją oszukać.

– Jestem – powiedziałam twardo. – Nawet sobie nie wyobrażasz, jakie niespodzianki niesie życie.

– Ja już jestem za stara na niespodzianki.

– Starość to stan umysłu – powtórzyłam słowa Piotra. – Miesiąc temu też wydawało mi się, że jestem stara, a teraz... teraz wszystko się zmieniło.

– No właśnie – wtrącił Adrian. – Ewa przyjechała, bo chcieliśmy razem coś ci powiedzieć, mammo.

– Najwyższy czas – wygłosiła uroczyście Krystyna. – Ale nie mogliście powiedzieć, jak jeszcze ojciec żył? On by się tak ucieszył.

– A skąd wiesz, co chcemy powiedzieć?

– Ej, dzieciaki! – Otoczyła nas oboje pieśczośliwym, matczynym spojrzeniem. – Myślicie, że tego nie widać? Od tego pierwszego wyjazdu podśpiewujecie z Mateuszem na zmianę, ślepym trzeba by być, żeby nie zauważyć, że zakochani. A jak Ewa pierwszy raz przyjechała, to ojciec od razu powiedział, że akurat dla ciebie, Adi, jak na miarę.

– Ale my jeszcze wtedy nie wiedzieliśmy – bronił się.

– Ojciec wiedział. Jemu ciągle leżało na sercu, że ty sam swój dom budujesz, bez kobiecej ręki. Cieszył się, że wreszcie znalazłaś taką, która ci pasuje. – Poklepała go po policzku i wydała mi się przy tym taka węża w swoim smutku i taka mądra w macierzyństwie.

Popłakałabym się, gdyby nie to, że woda w czajniku uruchomiła gwizdek i przywołała z pokoju Mateusza i Martę.

– Ja też chcę kawę do ciasta – zawołał Mati przesadnie radosnym głosem. Jakby próbował rozgonić ciszę tego mieszkania i smutek żałoby.

– Już robię – odrzyknął przesadnie pogodnie Adrian.

My usiadłyśmy przy stole, nakładając na talerzyki pulchny biszkopt z truskawkami zalany galaretką. Zapach lekarstw i choroby jeszcze unosił się w powietrzu, ale mocno rozcieńczony zapachem kawy, ciasta i słodkich perfum.

– Szkoda, że trzeba teraz cały rok czekać z weselem – stwierdziła Krystyna,

kiedy skończyliśmy opowiadać, jak Adrian mi się oświadczył. Przemilczeliśmy w tym opowiadaniu moje wahanie, wykręcanie i intymne czynności, którymi była poprzedzona ostateczna zgoda, i oficjalną wersją zaręczyn stała się ta w deszczu, pod krzakiem, przypieczętowana błyskawicą.

– Jak romantycznie – westchnęła w połowie opowiadania Marta, na co Mateusz spojrział na nią z taką czułością, że wzruszenie ścisnęło mi serce.

– Nie planujemy wesela. – Adrian dołożył sobie ciasta i podzielił się naszymi ustaleniami. Nie chcieliśmy wesela, ja nie chciałam przywdziewania białej szaty i udawania dziewicy, on nie chciał spraszania na siłę członków rodziny, z których część to zupełnie obcy nam ludzie. Przeliczając przyjaciół i najbliższą rodzinę, i tak wychodziło nam przyjęcie na co najmniej trzydzieści osób.

– Jaki to ślub bez wesela? – zażartowała Krystyna. – U nas w rodzinie nikt nigdy nie żałował na huczne wesela.

– Nie zależy nam na weselu. – Adrian położył mi rękę na dłoni, żeby podkreślić, że wyraża naszą wspólną decyzję. – Chcemy się pobrać jak najszybciej, z odpowiednią oprawą oczywiście, ale raczej kameralnie.

– Mama się boi, że jak będzie rzucać bukietem, to trafi we mnie – dodała Marta ze śmiechem, ale Krystyna przybrała ponury wyraz twarzy.

– Nie wymyślajcie – stwierdziła kategorycznie. – Wesele musi być.

Spojrzeliliśmy na siebie z Adrianem, ja zacisnęłam zęby, żeby nie powiedzieć czegoś niestosownego, a on wyraźnie zagryzł policzek od środka.

– Nie będzie, mamó, to już postanowione – powiedział delikatnie.

– Rok to nie tak długo – upierała się, zupełnie nie zwróciwszy uwagi na jego słowa. – Będzie czas na przygotowania, na wysłanie zaproszeń. Salę też trzeba wcześniej zarezerwować, nie wiem nawet, czy uda się już na następny rok. Marysi córka już w zeszłym roku rezerwowała na październik.

– Wystarczy obiad w restauracji – powiedziałam, starając się zachować delikatny ton Adriana, ale dodać mu nieco stanowczości.

– Nie ty będziesz decydowała! – Usłyszałam uniesiony głos Krystyny. Marta z Mateuszem spojrzeli na nią zaskoczeni, a ja przypomniałam sobie wszystkie złośliwe docinki o teściowych, które słyszałam w życiu.

– Masz rację, mamó – powiedział łagodnie Adrian, powstrzymując mnie przed wypluciem jakiegoś jadowitego komentarza. – Decydować będziemy we dwoje, ja i Ewa, bo to nasz ślub i nasza decyzja.

– Zła decyzja! – Trwała przy swoim moja przyszła teściowa.

– Ale nasza.

– Z ojcem byś tak nie rozmawiał. On potrafił postawić na swoim – rozplakała się.

Zrobiło się cicho i krępująco. Uświadomiłam sobie boleśnie, że małżeństwo to związek nie tylko dwojga ludzi, ale też ich rodziców i wszystkich bliskich,

których nagle trzeba uwzględnić w rodzinnych planach. Adrian miał matkę, siostrę, brata, wujów, ciotki i kuzynów, z których każdy nagle mógł mieć coś do powiedzenia na temat mojego, dotychczas autonomicznego życia tylko dlatego, że wchodzę do rodziny. Szlag mnie trafiał na samą myśl i tylko współczucie dla zrozpaczonej wdowy powstrzymywało mnie od wygarnięcia tego na forum.

– Nie ma się o co kłócić – szepnął Adrian ugodowo. – Przemyslimy z Ewą kwestię wesela.

Chciałam zaprotestować, ale uciszył mnie błagalnym spojrzeniem, więc komentarz do jego zachowania zostawiłam sobie na później.

Zanim zapadł zmierzch, zostawiliśmy Mateusza i Martę w mieszkaniu z Krystyną i pojechaliśmy do domu Adriana pod pozorem wyboru kolorów farb.

– Nie bądź pantoflarzem – cisnęłam w niego ze złością, już kiedy wsiadał do auta.

– Nie? Myślałem, że kobietom zależy na tym, żeby zrobić z mężów pantoflarzy – zażartował.

Z irytacją przewróciłam oczami i zrobiłam kwaśną minę.

– Na pewno nie mnie. Ale jak już masz ulegać kobiecym fanaberiom, to moim, a nie... – ...obcych kobiet, chciałam powiedzieć, ale jak mogłabym określić jego matkę obcą? To ja byłam obca, nieznaną i pojawiłam się w życiu Adriana jak z grom z jasnego nieba.

– Nie chcę denerwować mamy – powiedział cicho. – Nie teraz.

Zrobiło mi się wstyd. Ledwo wlałam w jego życie, a już mnie ciągnęło, żeby zacząć się w nim szarogęsić. Powinam się raczej cieszyć, że mam faceta, który w podejmowaniu decyzji kieruje się nie tylko własnym wygodnictwem. Kiedyś, we wspólnej przyszłości, mogło mi się to opłacić.

– To znaczy, że urządzamy huczne wesele, żeby nie denerwować mamy? – dopytałam.

– To znaczy, że porozmawiam z mamą, kiedy chwila będzie sposobna, i przekonam ją, że teraz ty jesteś dla mnie najważniejsza – uspokoił mnie.

– Dyplomata od siedmiu boleści – westchnęłam, wyrzucając z siebie resztki irytacji.

– Kobiety – westchnął, zajęty ruchem ulicznym, i nie odzywał się, póki nie dojechaliśmy pod jego pusty, niezamieszkały dom.

– Zupełnie inaczej widzę ten dom, kiedy myślę, że zamieszkamy w nim razem – powiedział Adrian, gasząc silnik samochodu.

Uśmiechnęłam się pod nosem. Ja jeszcze o tym nie myślałam, póki co moja przyszłość z Adrianem u boku tkwiła na półce w kategorii „bajki” i nie zamierzałam wyjmować jej stamtąd za wcześnie. Dom pięknie wyglądał na tle

ciemnego lasu i czerwonych już promieni słońca chylącego się ku zachodowi. Brakowało mu koloru, firanek w oknach, glinianych donic na tarasie, huśtawki na podwórku, ale miał duszę i potencjał. Póki co nie był spełnieniem moich marzeń, bo też nigdy nie przyszło mi do głowy zamarzyć o domu pod lasem... Musiałam to nadrobić.

– Nie żal ci? – spytałam.

– Czego?

– Niezależności.

– Nie – zaprzeczył bez wahania. – Możesz się tu panoszyć, ile dusza zapagnie.

– I rozrzucać buty i bieliznę po nowiutkich podłogach? – zażartowałam. Wiedziałam, że jest to podstawowy powód małżeńskich kłótni, ale głównie z opowieści koleżanek.

– Nie mam nic przeciwko twojej bieliźnie na podłodze. – Mrugnął i pociągnął mnie za rękę, bo wciąż siedzieliśmy w aucie, oglądając nieotynkowane ściany i zacieniony z jednej strony dach. – Chodź, zobaczymy, czy pasuje.

W domu panował półmrok i było przeraźliwie cicho. Moje obcasy stuknęły głośno na betonie, a puste ściany odbijały ten stukot po dwakroć. Adrian pstryknął kontaktami, zapalając lampki ukryte w łuku nad ścianą ozdobioną łupanym kamieniem. Poczulałam się jak nieproszony gość w jaskini niedźwiedzia.

– Nie jest ci chłodno? – zatroszczył się o mnie mój niedźwiedź.

– Nie – powiedziałam, ale i tak przysunęłam się do niego, żeby ogrzał mnie ramieniem. Wcale nie czułam się tam jak w domu i nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że tylko jego bliskość usprawiedliwiała moją obecność w tym miejscu. Zerknęłam na twarz Adriana i zobaczyłam, z jaką miłością otacza spojrzeniem ściany, sufit i wygaszony kominek pośrodku.

– Długo budowałeś ten dom?

– To zależy, od czego liczyć. Projekt złożyłem do starostwa pięć lat temu, ale z początku szło mi jak krew z nosa. Dopiero im bliżej końca, tym większy miałem zryw do pracy. Teraz prawie można tu zamieszkać – powiedział, wyciągając ręce w kierunku kuchni wytyczonej na razie tylko wymalowanymi na ścianie strzałkami z opisem wielkości szafek. Podeszłam do miejsca, gdzie ze ściany wystawał zawór, i zerknęłam przed siebie. Zlew miał stanąć pod oknem, tak żeby przy myciu szklanek można było popatrzeć na łąkę za domem i spacerujące bociany. Na ten widok drgnęło coś w mojej duszy i wyobraziłam sobie siebie oplukującą pod kranem łyżkę do lodów, którą potem zostawiam na suszarce, biorę do ręki pucharki pełne słodczy i wychodzę z nimi na taras raczyć się przyjemnością w towarzystwie opalającego się na leżaku Adriana.

– Taras będzie duży? – dopytałam, żeby wiedzieć, jakiego rozmiaru leżaki umieścić w marzeniach.

– Duży, ale niezadaszony. Rano będziemy pić kawę w promieniach wschodzącego słońca. – Objął mnie i razem podziwialiśmy sielski widoczek za oknem.

– Adi – zaczęłam cicho – wiesz chyba, że to nasze małżeństwo będzie takie bardziej weekendowe?

– Wiem – odparł cicho on.

– Mam dobrą pracę w Zielonej, Martę. Nie zostawię jej samej w mieszkaniu. Przynajmniej nie od razu.

– Wiem – powiedział, trwając wciąż w tej samej pozycji. – Ja też mam pracę daleko i też będę w domu od czasu do czasu. Chociaż nie powiem, żeby mi się to podobało. Na pewno będę próbował znaleźć jakąś normalną pracę, osiem godzin, wolne soboty i dwadzieścia sześć dni płatnego urlopu.

– Nowoczesne małżeństwa takie są. – Odwróciłam się twarzą do niego i zażartowałam: – Ustalimy harmonogram obowiązków małżeńskich i będziemy się go trzymać.

– Nie wiem, jak ty – mrugnął – ale ja z obowiązków małżeńskich mogę się wywiązywać nawet poza harmonogramem.

Pociągnął mnie na środek salonu z dala od okien pozbawionych zasłony i ściągnął sweterek, którym byłam szczelnie owinięta.

– Adi – zganiłam go, bo ja próbowałam zachowywać się dorośle i wyłuszczyć mu trudności, jakie spotkamy na wspólnej drodze, a on jak napalony nastolatek uporczywie wracał wciąż do tematów intymnych. Zagłuszałyśmy namiętnością prawdziwe problemy, które z czasem mogły przybierać na sile, wprost przeciwnie do namiętności.

– Co? Nie myślisz chyba, że przyjechaliśmy tu faktycznie wybierać kolory ścian? – pytał i wytrwale pozbawiał mnie garderoby.

– Ktoś może zajrzeć przez okno – krygowałam się jak panienka, ale faktycznie nie czułam się za pewnie postawiona na środku pustego salonu z oknami wychodzącymi na przestrzał na wszystkie strony świata. Nie przychodziło mi to tak łatwo jak jemu.

– Niech zazdrości – powiedział Adrian tak beztrosko, że musiałam się roześmiać i przyznać mu rację, ale i tak pociągnęłam go dalej od okien w kąt, w którym leżał dmuchany materac i kilka złożonych nowiutkich ręczników, zapakowanych jeszcze w folię ze sklepu.

– Zrobiłeś zakupy?

– Na wypadek, gdybyś chciała częściej wpadać na wspólną kąpiel. – Mrugnął do mnie.

Chwilę później wylądowaliśmy na materacu, który okazał się nieco za wąski, za krótki i słabo trzymający powietrze. Pośladkami czułam twardość podłogi, łokcie i kolana ocierałam o surowy beton, a na całym ciele pojawiły się smugi

białego wapna rozcierane intensywnie po skórze z kropelkami potu.

– Adi – szeptałam w zapamiętaniu, bo tak mi dobrze leżało jego imię w ustach zamiast wszystkich innych szeptów i uniesień. I wcale nie przeszkadzało mi echo ani zapach kurzu, ani powietrze, które już dawno uszło z materaca. Wszystko było pięknie jak w puchach i w zapachach luksusowych pokoi i czułam, że to nie tylko z powodu jego umiejętności i wprawy w dawaniu przyjemności. Było pięknie, bo z nim. Z nim w aucie i na chodniku przed barem, i pod krzakiem w czasie burzy zawsze było pięknie.

– Myślisz, że nam to kiedyś minie? – spytałam, kiedy złapaliśmy powietrze po skończeniu karkołomnych wysiłków. Podejrzewałam bowiem, że na dłuższą metę nie może zawsze być tak, że będziemy pożądać siebie wzajem niezależnie od miejsca, okoliczności i niewygód otoczenia.

– Obawiam się, że tak – odparł szczerze, ale dodał po swojemu: – Dlatego powinniśmy korzystać, póki sił i środków.

Wstałam, bo moje siły chwilowo były na wyczerpaniu. Chciałam narzucić coś na nagie ciało, ale Adrian zrolował wszystkie nasze ubrania, robiąc sobie coś w rodzaju poduszki, która dzieliła jego plecy od chłodnej, surowej ściany. Bosą stopą wystukiwał w betonowej podłodze radosny rytm i odmówił oddania mi ubrania.

– Czuj się jak u siebie w domu – powiedział, roztaczając przede mną przestrzeń domostwa bez mebli i sprzętów, zagraconego workami z zaprawą, wiadrami i aluminiową drabinką. Drabinka wzbudziła we mnie coś na kształt erotycznych fantazji rodem z taniego pornosu, ale odsunęłam je chwilowo na bok i rozstawiłam ją szeroko, upodabniając do niewygodnego taboretu. Usiadłam na drugim szczebelku i ogarnęła mnie przemożna chęć zapalenia papierosa.

– Zapaliłabym – wyznałam mimowolnie, chociaż nigdy w życiu nie paliłam.

– Palisz? – spytał Adrian jakby od niechcenia.

– Nie, ale teraz bym zapaliła. Pasowałyby.

– Tu się nie pali – mówił leniwie, leżąc wciąż w tej samej pozycji, ale ogarnął wzrokiem sufit. – Od dymu żółknie farba i zasłony zaczynają śmierdzieć.

– I można wypalić dziurę w obiciu fotela – dodałam od siebie, pomna awantur, które mama urządziła ojcu po każdej takiej dziurze.

– Nie wiem, czy tu będzie miejsce na fotel, planowałam taki duży narożnik z tej strony, a tam stół z krzesłami. – Pokazał mi ręką, gdzie co ma stać.

– Fotel jest fajny – negocjowałam, chociaż bez specjalnego uporu. – Powinien być fotel z lampą i małym stolikiem pod ręką, żeby położyć książkę albo filiżankę z kawą. Najlepiej taki szeroki, żeby podwinąć nogi, oprzeć się wygodnie...

I wtedy zobaczyłam swój wymarzony dom. Adriana leżącego na kanapie, najlepiej nago, tak jak w tamtej chwili, fotel z zapaloną nad nim lampą, miękki

dywan, zasłony w oknach, kwiaty w doniczkach stojące równo na parapetach, dwa kieliszki wina na stole, ogień w kominku, czajnik gwiżdżący w kuchni, owoce leżące na blacie, warcząca w kącie lodówkę, nawet muchę spacerującą po szybie zobaczyłam zupełnie wyraźnie. Zupełnie jakby otworzyła się pierwsza strona mojej bajki i zachęcała, żeby zagłębić się w jej treści.

– Widzisz to? – spytał, jakby przejrzał moje myśli.

– Widzę – odparłam i wstałam, żeby przytulić się do niego na sflaczałym materacu. Szczebelek od drabiny odbił mi się poprzecznie na gołym tyłku. Usiadłam na nim okrakiem i pocałowałam intensywnie w usta, jakby dziękując za to, że obudził we mnie to wszystko w pakiecie – kobiecość, miłość, marzenia, apetyt na życie.

Między nogami poczułam, że jego apetyt na życie też zaczyna się budzić, więc czym prędzej wyszarpnęłam spod niego swoją odzież i zaczęłam ją zakładać.

– Bez przesady – powiedziałam przekornie. – Miej na uwadze mój posunięty wiek.

ŚRODA

W pracy nic nie powiedziałam o planowanym ślubie, bo choć sama przed sobą czułam się w pełni usprawiedliwiona za decyzję podjętą bez zastanowienia, to przed Magdą, Piotrem, a nawet własnymi rodzicami nie czułabym się jeszcze dość pewnie, by uzasadnić takie szaleństwo. Zawsze lubiłam posługiwać się w dyskusji racjonalnymi argumentami, a w tej sytuacji racjonalnych argumentów na poparcie własnego stanowiska zwyczajnie nie znajdowałam. Chciałam wyjść za mąż bez argumentów. Chciałam, bo chciałam. Stawiałam życie na głowie, ryzykowałam i nie potrafiłam uzasadnić dlaczego. Tak samo jak miliony kobiet na świecie przedkładających nadzieję nad doświadczenie.

Wizytę u rodziców z przyzwoitości zaplanowaliśmy z Adrianem na najbliższą niedzielę, ale w pracy zdecydowana byłam trzymać buzię na kłódkę, przynajmniej do czasu, kiedy obecność mężczyzny w moim życiu przestanie być powszechną sensacją. Odnosiłam wrażenie, że wszyscy są zanadto zainteresowani moim życiem prywatnym, a fakt, że niektórzy są tak bardzo zaskoczeni, że znalazłam przystojnego faceta, który się we mnie zakochał, sprawiał mi coś na kształt przykrości. Nie byłam w końcu taka ostatnia.

Magda domyśliła się sama. Nie wiem, czy to macierzyństwo wyostrzyło jej zmysły, czy zawsze miała taki zmysł do odgadywania ludzkich myśli.

– Brakuje obrączki? – spytała znienacka, kiedy zajęta śniadaniem rozmyślałam o swoim nowym życiu i pocierałam kciukiem puste miejsce na serdecznym palcu.

Miałam nic jej nie powiedzieć, ale poplątałam się w zeznaniach. Że nie, bo jeszcze nie, że na razie nic nie mówimy, że nic nie jest ustalone. Magda złapała w lot i prawie ze łzami w oczach ucisnęła mnie jednym ramieniem, bo drugie zajęte miała trzymaniem kubka z herbatą.

– To cudownie. Tak się cieszę.

– Ty się cieszysz? – spytałam ironicznie.

– Oczywiście – powiedziała jakby z nutą oburzenia. – Zależy mi na twoim szczęściu. Teraz mogę ci powiedzieć, jak bardzo ci współczułam tych wszystkich sobotnich wieczorów i niedzielnych poranków, kiedy leżysz sama w łóżku i planujesz, jak spędzić czas z dzieckiem.

– Zwariowałaś! – Prawie zadławiłam się sałatką. – Czego tu współczuć? Mam rodzinę, Martę, żyłyśmy... żyjemy sobie jak księżniczki. Mogłaś sobie znaleźć lepsze obiekty do współczucia, bo mnie na przykład nigdy niczego nie brakowało.

– No właśnie – skwitowała. – Tego ci współczułam. Że ty nawet nie wiedziałaś, co tracisz. Nawet nie umiałaś zatęsknić za tym, żeby spędzić parę godzin na fikołkach z dziarskim chłopem, a potem wypić razem kawę i ponarzekać na szefa.

– A dlaczego na mnie narzekać? – wtrącił Piotr. Przywiało go z gabinetu po butelkę soku chłodzącą się w lodówce.

– Teoretyzuję – wybrnęła, ale żeby odwrócić kota ogonem, przyczepiła się mnie. – Bo Ewa ślubuje i zachwalam jej korzyści pożycia.

Piotr z godnością opuścił firmową kuchenkę, jakby nawet odrobinę ostentacyjnie pokazując nam swoją obojętność na babskie dyskusje, ale, tak jak się spodziewałam, wrócił do tematu przy pierwszej okazji.

– Taka jesteś go pewna? – spytał, kiedy tylko zamknęłam drzwi jego gabinetu. Od razu domyśliłam się, że nie będziemy rozmawiać o składce ubezpieczeniowej.

– Tak – odparłam hardo, bo jeśli kogoś byłam niepewna, to raczej siebie niż Adriana.

– A gdzie brylant?

– Nie rozumiem, o co ci chodzi – powiedziałam wojowniczo. Nie podobał mi się ani jego wychowawczy ton, ani pełne politowania spojrzenie, jakim obdarzył moje dłonie. Brylantu tam nie było, bo zwyczajnie nie zgodziłam się na wybieranie pierścionka, kiedy dom wymagał krociowych nakładów na wykończenie, umeblowanie i zabezpieczenie antywłamaniowe. Niespecjalnie rozmawialiśmy z Adrianem o pieniądzach, ale kwestie finansowe są oczywistością, kiedy w tle miłosnych wyznań odbiera się dostawy za pobraniem, płaci gigantyczne rachunki za materiały i negocjuje stawki z firmą ochroniarską.

– O to, że on może wyciągać łapę po twoje pieniądze – powiedział Piotr zjadliwie.

Zatkało mnie. Wśród wszystkich wątpliwości, jakie ogarniały mnie w ostatnich dniach, a wydawało mi się, że przerobiłam wszystkie co do jednej, ani razu nie zważyłam w uczciwość Adriana.

– Nie przesadzaj! – Machnęłam ręką, chociaż nie powiem, że nie zaboląła mnie taka aluzja. Może głównie dlatego, że Piotr powątpiewał w fakt, że atrakcyjny, ambitny mężczyzna może chcieć związać się ze mną tak po prostu, z miłości.

– Żadna ze mnie milionerka – dodałam, chociaż ubezpieczenie po mężu od lat wałęsało się po różnych funduszach inwestycyjnych, pracując na przyszłość Marty i moją godną starość. Część zainwestowana w firmę Piotra już się zwróciła po trzykroć i spoczywała bezpiecznie na koncie walutowym.

– Poza tym przecież on nie wie o tych pieniądzach.

– Jesteś pewna? – spytał Piotr, patrząc na mnie z autentycznym zatroskaniem. Poczulałam się winna wobec niego za to, że oskarżyłam go w duchu Bóg wie o co, a on może być jedyną racjonalnie myślącą osobą w moim otoczeniu. Bo faktycznie, jaką miałam pewność, że Marta nie wychlapała wszystkiego Mateuszowi jeszcze przed pierwszym spotkaniem?

- Nie – musiałam przyznać bardziej przed sobą niż przed nim.
- Nie mówił ci, ile potrzebuje na meble, wykończenia?
- Nie musiał, to samo jakoś tak wynika... Przecież wiem, co ile kosztuje.
- A ty już zaproponowałaś, że wyłożysz kasę?
- Nie – odparłam stanowczo, chociaż nieraz byłam tego bliska. Powstrzymał mnie jedynie fakt, że zaoferowanie zapłaty za najlepszej jakości sprzęty będzie dla Adriana miłym zaskoczeniem i pięknym prezentem ślubnym.
- Ewa – powiedział Piotr łagodnie i usadził mnie na swojej kanapce. – Anna opowiadała mi takie historie, że nie uwierzyłabyś, jak ludzie mogą być podli. Ja tylko sygnalizuję, że nie powinnaś być zbyt ufna. Szczególnie że z niego taki...
- Jaki?
- Taki bawidamek trochę. Anna już po jednym spotkaniu gadała o nim pół nocy.
- Przemawia przez ciebie zwykła, męska, prostacka zazdrość – odparowałam. – A pieniądze są moje i zrobię z nimi, co zechcę.
- I mnie właśnie o to chodzi, zrób z nimi to, co chcesz ty, a nie on. Ja bym mu nic nie dawał, póki nie zobaczysz obrączki na palcu. A przed obrączką powinnaś jeszcze uprzeć się na intercyzę.
- Dziękuję za poradę prawną. Życzysz sobie za nią stosowne honorarium?
- Pamiętaj, że mnie znasz dłużej niż jego – rzekł z wyrzutem, kiedy odrobinę obrażona opuszczałam jego gabinet.

Podejrzenia Piotra uważałam za śmieszne i nieuzasadnione, ale im dłużej o nich myślałam, tym bardziej nie chciały opuścić mojej głowy. Co więcej – rozrastały się w myślach i same sobie szukały kolejnych podejrzeń, skojarzeń i wątpliwości. O Adrianie w rzeczywistości wiedziałam tylko tyle, ile sam mi powiedział, i dotychczas nie przyszło mi do głowy, żeby jakoś tę wiedzę zweryfikować. Nie miałam żadnego namacalnego dowodu na to, że ma pracę, że skończył studia, że dom nie jest obciążony kosmicznym kredytem hipotecznym, który nabędę razem z aktem małżeństwa. Alternatywnym źródłem informacji mógł być dla mnie Mateusz, ale on niespecjalnie mówił o czymkolwiek innym niż Marta, a sama nie posunęłabym się do wyciągania od niego informacji. Czy zresztą byłby wobec mnie szczery?

- Marta, mówiłaś Mateuszowi o pieniądzach z ubezpieczenia taty? – zaatakowałam własne dziecko zaraz po powrocie z pracy. Niezamierzenie, ale okazało się, że wątpliwości raz zasianej nie da się wykorzenić samą tylko wiarą w miłość od pierwszego wejrzenia.
- Nie – odparła w locie, zupełnie nieprzejęta pytaniem ani jego przyczyną.
- Na pewno? – dopytałam jakoś bardziej twardo, aż musiała zauważyć, że coś jest w tym pytaniu.

– Na pewno.

– Nie wymknęło ci się nigdy na czacie, że masz coś odłożonego na przyszłość?

– O co chodzi? – zapytało w końcu przytomnie to moje dziecko, takie domyślne.

– O nic nie chodzi. Po prostu zastanawiam się, czy... – urwałam w pół, bo niby nad czym się zastanawiałam? – Zastanawiam się, czy nie zaproponować Adrianowi pożyczki na wykończenie domu i nie wiem, jak on na to zareaguje.

– Ale komercja przez ciebie przemawia – syknęła Marta z niechęcią. – Własnemu mężowi będziesz udzielać pożyczki? Na procent?

– Nie chodzi o taką pożyczkę – miotalam się, bo zupełnie niewłaściwy obrót przybierała ta rozmowa.

– On i tak nie weźmie – wzruszyła ramionami Marta. – Ma swój honor.

– Skąd wiesz?

– Wiem. To u nich rodzinne – wygłosiła z dumą. – Mateusz płaci nawet za bilet na autobus, jak do niego jadę.

– No wiesz – oburzyłam się, bo ja też miałam swój honor. – Przecież stać nas na bilet autobusowy.

– Ale on o tym nie wie.

Ręce mi opadły i już, już chciałam ograniczyć Marcie kieszonkowe, żeby była zmuszona pójść do jakiejś pracy i nauczyła się szanowania pieniędzy drugiego człowieka, ale zwątpiłam, czy u progu dorosłości ma to jeszcze jakiś sens. Trzeba było zaczynać dużo wcześniej, teraz pozostało wierzyć, że lada chwila życie samo ją tego nauczy.

Tak zastał nas Mateusz i Adrian, który wszedł do mieszkania chwilę po nim. Pocałował mnie czule, uściskał tak, jakbyśmy nie widzieli się co najmniej od miesiąca i wyciągnął zza pleców pęk żółtych tulipanów przewiązanych wstążką.

– Co robicie, dziewczyny? – spytał.

– Mama wyklóca się o pieniądze – wypaliła Marta, robiąc do mnie złośliwą minę, więc czym prędzej zmieniłam temat na kulinarny. Obie nie zjadłyśmy obiadu, a lodówka jak zwykle wypełniona była głównie powietrzem. Unosząc się wspomnianym wcześniej honorem, zaprosiłam wszystkich na pizzę i uparłam się, że ja płacę rachunek.

W pizzerii tuż obok nas siedziała młoda para, przez cały posiłek dyskutująca zawzięcie o kredycie hipotecznym na mieszkanie na dziewiątym piętrze jakiegoś blokowiska na obrzeżach miasta. On wciąż od nowa wyliczał na komórce wysokość odsetek, a ona kalkulowała, ile zostanie im na życie po zapłaceniu raty.

– Nic tak nie cementuje małżeństwa jak wspólny kredyt hipoteczny – zażartował Mateusz, kiedy ci dwoje sobie poszli. Nadstawiłam ucha, czy Adrian

doda coś od siebie. Nie dodał, ale kiedy zegnaliśmy się wieczorem, wcisnął mi do ręki dwa banknoty i szepnął, że to na paliwo, żebym następnego dnia mogła przyjechać do niego.

– Ale... – Chciałam zaprotestować, ale zwinął mi dłoń w pięść i nie dał nic powiedzieć.

– Powinienem się wcześniej domyślić, że takie jeżdżenie w tę i z powrotem to dla ciebie dodatkowe koszty.

Kiedy wyszedł, stałam oparta o drzwi łazienki, wpatrując się w pomięte dwieście złotych i mało brakowało, a byłabym się rozpłakała. Z ulgi.

MINAŁ MAJ...

Jakieś cztery miesiące po tym, jak moja córka Marta umówiła się na randkę z internetowym kolegą, której nieomal nie przypląciłam życiem pod kołami samochodu, zadzwoniła moja koleżanka Alicja, pielęgniarka. Właśnie rozmawiałam z Piotrkim o jego urlopowych planach i prześcigaliśmy się w udowadnianiu sobie wyższości wczasów krajowych nad zagranicznymi – ja chciałam spędzić urlop z Adrianem i poświęcić go na wykończenie ogrodu wokół jego – naszego domu, a Piotrek, za namową Anny, planował karkołomne wypadki w otulone jesiennym kolorytem Beskidy, Bieszczady i Sudety. Przyjął już do wiadomości, że Adrian ma wobec mnie uczciwe zamiary i idąc za naszym przykładem, umówił się z Anną, że wydatki turystyczne, spożywcze i kulturalne dzielą sprawiedliwie po połowie, żeby żadne nie czuło się pokrzywdzone. Kłopot miał jeszcze z transportem, bo Anna zawsze upierała się prowadzić i sama płaciła za paliwo na stacjach benzynowych.

Telefon jak zwykle miałam w kieszeni żakietu, więc zwyczajnie dałam mu znać podniesieniem dłoni, żeby na chwilę przestał gadać. Możliwe, że Piotr zauważył zaniepokojenie w mojej twarzy, gdy odczytałam imię wyświetlone na komórce, bo zamilkł szybko i zamknął drzwi, żeby nie przeszkadzały mi hałasy z innych pokoi. Zaniepokoiłam się, ponieważ Alicja uprzedziła mnie, że po pobraniu krwi, moczu i innych składników organicznych z mojego ciała mam nie czekać na wyniki, bo jeśli będą dobre, to po prostu wylądują w szufladzie przychodni dopięte do mojej karty medycznej. Przy okazji badań pracowniczych poprosiłam o komplet wyników wszelkiego rodzaju, bo zaczęły mi się przytrafiać dziwne zachwiania równowagi, zmęczenie, senność i bóle głowy. Ignorowałam to, ale zdrowy rozsądek podpowiadał, żeby zwierzyć się lekarzowi. Skoro Alicja dzwoniła, coś musiało być nie tak, jak trzeba.

– Senność, bóle głowy – zaczęła prosto z mostu, co sprawiło, że pobladłam ze strachu. – A przypadkiem nie masz ostatnio nudności?

Szybko zebrałam się do kupy. Czy można nazwać to nudnościami? Dwa razy wymiotowałam śniadanie, ale myślałam, że to z powodu tych wszystkich E, które dodali do jogurtu, a raz było mi niedobrze po mrożonej rybie z supermarketu.

– Czy ja wiem? – odparłam do telefonu. – Może.

– A nie przyszło ci do głowy, geniuszu, żeby zrobić test ciążowy?

W pierwszej chwili zaczęłam chichotać, bo coś podobnego mogło mi przyjść do głowy chyba tylko na prochach, ale po chwili mózg zaczął kojarzyć pewne fakty, daty, pieszczoty i zapomnienia. W moim wieku? Czy to możliwe? Czy to bezpieczne? Powinnam chyba przekwitać, a nie rozkwitać...

– Mój Boże! – wyszeptałam. – Jestem w ciąży?

Ała potwierdziła, a Piotrek zbaraniał.

– Kto jest w ciąży? – zapytał mnie.

- Ja? – zapytałam jego.
- No chyba nie ja! Jak nie ja, to ty, ale TY?
- Wychodzi, że ja – zgodziłam się z nim wyjątkowo szybko. Podziękowałam Ali i nie słuchając gratulacji, zakończyłam rozmowę. Piotrek zamachał nad głową trzymanym w dłoni prospektem z biura podróży.
- Zwariowałaś? – oburzył się. – Zachodzisz sobie w ciążę bez pytania? Jak ja będę teraz prowadził firmę? Kto mi pieniędzy przypilnuje na piątek?
- Przecież tego nie planowałam! – Skłęsam i usiadłam na jego mięciutkim fotelu. Naprawdę nie planowałam. Bez planowania poczęłam nowe życie! I swoje, i tego malucha, o którym na razie wiedziałam tylko tyle, że będzie miał najprzystojniejszego tatę na świecie.
- Piotr okazał zrozumienie i podsunął mi podnózek, z pieczołowitością umieszczając na nim moje stopy.
- Jednego tylko nie rozumiem – rzekł. – Każda inna tak, ale TY? Jak TY mogłaś zapomnieć o rozsądku i antykoncepcji?

Kiedy minął pierwszy szok wywołany telefonem Alicji, ogarniał mnie po kolei cały wachlarz skrajnych emocji. Zaskoczenie przerodziło się w radość, radość w smutek, a smutek w krótkim czasie ewaluował w czarną rozpacz. Tak się składało, że przez cztery miesiące intensywnej znajomości z Adrianem ani razu nie podjęliśmy tematu ewentualnego rodzicielstwa, bo też nie sądziłam, by w moim wieku podobne tematy miały w ogóle rację podejmowania. Pigułki brałam od lat, podtrzymując własną, chwiejącą się coraz bardziej, równowagę hormonalną z regularnością mniej lub więcej dokładną. Mogło mi się kilka razy zdarzyć zapomnienie wynikłe ze zmiany trybu życia i częstego nocowania poza domem, ale przecież w ciążę nie zachodzi się ot tak! Trzeba się badać, leczyć, starać. Wzrasta przecież problem bezpłodności, zaburzeń, impotencji, *in vitro* i tak dalej. Karmiona na co dzień historiami starań o dziecko i walki o kolejną próbę sztucznego zapłodnienia, nie pomyślałam nawet, że mnie przydarzy się ono bez walk i prób. Bez mojej wiedzy nawet. A najbardziej trapiło mnie, że kompletnie nie wiedziałam, jaka będzie reakcja Adriana na taką nieoczekiwaną wiadomość.

- Piotr próbował mnie jakoś pocieszyć, ale szło mu zupełnie marnie.
- Teraz to normalne, że kobiety rodzą po czterdziestce. Najwyżej poleżysz trochę w szpitalu – mamrotał, ale widząc, że nie polepsza to mojego nastroju, posiłkował się osobą Magdy.
- O matko! – Magda złapała się za głowę, widząc mnie rozwaloną w fotelu szefa, przybladłą czy zaczerwienioną, nie wiem, w każdym razie daleką od normalności.
- Trzeba jej kobiecej ręki – wytłumaczył Piotr to nagłe wezwanie.
- O matko i córko! – podchwyciłam i chciałam dodać, że w tej chwili

najlepsze byłoby silne ramię Adriana, ale nie byłam do końca pewna, czy faktycznie tak jest. Piotr miał rację, wypominając mi, że zapomniałam o rozsądku, i jeśli miałam podobny wyrzut usłyszeć z ust Adriana, to gotowa byłam rozplakać się jak dziecko. Nawet od razu, na fotelu Piotra, łzy poleciały bez pytania gęsto i rzęsiście.

– O matko, co się stało? – pytała Magda, ale nie doczekawszy się odpowiedzi, zaczęła płakać mi do towarzystwa. Widząc, jak tusz do rzęs spływa jej po policzkach, klejąc do siebie rozwichrzone, luźne pasma włosów, i jak wykrzywia twarz w pomieszaniu ciekawości i współczucia, bez opamiętania parsknęłam śmiechem.

– Co jest? – pytała nieprzytomnie Magda, tym razem śmiejąc się razem ze mną.

– Boże, ratuj! – szepnął rozdzierająco Piotr i natychmiast ewakuował się z własnego gabinetu.

– Jestem w ciąży – powiedziałam głośno przez śmiech i łzy, a Magda uklękła przed fotelem, jakby zamierzała się do mnie modlić, i uniosła oczy do nieba.

– I czego beczysz? – zganiła mnie. – Przecież to cud, dar od Boga, cieszyć się trzeba!

Więc cieszyliśmy się. Ja i Magda, i całe biuro, bo wiadomość rozeszła się lotem błyskawicy. I tylko obawa przed reakcją Adriana odrobinę mnie w tej radości hamowała.

Na reakcję zmuszona byłam czekać do weekendu, ponieważ mój ukochany mąż, niespełna miesiąc wcześniej ślubujący, że mnie nie opuści aż do śmierci, opuszczał, niestety, granice kraju regularnie od poniedziałku do piątku. Miodowy tydzień spędziliśmy nad Bałtykiem, a potem pożegnałam go ze łzami w oczach świadoma tego, że oto kolejny mąż porzuca mnie dla pracy i pieniędzy, pełna obaw, czy to małżeństwo nie skończy się tak jak poprzednie – łamaną polszczyzną w słuchawce telefonu... Adrian, chociaż bagatelizował mój niepokój, obiecał solennie, że każdego poranka i wieczora wyśle mi wiadomość, że jest zdrow i cały. Dodawał do tych wiadomości także gorące zapewnienia o miłości, o tym, że tęskni, czasem dodawał nawet, co planuje mi zrobić, kiedy wróci. Zasypiałam więc z telefonem pod poduszką i budziłam się rano, trzymając go w ręku, zakochana w mężu do granic przyzwoitości, wytęskniona do granic szaleństwa, odliczająca godziny do piątkowego wieczora, kiedy oboje dotrzemy do naszego domu pod lasem.

Dom wciąż nie miał pełnego wyposażenia, ale weekendowo mieszkaliśmy w nim bardzo wygodnie. Wybraliśmy kolor ścian, podłączyliśmy wszystkie sprzęty AGD. Koledzy Adriana oferowali się z pomocą w układaniu podłóg czy klejeniu styropianowych płyt do elewacji, ale on uparł się, że skoro tyle już zrobił sam, to

sam chce skończyć. Jedyne osoby dopuszczone do prac budowlanych był Mateusz, Marta i ja, przez co wszyscy czuliśmy się wyróżnieni. Krystyna wpadała popołudniami, przywożąc nam gotowe obiady, w końcu pogodzona z tym, że nie wyprawiliśmy hucznego wesela dla całej rodziny.

Brakowało jeszcze fotela, w którym mogłabym siedzieć z książką w długie zimowe wieczory, i lampy, która miałaby stać nad nim, rzucając ciepłe, stonowane światło na stronicę przykurzonej książki. Brakowało naczyń, deski do prasowania, dywanika przed kominkiem, ale to wszystko uzupełnialiśmy powoli, przemyślanie i wybieraliśmy wyłącznie takie, jakie idealnie przypadło nam do gustu, nie szliśmy na kompromisy.

– Ta – powiedzieliśmy chórem, kiedy trafiła się idealna kanapa do salonu, ale nie kupiliśmy polecanej przez sprzedawcę ławy i doniczek, bo to już nie były „te”.

– Wolimy z żoną poczekać, aż trafi się coś naprawdę wyjątkowego – powiedział mu Adrian, podkreślając określenie „żona”, chociaż wtedy nie byliśmy jeszcze małżeństwem.

Jedynym całkowicie urządzonym pomieszczeniem w domu była sypialnia, a jedynym kompletnie nierozpoczętym – pokój dziecięcy. Stały tam niewykorzystane jeszcze materiały budowlane, drabina i wieszak na ubrania Marty, a na antresoli walały się luzem poplamione farbą rzeczy Adriana. Nie miałam pomysłu na urządzenie tego pokoju, bo gdzieś w tle naszego małżeństwa było niedomówienie co do jego przeznaczenia. Nie nazywaliśmy go dziecięcym, bo jedynym dzieckiem w tym domu była Marta, i to tylko gościnnie, a na delikatne aluzje Krystyny, że chciałyby doczekać wnuków, żartowaliśmy, że nie ma co poganiać Mateusza. Mnie osobiście bliżej było do statusu babci niż matki, więc tematu starałam się nie drażyć i nigdy nie poruszałam go z własnej inicjatywy. Nie było zresztą na to czasu w naszym zajętym życiu młodego małżeństwa miotającego się między dwoma miastami, dwoma krajami, urządzającego dom, korzystającego łączywie z każdej chwili bycia razem, bo przecież tak szybko nadchodziły godziny rozstania.

Aż do tego dnia, kiedy lekarz Magdy, specjalista od ciąży, a nie od zaburzeń hormonalnych, jak mój lekarz, przyjmując mnie poza kolejnością absolutnie po znajomości powiedział życzliwie, że nie ma wątpliwości i że mi gratuluje. Aż do tego dnia nie było tematu dzieci w naszym życiu, a pokój dziecięcy nie miał przeznaczenia.

W piątkowe popołudnie, pokrzepiona poranną wiadomością od Adriana, że ma się dobrze i nie może się doczekać wieczora, przyjechałam do domu pod lasem wcześniej niż zwykle. Postanowiłam, że przygotuję bardziej wykwintną kolację i rozpalę w kominku, żeby dom był ciepły i przytulny. Jesień jeszcze nie nadeszła,

ale dni coraz wcześniej ustępowały miejsca wieczorom, a słońce nad dachem wydawało się chętniej chylić ku zachodom, niż tkwić na środku nieba. Cieszyła mnie każda taka zmiana, bo wszystkie prowokowały do innych zajęć, innych nastrojów, innego patrzenia na życie. Podczas upałów z rozkoszą studziiliśmy nagie ciała w chłodnej, zacienionej sypialni, podczas gwałtownych burz siedzieliśmy bezpieczni na parapecie, patrząc, jak nasze łąki miotane są wiatrem, przed nami były jeszcze jesienne chłody, zimowe śnieżyce, długie deszczowe wieczory, sylwestrowe noce i wszystko, wszystko, o czym mogłam pomyśleć. Całe życie przed nami.

Adrian wrócił, zanim zdążyłam wyjąć rybę z piekarnika i pokroić kapustę na surówkę, a w moim ambitnym planie kulinarnym było jeszcze ciasto czekoladowe na deser. Zamiast przy eleganckiej kolacji, zastał mnie więc w zabałaganionej kuchni, z cebulą w jednej ręce i książką kucharską w drugiej. Nie zdążyłam rozpalić w kominku, poprawić makijażu ani zmienić ubrania, ale przecież ten wcześniejszy powrót nie był dla mnie niczym przykrym. Mimo że byliśmy małżeństwem i spędzaliśmy ze sobą każdą wolną chwilę, to każde spotkanie wywoływało we mnie niezmiennie gwałtowną reakcję hormonalną, emocjonalną i oddechową.

– Jestem – krzyczał zwykle od progu, a ja dostawałam niemal palpacji serca. Lubiłam patrzeć, jak w pośpiechu zrzuca buty, zostawia na progu swój zawodowy ekwipunek i podchodzi do mnie z wyciągniętymi ramionami. Padałam mu w objęcia jak filmowa Scarlett witająca wracającego z wojny Ashleya, z tym że Adrian nigdy nie zachowywał się tak zachowawczo i powściągliwie. Zwykle ścisnął mnie w tali, podnosił do góry i zasypywał gorącymi całusami.

Przestraszyłam się, że w nadmiarze emocji może ścisnąć mnie za mocno i zrobić krzywdę dziecku, więc celowo przywitałam go, trzymając przed sobą garnek z gorącymi ziemniakami.

– Mam dywan – powiedział radośnie i, zaniechawszy ściskania, pocałował mnie ponad parującym garnkiem.

Wyszliśmy przed dom i pomogłam mu wyciągnąć z bagażnika zrolowany i związany taśmą dywanik. Znowu się przestraszyłam, że zaszkodzi dziecku, więc wymigałam się od dźwigania i tylko przytrzymałam drzwi, żeby mógł wnieść go do środka.

– Uwaga! – Zawiesił rękę z nożyczkami na granicy taśmy. – Zamknij oczy.

Nie zamknęłam, bo byłam ciekawa, co kupił. Marzył nam się przed kominkiem idealnie kwadratowy, puszysty dywan z niebanalnym, nieprostokątnym wzorem w kolorach nawiązujących do całego wnętrza. Trudno było taki dostać, a jemu się udało.

– Ten? – spytał, kiedy dywan pchnięty dłonią rozwinął się dokładnie tam, gdzie powinien leżeć.

– Ten – powiedziałam z ulgą, szczęśliwa, że nasz dom zyskał kolejny, idealnie dopasowany, doskonale przemyślany dodatek.

– Wiedziałem, że ten. Chodź! – Pociągnął mnie na podłogę i położył się obok, dokładnie w tym samym miejscu, gdzie leżałam kilka miesięcy wcześniej na piankowym podkładzie, a on sprawdzał, czy ogrzewanie dobrze działa. Dywan był gruby i miękki jak dobry materac.

– Ile? – spytałam, świadoma, że idealne przedmioty rzadko można kupić okazji.

– Nieważne – odparł i zaraz dodał: – Chwile spędzone tu z tobą będą bezcenne.

Tamta chwila była również wymarzona, żeby powiedzieć mu o dziecku, ale piekarnik oznajmił koniec pieczenia, rybę należało wyjąć, ja musiałam udać się do kuchni, a Adrian poszedł się wykąpać. Rozmowę odłożyłam na później.

Kolację zjedliśmy w kuchni. Funkcję świec pełnił kominek wypełniony resztką drewna ze starej jabłoni, która poległa podczas stawiania ogrodzenia. Adrian opowiadał o pracy i o tym, że jest skonany, bo teraz jego wspólnik urlopuje, więc on sam ma podwójnie dużo roboty. Dłonie miał poranione, opuszki palców poszarzałe od jakiegoś kleju albo farby, oczy zmęczone, chociaż uśmiechnięte. Kolację wymiatał z talerza tak, jakby przez cały tydzień nic nie jadł. Świadoma tego, że facet, który tyle wysiłku wkłada w realizację wspólnych marzeń, to rzadki skarb, co jakiś czas w odruchu czułości poprawiałam mu włosy opadające na oczy.

– Nie masz apetytu? – spytał, bo u mnie na talerzu wszystko było prawie nietknięte.

Wzruszyłam tylko ramionami, bo domyśliłam się, że to dziecko nie ma apetytu na rybę, za to aż tupie nóżkami w oczekiwaniu na ciasto czekoladowe, które naprędce przygotowane dochodziło w piekarniku, roztaczając przecudny aromat kakao i pomarańczy.

– Poczekam na ciasto.

– Już nie jesteś na diecie? – zażartował, bo przez jakiś czas ograniczałam słodczy, żeby bardziej mu się podobać.

Chwila znów była odpowiednia, żeby powiedzieć o dziecku, zaczynając od żarciku o wielkim brzuchu albo dziwacznych upodobaniach kulinarnych, ale chciałam nacieszyć się jeszcze tym szczęściem młodej małżonki, której mąż wraca do domu po długim niewidzeniu i wciąż ma się tyle do powiedzenia, tyle do podzielenia, tyle do obgadania.

– Adi – zaczęłam niepewnie, ale przerwał mi telefon od Krystyny, która dzwoniła zapytać, czy Adrian dotarł do domu, z leciutkim wyrzutem, że teraz nawet nie raczy jej poinformować, czy dojechał szczęśliwie, a ona się zamartwia, czy nie zginął w wypadku po drodze.

– Na pewno jechałeś jak wariat. – Usłyszałam, mimo że Adrian trzymał telefon przy uchu, a ja byłam zajęta wyciąganiem ciasta z foremki. – I przyjedźcie jutro na sernik, ale rano, bo później Mateusz z Martą gdzieś polecą i nie można was połączyć wszystkich razem.

Nieproszona skinęłam głową z aprobatą, bo na wieść o serniku dzieciątko fiknęło z radości dwa koziółki. Zapowiadało się, że wyrosnie z niego mały łakomczuch.

– Nie jedz gorącego, bo ci zaszkodzi – upomniał mnie mąż, kiedy chciałam ugryźć pierwszy kawałek ciasta, i zabrał mi z ręki widelczyk. Tak mnie ten zakaz zirytował, że gotowa byłam ugryźć jego. – Idź pod prysznic, a ja zrobię kawę. Chcesz?

Nie chciałam z przyczyn mnie wiadomych, jemu jeszcze nie.

– To herbatę zrobię.

Wzięłam błyskawiczny prysznic i bosą wróciłam do salonu. Adrian leżał na nowym dywaniku, uśmiechając się do mnie zachęcająco, więc stanęłam przy nim, z przyjemnością zatapiając stopy w miękkości grubego włosia.

– Brakuje poduszki – powiedział i zabrał ręcznik, którym byłam owinięta. Zwinął go niestarannie i położył sobie pod głowę. Zostałam naga, ale nauczona już, że w jego oczach jestem wystarczająco piękna, by nie wstydzić się kobiecych zaokrąglenia i miernych efektów stosowanych diet, nawet nie spróbowałam się zasłaniać. Ponadto na moją korzyść grało ciepłe światło ognia i tęsknota, którą miał wypisaną na twarzy. Domyśliłam się też, że większe i pełniejsze piersi to nie efekt modlitw zanoszonych do wszystkich świętych, ale zupełnie przyjemny efekt uboczny ciąży. Usiadłam na nim okrakiem, sycąc próżność aprobatą widoczną w jego spojrzeniu, a potem położyłam mu głowę na klatce piersiowej i posłuchałam bicia serca.

– Adi – zebrałam się w sobie, bo bardziej odpowiednia chwila już nie mogła się przytrafić.

– Ymm – mruknął, głaszcząc mnie po plecach.

– Jestem w ciąży – wyznałam z głową wciąż ukrytą na jego piersi. Ciekawa jego reakcji, ale wciąż pełna obawy, jaka ona będzie.

– Tak? – spytał bez emocji.

– Tak. – Podniosłam się odrobinę rozczarowana. Może nie spodziewałam się śmiechu przez łzy, paniki i oklasków jak u mnie w pracy, ale coś chyba czuł! – Co ty na to?

– Co ja na to? – spytał nieprzytomnie. – Sam nie wiem.

– No, ale chyba jesteś w stanie coś wyrazić – zdenerwowałam się i nagle zaczęła mi przeszkadzać moja nagość.

– Czy to... czy to bezpieczne, dla ciebie?

– Wyobraź sobie, że bezpieczne. Wbrew pozorom, mimo posuniętego wieku,

jestem jeszcze zdolna do prokreacji – wyrzuciłam z siebie złość, że uważa mnie za niezdolną do rodzenia dzieci, mimo że niedawno sama się za taką uważałam.

– Ewa, Ewuniu! – Złapał mnie za nadgarstki, bo do słów dołożyłam nerwową gestykulację. – To wspaniale.

– Tak? – spytałam płaczliwie, szarpana skrajnymi emocjami.

– To cudownie. Marzyłem o tym. Po prostu... zaskoczyłaś mnie.

– Marzyłeś o dziecku? I mimo to ożeniłeś się ze mną? – spytałam, jakby lekko zraniona jego nieszczerością w tym temacie.

– Ożeniłem się z tobą, bo cię kocham. A przy tobie moje marzenia spełniają się same, po kolei, mogę je sobie odhaczać z listy marzeń – mówił szybko, zasypując mnie drobnymi pieściami. – Właśnie teraz spełniają się dwa na raz – dodał i puścił do mnie oko, a ja poczułam się uspokojona, bo oto rozpoznałam w nim swojego męża. Figlarnego, pogodnego, pewnego siebie.

Położył mnie na dywanie, z ręcznikiem pod głową, delikatnie jak kruchą bezę na kryształowym talerzyku, i wsunął się między rozłożone uda.

– To dlatego... – mruknął, całując z entuzjazmem moje nienaturalnie obfite piersi.

– Yhy – mruknęłam ze śmiechem i wplotłam palce w jego łaskoczące włosy.

– Ale tu nic nie widać. – Przeniósł usta na brzuch.

– Kwestia czasu.

– Byłaś u lekarza?

– Oczywiście.

– Wszystko jest w porządku?

– Jak najlepszym.

– Wiadomo, co to będzie?

– Jeszcze za wcześnie – roześmiałam się radośnie, bo w moich wyobrażeniach właśnie tak powinna wyglądać ta rozmowa.

– Ale możemy TO zrobić? – dopytał, już TO robiąc, ku naszej obopólnej przyjemności.

– Ostatnio robiliśmy i nic się nie stało – przypominałam jemu i sobie.

– Będę ostrożny i delikatny – szepnął, choć ostatnio nie byliśmy ani delikatni, ani ostrożni.

Pomogłam mu zrzucić koszulkę i pozbyć się płaczących wokół nóg spodenek. Ogień tworzył cudownie malownicze półcienie na jego ramionach, podkreślając rysunek kształtnych mięśni i ich rytmicznej pracy. Nasze ciała na miękkim dywanie splatały się i rozplatały w grze światła, cienia i miłosnych wyznań. Doskonale zdawałam sobie sprawę, że jest to jeden z tych wieczorów, które wspomina się później latami, opierając na nim małżeństwo jak na fundamencie, który przywołuje się na myśl, uodporniając związek na chwilowe kłopoty i przypominając sobie, dlaczego jest on taki wyjątkowy. Doskonale

zdawałam sobie też sprawę, że z tego wieczora najbardziej zapadnie mi w pamięć grzeszne, lubieżne i przemożne pożądanie, jakie odczuwałam w stosunku do ciasta czekoladowego czekającego na mnie na blacie w kuchni.

Adrian zasnął na kanapie przed telewizorem. Był nagi, bo podnosząc się z dywanika przed kominkiem, stwierdził, że jest późno i nie opłaca mu się już ubierać. Jako że nie dorobiliśmy się jeszcze koca, okryłam go grubym, ciepłym ręcznikiem i usiadłam obok jak matrona czuwająca nad jego snem. Normalnie też spędzałam piątkowy wieczór przed telewizorem. Normalnie, czyli jeszcze kilka miesięcy wcześniej – tak samo przerzucałam kanały, tak samo popijała herbatę, tak samo planowałam sobotnio-niedzielne odwiedziny, ale skoro mogłam słyszeć w tle pochrapywanie swojego świeżo poślubionego męża, trzymać rękę na jego udzie i od czasu do czasu zerknąć, jaki jest przystojny, wieczór ten miał zupełnie inny wymiar. Marta już nie mogła mi zarzucić, że osuszam butelki i zasypiam przed telewizorem jak jakaś patologia. Zwolniłam ją też z obowiązku martwienia się o mnie i mój wolny czas, dając jednocześnie wolną rękę w kwestii spędzania czasu z Mateuszem. Rozumiałam doskonale, że gdyby nie Adrian, smutne byłyby moje samotne piątkowe wieczory, a Marta pewnie wychodziłaby z domu zawsze z poczuciem winy, że mnie zostawia. Jak długo jeszcze potrafiłabym udawać, że jestem szczęśliwa i pogodzona z losem, a zimne łóżko w sypialni to nic takiego? Jak długo jeszcze pociągnęłabym bez marzeń?

– Myślisz, że to będzie dziewczynka? – Adrian wyrwał mnie z zamyślenia nieoczekiwanym pytaniem. Obudził się i wpatrywał się we mnie z niespotykaną intensywnością połączoną z wielką tkliwością. Dopiero kiedy zerknął na mój brzuch, zrozumiałam, skąd to pytanie, bo dłońmi bezwiednie otoczyłam dziecko, które rosło w środku, i głaskałam je za pośrednictwem własnego ciała. Uśmiechnęłam się do niego, do dziecka i do własnych myśli.

– Myślę, że chłopiec – odparłam. – Czarnooki chłopiec, który na mnie rzuci urok. Będzie podobny do ciebie jak kropla wody.

– Ja uważam, że dziewczynka – mówił z pełnym przekonaniem. – Mała czarownica.

– Brzydka i wredna? – zaśmiałam się.

– Raczej urocza i tajemnicza. I roztaczająca magię jak mamusia.

Nie wiedziałam, co na to powiedzieć. Najlepiej było nie odzywać się wcale, tylko zapisać w pamięci każde słowo i upewnić się, że będą dostępne w każdej trudnej chwili. Jak lekarstwo na smutne dni i ponure myśli. Wgramoliłam mu się na kolana i zanurzyłam twarz w zagłębieniu szyi. Lekko spocona skóra lepiała mi się do ust i wydzielala tak intensywny, piżmowy, pobudzający zapach, że nie mogłam się oprzeć, żeby jej nie lizać. Nasycona po uszy słodyczą czekolady, zapragnęłam słonego potu i drażniącej język szorstkości nieogolonego podbródka.

– Śpię – mruknął Adrian w słabym odruchu samoobrony.

– Śpij – odmruknęłam, nie oczekując przecież niczego w zamian. Chciałam go tylko powąchać, posmakować, zanurzyć się w nim po brzegi, wytęskniona całym życiem oczekiwania na tego, który tak idealnie wpasuje się we wszystkie moje apetyty.

Ignorował moje pieszczoty, od czasu do czasu przywołując tylko na wargę leniwy półuśmiech, a ja niespiesznie odkrywałam na nowo to, co zdążyłam już odkryć, ale niezmiennie budziło we mnie podziw i fascynację. Całowałam po kolei jego zamknięte powieki, czoło i płatki uszu. Gładziłam klatkę piersiową, wsuwając palce między włoski i torując sobie paznokciami drogę pomiędzy nimi. Obserwowałam, jak skóra ugina się delikatnie pod wpływem dotyku, a mięśnie reagują na niego mimowolnym napięciem.

– Śpij – szepnęłam mu do ucha, czując, że jego ciało jednak reaguje na pieszczotę, a ręce zaczynają błaznić mi gdzieś w okolicach pośladków. Nie chciałam go przecież męczyć po całym tygodniu.

– Mam nic nie mówić, nie patrzeć, nie całować? – spytał cicho z odrobiną złośliwej satysfakcji, z jaką zawsze wspominał ten nasz pierwszy fizyczny kontakt. Zamknęłam mu usta palcem wskazującym, a wolną ręką sięgnęłam pod ręcznik, by upewnić się, że od tamtej pamiętnej chwili niewiele się zmieniło. Wciąż reagował na dotyk spontanicznie, soczyście i obscenicznie. Z tym że ja byłam już odważniejsza i bardziej świadoma tego, jak to wszystko wykorzystać dla własnych celów. Każda cząstka jego ciała stanowiła łakomy kęs dla mojej lubieżności i syciła nie tylko fizyczne potrzeby. Widząc jego pożądanie, czułam się piękna, kochana, seksowna i doceniona. Nie stara, nie pomarszczona, nie chyląca się ku ziemi. Odmłodził mnie i dodał pewności siebie, więc nagle zapragnęłam za to wszystko mu się odwdzięczyć.

Jęknął, kiedy wbiłam zęby w delikatną skórę podbrzusza, ale nie miało to wymowy przygany. Jęknął tak, jak się jęczy, oczekując dalszego ciągu, więc zsuwałam usta tak długo i tak dalece, i tak zachłannie, aż dobiegł mnie jęk całkowitej aprobaty i zadowolenia.

– Czarownica – dobiegło mnie, jeszcze zanim ściągnęłam sukienkę, żeby przylgnąć do niego całym ciałem.

Krystyna wyciągnęła nas z łóżka około dziesiątej telefonem przypominającym, że mieliśmy być u niej rano.

– Przecież jest rano – tłumaczył się Adrian, drapiąc się niedbale po rozczochranej głowie. Ja usiadłam na łóżku i próbowałam otworzyć piekące oczy. Zważywszy, że poprzedniego wieczora kochaliśmy się do wyczerpania, a później gadaliśmy o dziecku prawie do świtu, to dla nas było wręcz nieprzyzwoicie wcześnie.

– Mamo, jesteśmy młodym małżeństwem, lubimy spędzać czas w łóżku – powiedział do telefonu i mrugnął do mnie figlarnie, ale Krystyna wyraźnie nie dała się przekonać, że słuszne jest przedkładanie spraw małżeńskich ponad rodzinne. Usłyszałam niewyraźnie jakąś wzmiankę o śniadaniu, a ponieważ przypomniało mi się, że proponowała sernik, machnęłam do Adriana, że możemy jechać nawet zaraz.

– Daj mi pięć minut. – Pokazałam rozczapierzoną dłoń.

– Dobrze, mamo, będziemy za pół godziny. – Usłyszałam. Rozłączył rozmowę i złapał mnie wpół w drodze do łazienki.

– Dzień dobry – mruknął rozkosznie. – Jak się dzisiaj czuje moja rodzina?

– Bardzo dobrze. – Wykręciłam się z objęć. – Tylko że jedna część twojej rodziny stoi mi na pęcherzu, więc mnie puść.

Roześmiał się.

– Niedawno nie byłem nawet mężem, a teraz już mam być ojcem.

– Musimy im powiedzieć – krzyknęłam przez przymknięte drzwi. – Nie powiedziałam Marcie, bo byłam pewna, że wygada Mateuszowi i dowiesz się o tym jakoś kanałami – dokończyłam po wyjściu. – A chciałam ci sama powiedzieć.

– Mama się ucieszy.

– Nie wiem, jak Marta. Może powinnam była powiedzieć jej pierwszej? Żeby nie poczuła się odtrącona?

– Daj sobie żyć własnym życiem. Marta jest prawie dorosła.

– Prawie – uniosłam się. – Prawie czyni wielką różnicę. Cięża nie zwalnia mnie z macierzyńskich obowiązków wobec niej.

Obowiązków owych nie zaniedbywałam jakoś nagannie, bo w tygodniu poświęcałam jej całą swoją energię. Naturalnie o tyle, o ile chciała z niej czerpać, a nierzadko miałam wrażenie, że moja obecność w domu wręcz jej przeszkadza, szczególnie podczas wizyt Mateusza, z którym przecież spędzała każdy weekend bez mojego rodzicielskiego nadzoru. Miałyśmy za sobą kilka trudnych rozmów o antykoncepcji i szanowaniu własnego ciała, więc czułam się dość uspokojona w tej kwestii. Gorzej z nauką – przez chwilę bałam się, że Mateusz zajmie jej czas do tego stopnia, że zaniedba maturę i egzaminy na studia, ale ponieważ on już od października miał zacząć pierwszy rok, wierzyłam, że Marta zrobi wszystko, żeby również dostać się na Uniwersytet Zielonogórski. Wydawało mi się nawet, że dzięki niemu stała się jakby bardziej rozsądna, spokojniejsza i poważniejsza. Zdarzało im się oczywiście bawić się do rana w X-Demonie i wrócić do domu na śniadanie, ale wiedziałam, że Mateusz zadba o Martę nie gorzej niż ja sama, wpatrzony w nią jak w obrazek, zakochany i wystarczająco odpowiedzialny, żeby mu zaufać. W dużej mierze przejął moje opiekuńcze obowiązki.

Na śniadaniu u Krystyny ziewali oboje nie mniej niż my.

– Gdzie byliście? – spytałam Martę między kanapką z jajkiem a kawałkiem sernika.

– Na urodzinach – odparła, przymykając jedno oko, z czego domyśliłam się, że było hucznie i wesoło. Mimo to wyglądała świeżo i ładnie. Była nawet umalowana i założyła elegancką sukienkę z białym kołnierzykiem.

Po śniadaniu Krystyna zaproponowała kawę, której grzecznie odmówiłam, i zamiast tego poprosiłam o szklankę zimnego mleka.

– No, to zacznijmy – powiedziała, podając mi mleko. Nie wiedziałam, o co chodzi, ale na te słowa Mateusz wstał od stołu, ukłonił mi się szarmancko i zamierzał coś powiedzieć, ale jakby zapomniał co.

– Pani Ewo – zaczął w końcu, choć byliśmy częściowo na ty, byłam w końcu jego szwagierką. – Korzystając z okazji, chciałbym skorzystać... z okazji – jąkał się – i starym zwyczajem poprosić panią o rękę.

– O moją rękę. – Szturchnęła go z boku Marta.

– O jej rękę – dokończył z ulgą.

– Ja już się zgodziłam – pospieszyła z pomocą Marta, wyciągając w moją stronę szkatułkę ze złotym pierścieniem. Na jego środku, w otoczeniu drobniutkich białych cyrkonii, pysznił się zielony kamień.

– To nie brylanty, ale... – Mateusz zafrasował się chyba tym, że wpatruję się w kamienie jak sroka w gnat, a mnie zupełnie odjęło mowę. Powariowały dzieciaki czy jak?

Przeniosłam spojrzenie na Krystynę i Adriana i od razu poznałam, że oni oboje byli w to wtajemniczeni. Próżne wydało mi się szukanie u nich wsparcia.

– Nie wiem, co mam powiedzieć – kluczyłam choć z niewielką nadzieją na to, by odroczyć ich pochopne decyzje. – Nie wydaje się wam, że to odrobinę za wcześnie?

Mówiąc „odrobinę” miałam na myśli jakieś pięć, dziesięć lat, ale Marta zaczęła wytaczać ciężkie argumenty ZA, posługując się głównie statystyką rozwodową. Pobierając się w młodym wieku ze swoją pierwszą miłością, statystycznie mieli bardzo duże szanse na powodzenie.

– Ale znacie się tylko kilka miesięcy – jęknęłam, czując, że tylko ja mówię rozsądnie.

– A wyście ile się znali? – spytała Marta, wytrącając mi broń z ręki.

– I wesele będzie huczne – dodała Krystyna, biorąc moje milczenie za dobry omen.

– A matura? Studia?

– Mateusz dostał pracę w Zielonej...

– Na pół etatu – wtrącił.

– I łatwiej by mu było studiować i pracować, gdyby zamieszkał z nami – wykladała Marta.

- Prawie nie będzie mnie w domu – wtrącił znowu.
- Ja mu oczywiście pomogę finansowo – dodała Krystyna.
- Najwyraźniej wszystko było już przemyślane i omówione.
- To kiedy miałyby nastąpić ta szczęśliwa chwila? – spytałam dość chłodno.
- Myślimy, żeby tak za rok... we wrześniu – powiedział Mateusz, cały czas pod czujnym okiem Marty, jakby to ona kładła mu do ust słowa, a on tylko upewniał się, że prawidłowo je wymawia. Rok narzeczeństwa odrobinę mnie uspokoił, ale i tak byłam zła na Martę, że nie porozmawiała ze mną wcześniej, w domu i w cztery oczy. Na pewno odradziłabym jej pośpiech...
- Życzę wam wszystkiego dobrego – powiedziałam, uzmysławiając sobie, że przecież sama jestem dowodem na to, że z miłością nie ma po co czekać. I prawie się przy tym popłakałam ze wzruszenia.
- No, to teraz my – zaczął Adrian i też wstał.
- Korzystając z tej uroczystej chwili, chcemy wam z Ewą oznajmić, że jesteście w ciąży.
- Ja jestem. – Trąciłam go ręką ze śmiechem.

ZNÓW BYŁ MAJ...

- Jacek.
- Jacek Placek!
- Hubert.
- Hubert dają myśliwi. Masz myśliwych w rodzinie?
- Sebastian.
- A jak zdrobnisz? Bastek? Bastuś? Bastuś Plastuś, zaraz mu coś przypną!
- To nie wiem! – Poddałam się. Adrian negował każde imię, jakie przychodziło mi do głowy. – Może ty coś zaproponuj.
- Ja nie wiem! – Zbył mnie po raz tysięczny. Odkąd dowiedzieliśmy się, że mieszka we mnie mały chłopiec, kwestia imienia była o tyle prostsza, że celowaliśmy w konkretną płeć. Z tym że celowałam głównie ja, a Adrian skutecznie wyłapywał piłki, którymi próbowałam trafić w sedno. Wszystkie imiona kojarzył z niefajnym kolegą z podwórka, nauczycielem biologii, wrednym sąsiadem albo postacią z bajki.
- Może Adrian, po tacie – spróbowałam, bo termin porodu zbliżał się wielkimi krokami, a nasz maluch wciąż pozostawał bezimienny.
- Bez sensu. – Własny mąż spojrział na mnie z dezaprobatą, a własne dziecko kopnęło tak mocno, że skrzywiłam się z bólu.
- Jemu też się nie podoba – stwierdziłam.
- Dopiłam ziołową herbatkę uspokajającą i poczłapałam do kuchni. Był piątek wieczór, słoneczny i jasny wieczór majowy, zachęcający do spaceru albo przejażdżki na rowerach, ale od mniej więcej miesiąca przypominałam radzieckiczołg opancerzony i za nic nie chciało mi się wychodzić z domu. Wydawało mi się niemożliwym, że kobieta może się rozrosnąć do tego stopnia we wszystkich możliwych kierunkach. Miałam wielki brzuch, wielkie biodra, wielkie piersi i wielką niechęć do własnego wyglądu. Nawet moje stopy wydawały się większe niż normalnie i wstydziłam się położyć je na ławie, tak jak zazwyczaj to robiłam. Poniekąd odpowiadało mi nawet, że Adrian pięć dni w tygodniu jest poza domem, bo nie czułam się komfortowo, kiedy przyglądał mi się uważnie z kanapy.
- Od jakiegoś miesiąca nie jeździłam już do domu na wsi, bo lekarz ostrzegał, że powinnam trzymać się jak najbliżej szpitala. Zrezygnowałam z wyrębu drzew

w ogrodzie rodziców, z sadzenia kwiatów i urządzania mieszkania. Tylko z pracy nie zrezygnowałam, bo byłam tam wyjątkowo dobrze traktowana, a bez pracy cóż miałabym robić przez cały boży dzień?

– Brzuch już masz nisko – skomentował Adrian, mierząc mnie badawczo, co mnie okrutnie irytowało.

– Tym bardziej trzeba wybrać imię.

– No jak dzieci, po prostu jak dzieci – zbeształa nas Marta, wchodząc do mieszkania. – Proszę.

Podąła Adrianowi pakunek.

– Co to? – zainteresowałam się.

– Wielka księga imion – przeczytał Adrian i uśmiechnął się z przekąsem.

– Przecież oszaleć można z wami. Trzy dni do porodu, a dziecko bez imienia. Tu jest pięćset imion męskich, na wszelkie możliwe upodobania.

– Jest tyle imion? – zastanowiłam się, choć sama z siebie proponowałam Adrianowi już co najmniej sto.

– Proszę siadać i wybierać! – Marta usadziła nas naprzeciw siebie, a siebie pośrodku, jakby w roli mediatorki. Otworzyła książkę i przeczytała pierwsze w kolejności imię na A.

– Adam.

Spodobało mi się. Adam, Adaś, Adi. Mały Adi.

– Może być – ku mojemu zdziwieniu stwierdził Adrian i na tym właściwie zakończyła się lektura tomu liczącego pięćset imion.

– Czyli Adam – podsumowała Marta, z hukiem zamykając książkę. – Nawet ładnie. Dziadek się ucieszy.

Przypomniało mi się, że brat mojego ojca miał na imię Adam.

– Miałem pradziadka Adama – powiedział Adrian – ale już nie żyje.

– No, to możesz mówić, że to po pradziadku, a ty mamó, że po wuju. I obie rodziny będą zadowolone.

– Przemawia przez ciebie prawdziwy polityk – uśmiechnął się Adrian, bo Marta od jakiegoś czasu głośno mówiła o tym, że wybiera się na politologię.

– O, mały zabiera głos w dyskusji. – Skrzywiłam się, bo znów poczułam bolesne dżganie w brzuchu. Tym razem mocniejsze i obejmujące jakby całą macicę.

– Spokojnie, Adasiu. – Marta pogłaskała mnie po brzuchu. – Pogodziłam twoich rodziców. – Spojrzała na mnie, jakby zaniepokojona. – Mamó. Masz twardego brzuch, jak kamień.

– To skurcze Braxtona-Hicksa – uspokoiliłam ją i siebie. Już dwa razy łądowałam w szpitalu z paniką w oczach, po czym byłam odsyłana do domu jak natrętna pszczoła próbująca dostać się do słoika z miodem.

– Jeszcze nie – mówił lekarz i kazał mi przyjść kolejnego ranka na

standardowy zestaw badań dla niecierpliwych przyszłych matek.

– Jeszcze nie – powiedziałam uspokajająco do Marty i Adriana, a kilkanaście minut później powtórzyłam to samo sobie samej, zginając się wpół pod wpływem skurczu, który dopadł mnie w łazience. Spojrzałam na zegarek, odczekałam kilka minut i wróciłam na swoje miejsce na kanapie, ale po kolejnym skurczu, który wykazywał tendencję do mniej lub bardziej regularnej powtarzalności, zaalarmowałam wszystkich spokojnym:

– Teraz chyba już.

Marta pisnęła z radości, a Adrian pobladł jak kartka papieru. Przez chwilę myślałam nawet, że zemdleje, ale otrząsnął się, podniósł i błędnym wzrokiem poszukał walizki.

– Wezmę rzeczy.

– Ja wezmę mamę – zaoferowała się Marta, chociaż póki co mogłam się sama wziąć.

Nie chce mi się wspominać całego porodu i wszystkich krępujących procedur, które mu towarzyszą. W każdym razie nie czułam się komfortowo, kiedy lekarz pokręcił głową z dezaprobatą na widok mojej daty urodzenia. Nie chcę też domniemywać, o czym szeptał z położną poza zasięgiem mojego słuchu, bo byłam wystarczająco przestraszona i zmęczona, by jeszcze dokładać sobie zmartwień.

Chłopiec w każdym razie urodził się zdrowy. Jego przyjściu na świat towarzyszył klekot bocianów urządzających sobie gniazdo na kominie starej kotłowni. Między skurczami patrzyłam przez okno, jak mama bocianowa dogląda swoich bocianków i długim dziobem poprawia gałązki wetknięte w płataninę swojego domu. To mnie trochę uspokajało, w oczywisty sposób dowodząc, że nie ja pierwsza oczekuję potomstwa i że w przyrodzie wszystkie matki radzą sobie od wieków całkiem nieźle, a ja mam dodatkowo do pomocy gromadę ludzi, prochy i Adriana. Bo Adrian gdzieś tam się pałętał między moją dłońią a odkrytym kroczem, ale zupełnie nie wiem, co robił, bo ostatnie, co mnie zajmowało, to jego tam obecność. To ja miałam urodzić i do mnie należała cała ta praca. I kiedy wreszcie została wykonana, odetchnęłam naprawdę z ulgą i uśmiechnęłam się nie do niego, ale do mamy bocianowej, bo była mi wtedy dziwnie bliska. Jak matka matce.

A kiedy miałam tę chwilę oddechu, pomyślałam, że to skandal, żeby w polskim publicznym szpitalu, w sali porodowej, gdzie przychodzą na świat mali obywatele... że to skandal, żeby tam ciekło z rury i to prosto na twarz wymęczonej matki. Zaczęłam nawet szukać wzrokiem, gdzie te rury, ale zobaczyłam nad głową tylko zapłakanego Adriana, który ze śmiesznie wykrzywioną twarzą szlochał ze wzruszenia.

– Chłopiec – wykrztusił wreszcie, chociaż wiedzieliśmy doskonale, że to

będzie chłopiec, i przecież nawet wybraliśmy imię.

– Adaś – odpowiedziałam, kiedy dziecko zmarszczyło noseć, położone na mojej piersi. Takie małe, nagie i śliskie. Takie bezbronne.

– Fajny chłopczyk, wszystko ma – dorzuciła dziarsko położna i poklepała Adriana po plecach. – Gratulacje, tatusiu.

Tatuś na to znowu zaczął przeciekać i właściwie nie wiem, co dalej się z nim działo, bo położna zaproponowała, żeby uczestniczył w ważeniu i mierzeniu noworodka. Zobaczyliśmy się dopiero następnego dnia. I muszę powiedzieć, że w żadnej innej chwili kobieta i mężczyzna nie są sobie tak bliscy, jak wtedy, kiedy po raz pierwszy dostają swoje dziecko jak swoją miłość ubraną w małe ciało, becik i wielkiego pampersa. Kiedy mogą spojrzeć sobie w oczy nad jego główką i wymienić spojrzenia pełne dumy, radości i wzajemnych gratulacji, że oto udało im się we dwoje stworzyć coś tak doskonałego jak dziecko. Może nawet w tej magicznej chwili uronilibyśmy jeszcze jedną łzę wzruszenia, ale Marta niemal siłą wyrwała mi Adasia z rąk.

– Boże, jaki cudny! – zachwyciła się. – Jaki maleńki, jakie ma łapusie... Jaka główka malutka.

– Mam na ten temat inne zdanie – wtrąciłam, ale nikt nie zwracał na mnie uwagi. Przyjechał Mateusz z Krystyną, po południu dołączyła Magda, moi rodzice i Piotr z Anną, od której dostałam gigantycznego misia i pudełko czekoladek nadziewanych orzechami.

Mały spał w wózeczku najdoskonalej obojętny na całe towarzystwo, a w przerwach snu ssał pierś, która niespodziewanie dla mnie samej nabrzmiała mlekiem, jakby niepomna tego, że ja już dawno po czterdziestce...

ZAKOŃCZENIE

I to już koniec historii o moich czterdziestych urodzinach.

Siedzę na kanapie w domu Adriana, w którym dopiero od niedawna zaczęłam się czuć jak u siebie, i wpatruję w wygasłe palenisko kominka. Wiem, że Adrian wróci za chwilę i powie jak zwykle:

– Rozpalić? Żeby małemu nie było zimno.

Bo na dziecko mówimy „mały”, póki nie zasłuży w pełni na swoje imię. Czekam na te chwile, kiedy pierwszy raz się uśmiechnie, pierwszy raz usiądzie, pierwszy raz powie do mnie „mamo”. I chociaż jeszcze się nie zdarzyły, już teraz wiem, że to będą najszcześniejsze chwile w moim życiu. Będzie broił, tłukł talerze, rozciągał zabawki po całym domu, a my będziemy mówić:

– Adasiu, tak nie wolno.

A on wcale nie będzie słuchał, bo charakter odziedziczył po tacie – zdecydowany, uparty i twardy. Będę z nim miała urwanie głowy, ale już nie mogę się tego doczekać.

Adrian cichutko zamyka drzwi i układa koło kominka stosik liściastego drewna.

– Rozpalę, żeby małemu nie było zimno. – Nawet nie pyta, tylko mówi. Wyreżca mnie w podejmowaniu decyzji i w byciu jednocześnie matką i ojcem, jak musiałam być dla Marty. Marta zresztą przyjedzie z Mateuszem na weekend, żeby pobyć z nami i pomóc mi przy dziecku. Przygotujemy razem sobotni obiad i będziemy się przerzucać zabawnymi historyjkami rodzinnymi, których jest bardzo dużo, odkąd nasza rodzina nie składa się już tylko z nas dwóch.

– Dobrze się czujesz? Podać ci coś? – pyta mnie mąż, ale mnie nic nie trzeba. Proszę tylko, żeby usiadł przy mnie i dał się przytulić. Ma brudne ręce i brudne ubranie, bo uparł się zrobić przy schodach podjazd dla wózka, ale wcale mi to nie przeszkadza. Z przyjemnością kładę głowę na jego kolanach i pozwalam się rozpieszczać głaskaniem po plecach. Czuję, że pierwszy raz w życiu jestem dokładnie tam, gdzie powinnam, że wszystko się zaczyna, nie kończy, że miłość nie ma wieku, a szczęście nie lubi ograniczeń. Czuję to wszystko tak dobitnie, że aż nie wierzę, że rok wcześniej mogłam tego nie czuć.

Więc jeśli ty też teraz myślisz, że jesteś za stara, żeby w twoim życiu zdarzyło się cokolwiek, to może... wyjdź z domu.

KONIEC

To był maj

Wydanie pierwsze, ISBN: 978-83-8083-655-6

© Anna Konstanty i Wydawnictwo Novae Res 2017

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody wydawnictwa Novae Res.

REDAKCJA: Monika Turała

KOREKTA: Emilia Kapłan

OKŁADKA: Anna Gręda

KONWERSJA DO EPUB/MOBI: InkPad.pl

WYDAWNICTWO NOVAE RES

al. Zwycięstwa 96/98, 81-451 Gdynia

tel.: 58 698 21 61, e-mail: sekretariat@novaeres.pl, <http://novaeres.pl>

Publikacja dostępna jest w księgarni internetowej zacztytani.pl.

Wydawnictwo Novae Res jest partnerem

Pomorskiego Parku Naukowo-Technologicznego w Gdyni.



Przypisy

[1] William Szekspir, *Romeo i Julia*, tłum. Józef Paszkowski, Warszawa 1994.

[2] E. L. James, *Pięćdziesiąt twarzy Greya*, tłum. Monika Wiśniewska, Wydawnictwo Sonia Draga, Katowice 2012.

